KAMPANIA PREZYDENCKA

Wielkie straszenie polexitem – Ziemkiewicz o strategii opozycji

Wicepremier Gowin o sporze o sądownictwo

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 7/360 10–16 LUTEGO 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

ŁYSIAK WPĘDZA PANÓW W KOSZTY Z OKAZJI WALENTYNEK

Kim jest Věra Jourová

OFENSYWA NEOMARKSISTÓW

Jak lewica zakłamuje polską historię

ADRIAN ZANDBERG

WŁODZIMIERZ CZARZASTY

ISSN 2299-5800 Nr indeksu 288829

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

Ruszaj w drogę z Rentis

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

Diament Miesięcznika Forbes 2020

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 BYDGOSZCZ +48 519 535 300 GDAŃSK +48 519 535 311 GORZÓW WLKP. +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 KIELCE +48 519 535 304 KRAKÓW +48 519 535 305 LUBLIN +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 OLSZTYN +48 519 535 314 OPOLE +48 519 535 307 PŁOCK +48 519 535 334 POZNAŃ +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 SZCZECIN +48 519 535 310 WARSZAWA +48 519 535 302 WROCŁAW +48 519 535 307

eprasa.pl 0a6efddd4a

W RZECZY SAMEJ

Strefy prawdziwej wolności

PAWEŁ LISICKI

Od kilku miesięcy kolejne gminy ogłaszają, że są wolne od ideologii LGBT. Obecnie takie strefy wolności obejmują mniej więcej jedną trzecią obszaru Polski. To niezwykły wręcz przykład obywatelskiej odwagi i siły charakteru. W świecie, w którym promocja aktywistów homoseksualnych stała się normą i wzorcem, Polacy pokazują, że umieją iść pod prąd. Wbrew zmasowanej kampanii medialnej chronią to, co najważniejsze: normalność i wolność.

Ta polska przekora musi, co naturalne, wywoływać wściekłość i furię radykałów. Doskonale widać to na portalach i stronach różnych rewolucyjnych jaczejek: „Gazety Wyborczej", Onetu, naTemat i wielu innych mediów. Metoda działania jest zawsze taka sama. Kiedy brakuje argumentów, przeciwnika trzeba zohydzić, poniżyć, przypisać mu najgorsze możliwe intencje. Ideologowie zawsze działają według tych samych schematów: nie są w stanie zaakceptować wolności i oporu. Mówiąc wiele o różnorodności, chcą urawniłowki na sowiecką modłę. Kto nie jest z nimi, ten musi zostać odsądzony od czci i wiary, musi zostać wdeptany w ziemię, oczerniony i zniesławiony.

Dobrze pokazuje to przykład walki środowisk LGBT z małopolską kurator oświaty Barbarą Nowak. Jako pierwsza potrafiła tak głośno i jasno sprzeciwić się próbom wtargnięcia tęczowych edukatorów do szkół – teraz musi za to zapłacić. A ponieważ ideologowie uważają, że są panami przyszłości, w walce z Barbarą Nowak nie znają granic. Jedni ją opluwają, inni wyszydzają, jeszcze inni próbują zdezawuować.

Podobnymi metodami próbuje się zamknąć usta samorządowcom. Kiedy pod koniec września radni w Starym Sączu przegłosowali deklarację „powstrzymania ideologii gender i »LGBT« oraz obrony praw katolików", nie spodziewali się, że wkrótce aktywiści homolobby wpiszą ich do „Atlasu nienawiści". Że tę próbę obrony wartości uznają, podobnie jak idące na ich pasku media, za „homofobię" i formę nienawiści. Jednak właśnie tak się dzieje. Raz po raz działania obronne chce się przedstawić jako atak, a przywiązanie do stałych norm i do prawa naturalnego opisuje się jako przejaw wynaturzenia i agresji. Całe szczęście, że w Polsce wciąż jest tylu ludzi, którzy nie ulegają szaleństwu. Którzy mimo uruchomienia gigantycznej machiny presji wiedzą, że nie wolno zrównywać naturalnych relacji między mężczyzną a kobietą ze stosunkami osób tej samej płci. Pod tym względem z polskości naprawdę można być dumnym. Tak, inaczej niż w przypadku tylu innych narodów podbitych przez ideologów, Polakom nie udało się założyć kagańca i zmusić do recytowania politycznie poprawnych bredni.

Niemal codziennie można by przytaczać przykłady pokazujące, do czego musi prowadzić zwycięstwo ruchów LGBT. Mnie ostatnio najbardziej uderzyła jedna informacja (oczywiście nie sposób jej znaleźć na stronach propagandowej maszynerii LGBT). W Finlandii policja przesłuchała pastora, którego wydawnictwo kilkanaście lat wcześniej wydało książkę uznającą homoseksualizm za formę „nieuporządkowanego życia". Jak donosi portal lifesitenews.com, śledztwo zostało tam wszczęte na wniosek prokuratora generalnego Raija Toiviaine.

Według fińskich władz zgadzając się na publikację książki, w której mówi się o tym, że zarówno Stary Testament, jak i Nowy, widzą w homoseksualizmie grzech i zakłócenie ładu, którego chciał Bóg, szerzy się nienawiść. W wydanej przez pastora w 2004 r. książce, wciąż dostępnej w Internecie, pojawiają się tak „szokujące" opinie jak ta, że „natura nie zna przypadków dzieci dwóch matek i dwóch ojców". Niebywałe, nieprawdaż? Albo równie „haniebne": „Neutralne płciowo rodzicielstwo nie może zastąpić macierzyństwa i ojcostwa, które są zgodne z porządkiem stworzenia". No naprawdę, nienawiść aż wypływa z tych zdań.

Jak na dłoni widać, na czym polega ideologia LGBT. Najpierw tolerancja, dalej akceptacja, a potem zamordyzm. Kiedy w 2017 r. w Finlandii uznano, że związki par jednopłciowych są małżeństwami, mówiono, że to wielkie zwycięstwo wolności. Dzisiaj widać, jak wielkim było to kłamstwem. Tak, dziś prawdziwą wolność można spotkać nie na zachodzie Europy, lecz w Polsce. Jej prawdziwą źrenicą są te miejsca, w których samorządy miały śmiałość zadeklarować, że nie ulegają tęczowej homoideologii. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

CZYTAJ TAKŻE „NIETOLERANCJA UROJONA" NA STR. 34

eprasa.pl 0a6efddd4a

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA
MARKS NA SŁODKO
Czerwona fala

22 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZATRZYMAĆ DŁUGI MARSZ

KRAJ

26 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
NIE WOLNO POZWOLIĆ NA PARALIŻ SĄDÓW
Polska w UE musi walczyć o swój interes

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZYM TU STRASZYĆ

32 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
MNIEJSZOŚĆ ATAKUJE

34 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NIETOLERANCJA UROJONA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
MORAWIECKI KONTRA PIRACI

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy 2019 r.

42 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
FILOZOF W HABICIE

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ LISICKI
RELIGIA Z TENDENCJAMI TOTALITARNYMI
Wstęp do książki „Prawdziwe oblicze islamu"

54 ŁUKASZ WARZECHA
SŁODKI TOTALITARYZM

CYWILIZACJA

58 WALDEMAR ŁYSIAK
DIAMENTEM DO SERCA KOBIETY
Esej na walentynki

HISTORIA

66 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM KORNATEM
JAŁTA BYŁA PORAŻKĄ ZACHODU
Roosevelt nie zrozumiał znaczenia swojego ustępstwa

ŚWIAT

70 PIOTR WŁOCZYK
WIELKA NADZIEJA ANTYPISU
Wiceszefowa Komisji Europejskiej

74 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
JEZUS Z CROWDFUNDINGU

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
LUZOWANIE WIRUSA?
Polska zarabia już na swoim długu

80 MARIA KĄDZIELSKA
HANDEL PO AMERYKAŃSKU

82 TOMASZ CUKIERNIK
UNIJNE NAKAZY I ZAKAZY

STYL

86 JOANNA BOJAŃCZYK
PODNIEBNE ZABAWKI
Bogaci lubią latać

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ
STRATEGIE NA LECZENIE RAKA
Raport o onkologii

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (56), ZYCHOWICZ, KOPER (69), WARZECHA (72), GABRYEL, RYBIŃSKI (79), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), CENCKIEWICZ (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 0a6efddd4a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Hulimka/Forum, Adobe Stock, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

zachęcamy do przesyłania do redakcji listów i e-maili. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Europejski Zielony Ład", Łukasz Warzecha, „DRz" 5/2020

Szanowna Redakcjo!
Jako namiętny cyklista nie zawsze zgadzałem się z panem Łukaszem Warzechą, choć zawsze z zainteresowaniem go czytam. Tym razem niemal całkowicie zgadzam się z tym, co napisał w artykule o „Zielonym Ładzie".

Pan Łukasz jednak nie wspomina nawet o sprawie, której w licznych publikacjach, związanych z klimatyczną histerią też na ogół nikt nie dotyka. Chodzi o problem banalny, chociaż podstawowy, czyli o dowód na to, że zauważane w ostatnich dziesięcioleciach ocieplanie się klimatu ma związek przede wszystkim z nadmierną emisją CO_2. [...]

Nie jest prawdą, że wśród uczczonych panuje zgoda. [...]

Walka o niższe koszty „Zielonego Ładu" to nie to, co powinniśmy robić. Oczekiwałbym uderzenia w samo sedno: czy takie opłaty mają istotnie solidne podstawy merytoryczne. Cóż z tego, że łapówki dla mafii cieplarnianej rozłożymy na niższe raty? Jeśli wprowadza się opłaty za cokolwiek, to najpierw trzeba udowodnić, że istotnie wpłyną one na wcześniej założony cel. Uważam, że jest to bardzo wątpliwe. A już fakt, że EZŁ stanowić ma ustabilizowanie ilości emitowanego CO_2 na długie dalsze lata, jest zupełną głupotą. Gdyby to istotnie nastąpiło, to również byłoby to stabilizacją globalnej ilości produkowanej żywności. Przecież CO_2 nie jest żadną „trucizną", jak próbują nam wmówić. Dzięki fotosyntezie dwutlenek węgla jest konieczny do produkcji roślin, a z nich pośrednio czy bezpośrednio produkowana jest żywność. Nie dość, że nadal globalna populacja rośnie, to przecież miliony już dzisiaj głodują. Im też jakaś żywność się należy!

Reasumując: uważam, że warto zainicjować ruch społeczny, który uderzy w podstawy naukowe sekty cieplarnianej, zamiast słabo skutecznej walki o zmniejszenie opłat. Widzę w tym dużą rolę mediów, bo dziś większości społeczeństw zrobiono już wodę z mózgu i wiara w trujące i ocieplające działanie dwutlenku węgla jest powszechna. Wolą bulić opłaty, skoro mają umierać z przegrzania. Załączam podziękowania dla red. Warzechy za w sumie dobry artykuł i pozdrawiam Redakcję. ***Krzysztof Gosiewski***

Nowoczesność czy „zdjęcie" krzyża?

Szanowna Redakcjo,
rzecz niby zwykła, Szpital Bielański im. ks. Jerzego Popiełuszki z okazji 60-lecia działalności zmienia znak (logo). Dotychczasowy – litera B (Bielany) z wpisanym znakiem Czerwonego Krzyża – zastąpiony będzie stylizowaną figurą białej róży. Rzecz byłaby lokalna, gdyby nie tłumaczenie potrzeby zmiany znaku. To ma wydźwięk ogólny.

Ze stron Urzędu m.st. Warszawy dowiadujemy się, że nowy znak powinien kojarzyć się z nowoczesnością i innowacyjnością (!) oraz nawiązywać kolorem do dzielnicy Bielany. Byłem też świadkiem dyskusji na terenie szpitala „w obronie" starego znaku. Na podnoszony argument, że obecny znak został zaprojektowany przez znanego grafika p. Romana Duszka, jest piękny w formie i niesie treść (znak Służby Zdrowia – Czerwony Krzyż), użyto kontrargumentu „ale obecny znak to zwykłe +3 i młodzi ludzie nie kojarzą go ze służbą zdrowia".

Odebrałem to osobiście jako dążenie do „zdjęcia krzyża" już nie tylko ze ściany, ale z każdego innego miejsca. Rzeczywiście jesteśmy już w takim miejscu? Rzeczywiście młodzi nie wiedzą, co to Czerwony Krzyż?

Z poważaniem
Jerzy Supel

KONDOLENCJE

16 lutego 2020 r. o godz. 18,
w 25. rocznicę śmierci

ŚP.

ojca, płk., prof.

Józefa Marii Bocheńskiego

w kościele św. Jacka
przy ul. Freta w Warszawie
zostanie odprawiona msza św.
za spokój Jego duszy.
Całe życie jako żołnierz, kapłan i filozof
służył Bogu i Polsce.

Uczniowie i przyjaciele

eprasa.pl 0a6efddd4a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rosja dziś

Dwa tygodnie temu zamieściłem na łamach „Do Rzeczy" recenzję z wystawy w Petersburgu dwóch uznanych sław sowieckiego malarstwa – Aleksandra Dejneki i Aleksandra Samochwałowa. Obaj zdobyli w latach 20. zainteresowanie modernistycznymi obrazami sławiącymi robotników i żołnierzy rewolucji. Gdy w 1932 r. Stalin nakazał zakończyć flirt komunizmu z awangardowym malarstwem, Dejneka i Samochwałow płynnie przeszli do socrealizmu. A gdy stalinizm minął, swego miejsca na parnasie sztuki ZSRS już nie oddali. W recenzji podkreślałem, jak tworząc petersburską wystawę, jej autorzy starannie omijali polityczne tło. Przy okazji zwróciłem uwagę, jak w putinowskiej Rosji krytyka epoki Stalina jest wyciszana, a socrealizm bywa przedstawiany jako etap rozwoju sztuki, który nie budzi żadnych zastrzeżeń moralnych.

Moim tekstem zainteresował się rosyjski portal Rossija Siegodnia, który zadał sobie trud przetłumaczenia go. Zerknąłem na komentarze rosyjskich czytelników.

W większości opinii panował konsensus: Jakim prawem ktoś z Polski ocenia wielką rosyjską sztukę? Dowiedziałem się, że Polacy zazdroszczą Rosji dwojga wspaniałych malarzy, bo sami nie mogą pochwalić się nikim, kto by się otarł o taki artyzm. Jeden z internautów apelował: „Zostawcie naszą historię i sztukę w spokoju! Przestańcie szczypać ją waszymi niedbałymi palcami! Nie przychodzimy do was z krytyką Chopina, Mickiewicza czy Kaczyńskich". Inni bronili socrealizmu w taki sposób: „Sztuka jest definiowana przez dwa wymiary: przestrzeń i czas. Jeśli z czasem, w różnych częściach globu, dzieło nadal wzbudza prawdziwe zainteresowanie – to jest sztuka. W tym sensie polski artykuł popiera jedynie artystyczny styl Stalina: tak, realizm socjalistyczny jest symbolem epoki, ale symbol ten jest prawdziwy, autentyczny, nie blaknie z czasem".

Tylko czytelnikowi o pseudonimie „Paranoid" spodobał się mój tekst i napisał: „Imperia nigdy nie przyznają się do błędów. Z tym zgadzam się na sto procent".

Puentę do rozważań, czy Dejneka i Samochwałow dobrze zrobili, zginając kark przed socrealizmem, dopisała książka, którą kupiłem jeszcze w Petersburgu, ale przeczytałem ją już po napisaniu artykułu o wystawie. Chodzi o pracę badaczki sowieckiego malarstwa lat 1925–1935 Olgi Routenberg: „Czy naprawdę ktoś wspomni, że istnieliśmy?". To opowieść o generacji twórców, którzy malowali modernistyczne obrazy w Rosji sowieckiej lat 20., by w 1932 r. zderzyć się z zakończeniem eksperymentów i narzuceniem socrealizmu. Większość z nich przestała malować, przynajmniej oficjalnie. Wielu wyleciało z hukiem ze związku plastyków sowieckich. A bez związkowej legitymacji nie można było kupić płócien, pędzli i farb. W życiorysach nie jest wyjaśnione, co dalej robili. Kilku, sądząc z dat śmierci w latach 1937–1938, mogło zginąć w wielkiej czystce. Bardzo duży procent malarzy zginął na frontach wojny ojczyźnianej w latach 1941–1943.

Ich losy nie wzruszyłyby chyba specjalnie autorów kąśliwych komentarzy o tym, że każda epoka historyczna ma prawo narzucać styl swego czasu. Komentarze większości rosyjskich czytelników mojego tekstu pokazały ten trend bardzo mocno. Taka jest dziś Rosja i nie mamy na to zbytniego wpływu. ©℗

FOT. JACEK MIROSŁAW/FORUM

ROMUALD LIPKO NIE ŻYJE

Legendarny multiinstrumentalista, współtwórca Budki Suflera i jeden z najwybitniejszych kompozytorów muzyki rozrywkowej w Polsce przegrał walkę z rakiem wątroby. Romuald Lipko był autorem wielu polskich przebojów, takich jak choćby „Jolka, Jolka pamiętasz". Komponował również przebojowe piosenki m.in. dla Anny Jantar, Eleni, Ireny Jarockiej, Maryli Rodowicz, Ireny Santor, Zdzisławy Sośnickiej, Izabeli Trojanowskiej czy Urszuli. Zmarł 6 lutego w wieku 69 lat. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

Triumf Trumpa, wielka klęska demokratów

Prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump pozostaje na stanowisku. W zeszłym tygodniu amerykański senat zakończył farsę zapoczątkowaną przez Partię Demokratyczną i w błyskawicznym tempie odrzucił oba artykuły impeachmentu, który miał doprowadzić do usunięcia Trumpa z Białego Domu jeszcze przed listopadowymi wyborami prezydenckimi.

Tym samym ziścił się scenariusz zapowiadany na łamach „Do Rzeczy" w zeszłym roku. Partia Demokratyczna w oczach wielu wyborców stała się ugrupowaniem, które nie tylko nie zajmuje się najważniejszymi dla Amerykanów sprawami – jak choćby wielkim kryzysem związanym z kredytami studenckimi – lecz także nie potrafi nawet dobrze przygotować batalii prawnej, którą sama rozpoczęła. Impeachment uderzył też w czołowego konkurenta Donalda Trumpa. Joe Biden stracił pozycję czołowego kandydata w wyścigu po partyjną nominację. Zniechęcenie w szeregach opozycji wzmaga bałagan związany z problemami z liczeniem głosów w prawyborach w Iowa. Nieznaczną przewagę uzyskał w nich Pete Buttigieg – zaledwie 38-letni polityk, który gdyby wygrał walkę o Biały Dom, zostałby najmłodszym prezydentem USA w historii. Tuż za nim uplasował się socjalista Bernie Sanders. Trzecie miejsce zajęła 70-letnia senator Elizabeth Warren. Joe Biden był dopiero czwarty. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. JOYCE BOGHOSIAN/WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

CZYTAJ TAKŻE „LUZOWANIE WIRUSA?" NA STR. 76

REKLAMA

Gdy drzewami wicher miota, kup Smart Casco na wypadek wgniota już od 199 zł rocznie!

Sprawdź 22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj agenta

REKLAMA

SMART CASCO od 199 zł dot. wariantu „Szkoda całkowita, Kradzież i Żywioły". Ubezpieczenie dostępne tylko w pakiecie z OC. Cena zależna od wariantu ubezpieczenia i wartości pojazdu. Szczegóły sprawdź na www.link4.pl

eprasa.pl 0a6efddd4a

PŁYWANIE W KISIELU

Znowu z PiS-em im nie wyszło

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Gazeta Wyborcza" opublikowała listę 32 sędziów, którzy udzielili poparcia jednej z członków KRS. To na swój sposób przełomowa publikacja, acz nie jest to ten przełom, którego chciały redakcja i cała „opozycja totalna". W długo toczonym boju, by zmusić PiS do zignorowania weta Urzędu Ochrony Danych Osobowych i ujawnienia publicznie, kto poparł nominowanych, opozycja sugerowała, że wymaganej liczby podpisów nie było – co miałoby oznaczać nieprawomocność wyboru rady i sędziów przez nią rekomendowanych. Upór władzy, by list nie ujawniać, przedstawiano jako dowód, że tak właśnie musi być – no bo jakby listy były w porządku, to dlaczego ich nie chcą pokazać, nawet gdy NSA wydał opinię sprzeczną z UODO?

Nazwiska sędziów poręczających za sędziów obecnej KRS były potrzebne po to, by urządzić na nich nagonkę

Ta narracja – nie pokazują, więc coś musi być nie tak – do wielu przemawiała, i oto „sensacyjna" publikacja „Wyborczej" położyła jej kres. Listy są z punktu widzenia prawa OK, cała afera ma polegać na tym, że nowych członków KRS popierali „swoi" (szok, co nie?). „Wyborcza" posunęła się nawet do demaskacji, że kandydatom, aby uzyskać wymagane prawem poparcie, „wystarczyło przejść się po gabinetach w ministerstwie".

O co więc ten krzyk – czemu opozycja tak cisnęła, by ujawnić listy, a PiS tak się opierał, skoro formalnie nic im nie można zarzucić? Otóż, znając sposoby myślenia liderów antypisowskiego rokoszu, nazwiska sędziów poręczających za sędziów obecnej KRS były potrzebne po to, by urządzić na nich nagonkę, zmłotkować, poddać takiemu środowiskowemu linczowi, żeby zaczęli publicznie składać samokrytyki i deklaracje, że „wycofują" swe podpisy. Kilku zresztą namierzono, przyciśnięto (przypomnijmy, jak wpuszczani przez prezes Gersdorf do budynku SN kodziarze nękali tam nowych sędziów) i rzeczywiście udało się ich zaszczuć. Co prawda, prawnie podpisu unieważnić po czasie nie można, ale „masowe wycofywanie podpisów" byłoby osią kampanii medialnej, sprawiającej wrażenie, że nowi sędziowie nie są sędziami, ergo, następcą pani Gersdorf może zostać tylko ktoś z jej układu.

No ale PiS się obronił, a Macron dał wyraźny sygnał, że Europa skończy swe interwencje na pogróżkach – i w końcu z „bezprawności" trzeba było zejść do „samych swoich". Znowu klapa… ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Requiem dla SLD

Partia, której początki sięgają uwłaszczenia się starych komunistycznych towarzyszy na majątku państwowym, Sojusz Lewicy Demokratycznej – znika z polskiej sceny politycznej. I to jest dobra wiadomość. Zła, bo znika tylko pozornie. Warszawski sąd zgodził się na nową nazwę partii, teraz nazywać się będzie ona Nowa Lewica i niebawem wchłonie marginalne ugrupowanie Roberta Biedronia.

Oczywiście z żadną nową jakością, z żadną europejską socjaldemokracją mieć do czynienia nie będziemy, w grę wchodzi zwykły rebranding starej, niesprzedawalnej już marki, zaś pod nowym opakowaniem kryć się będzie ten sam niesmaczny towar udekorowany nowopokoleniowymi paprotkami pokroju Anny Żukowskiej, rzeczniczki SLD, skądinąd znanej z tego, że przedwczesna śmierć jednego z sędziów TK stanowiła dla niej okazję do głupich żartów. Nowej jakości nie będzie, a zadba o to chociażby Włodzimierz Czarzasty, były prezes „Ordynackiej", który co jakiś czas przypomina, skąd się wywodzi, np. nazywając Armię Czerwoną wyzwolicielami.

A że towar stary, to warto też przypomnieć, jak on smakował. Bo i rządy ludzi starej-nowej lewicy były też wyjątkowo niestrawne; począwszy od moskiewskiej pożyczki przez aferę starachowicką, a skończywszy na aferach: Rywina, fabryki osocza i Orlenu.

W czasach rządów SLD młodzi ludzie, którzy wierząc w demokrację, protestowali przeciw powrotowi czerwonej władzy, byli na ulicznych demonstracjach rozbijanych przez policję brutalnie pałowani, zatrzymywani, zastraszani, wyrzucani z pracy.

Warto o tym pamiętać, gdy stare demony Sojuszu w przebraniu nowej lewicy będą pouczać o demokracji i europejskich wartościach. Bo mimo przebrania cesarz, ups... towarzysze – są nadzy. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE **KSIĄŻKA** ANNA POPEK „PIĘKNA 50-TKA"

~~619 ZŁ~~ > **235,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 384 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0a6efddd4a

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Renesans też trefny

Wydawałoby się, że progresistom skóra cierpnie na myśl o średniowieczu czy kontrreformacji, ale nie przyszłoby mi nigdy do głowy, że renesans – odrodzenie sztuk i nauk, otwarcie umysłów i humanizm – też im wadzi.

Tymczasem na słynnym amerykańskim uniwersytecie Yale wycofany zostanie kurs wprowadzający do historii sztuki od renesansu do czasów obecnych, ponieważ pojawiły się obawy, że niektórzy studenci w trakcie pobierania nauk mogą się poczuć urażeni. Czym? Ano tym, że zdaniem nowego szefa wydziału historii sztuki, prof. Tima Barringera, w obecnym ujęciu zajmuje się niemal wyłącznie twórczością artystów białych, w przytłaczającej większości mężczyzn, a w dodatku heteroseksualnych.

Co więcej, uznał, że kurs jest haniebnie europocentryczny i lekceważy to, co działo się w sztuce gdzie indziej. „Nie należy mylić historii europejskiego malarstwa z historią sztuki na całym świecie. Stawianie europejskiej sztuki na piedestale jest problematyczne" – powiada uczony mąż. Dlatego zlikwidowany kurs zastąpią inne: „Sztuka a polityka", „Rzemiosło świata", „Jedwabny szlak", „Miejsca kultu". Mało tego – nauczanie obejmie związki sztuki z płcią, podziałem klasowym, rasą i kapitalizmem, a jednym z kluczowych tematów będzie relacja sztuki ze zmianami klimatycznymi.

Mamy więc do czynienia z totalnym zideologizowaniem nauczania historii sztuki, czyli próbą nagięcia historycznej rzeczywistości do bieżących potrzeb propagandowych wyznawców boskiej Grety Thunberg (we Włoszech mówią o nich „gretyni"), teorii genderowych, ekologów, aktywistów LGBT i antykapitalistów. Już niebawem dowiemy się, że mroczne malarstwo holenderskie to wyraz zaniepokojenia zmianami klimatycznymi, a tła obrazów Leonarda nawołują do ochrony przyrody.

Miał rację Hegel, że historia lubi się powtarzać. Mój ojciec studiował anglistykę w mrocznych czasach stalinizmu. Jak mi opowiadał, z wykładów o historii Anglii wynikało, że pisana była powstaniami tkaczy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Papierowe samoloty

„Dziś ogłoszone zostanie oficjalne podpisanie umowy na kupno 32 sztuk F-35 za 4,6 mld dol." – napisał Szymon Hołownia, zamieszczając grafikę, która wytłuszczonymi literami poinformowała, że w stosunku do innych państw „POLSKA PŁACI NAJWIĘCEJ". „Znowu powiela Pan #FakeNews i wykazuje się brakiem elementarnej wiedzy nt. zakupów sprzętu wojskowego. 4,6 mld USD to kwota, którą płacimy za samoloty, szkolenia, system logistyczny i symulatory. Kwota za samolot jest taka sama dla państw, które kupują F-35 z tej samej serii" – odpisało kandydatowi na prezydenta Ministerstwo Obrony Narodowej.

Wydawać by się mogło, że to zamknie temat, ale Hołownia postanowił być dociekliwy. „Czy pakiet logistyczny, symulatory i szkolenia pozwolą wykorzystać walory bojowe F-35? Ile dopłacimy za dostosowanie środków systemu dowodzenia? Środki bojowe? Te pytania pozostają otwarte" – rzucił. „Nie, logistyka, symulatory i szkolenia w ogóle w niczym nie pomogą. Najlepiej też nie dokupować środków bojowych. Wziąć same korpusy samolotów i otworzyć muzeum F-35. Mogę Panu doradzić jak" – odpisał jednak Michał Szpądrowski, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Nie był to jedyny temat okołosamolotowy, którym przy okazji rozpoczętej kampanii błysnął Hołownia, prezentując pierwszy spot wyborczy, w którym obiecał „skończyć z chaosem" w polityce. Tyle że fragmentem z brzozą i lecącym na niego papierowym samolocikiem, zapoczątkował kolejny. „Ten żart z brzozą – brak mi słów" – skomentowała Kataryna.

„To nie był motyw użyty dla żartu... Nic tak nas nie podzieliło w ostatnich latach jak właśnie katastrofa smoleńska... Ten spot w sposób symboliczny pokazuje, dokąd to wszystko zmierza. Czas na złapanie oddechu... offline... i nowe podejście do debaty publicznej" – wytłumaczył Łukasz Krasoń, doradca kampanijny Hołowni. Gdy sytuacja zrobiła się napięta, a metafora nie trafiła na podatny grunt, wypowiedział się sam zainteresowany. „Nie przyszłoby mi do głowy, by sprawdzać gatunki drzew w moim spocie. Niektórym przyszło. To nie ja kpię z katastrofy smoleńskiej, która była dla mnie wielkim osobistym wstrząsem. To oni z niej kpią". Naprawdę, nowe otwarcie. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

REKLAMA

OKŁADKA ZINTEGROWANA

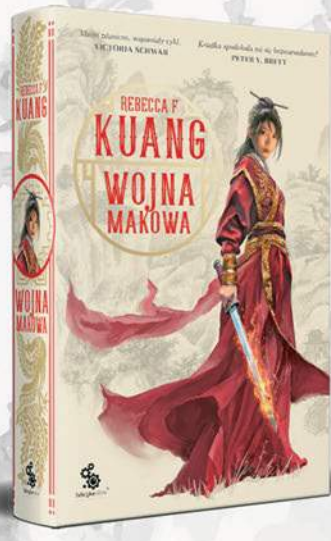

OKŁADKA MIĘKKA

Studium każdego rodzaju przemocy... Kuang czerpie z historii Azji Wschodniej, w tym z brutalności drugiej wojny chińsko-japońskiej, aby stworzyć unikalne doświadczenie.
– Washington Post –

PREMIERA 12.02.2020

fabryka słów

REKLAMA

DZIESIĘĆ MOCNYCH ROZMÓW O STANIE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO I JEGO PRZYSZŁOŚCI W POLSCE

ROZMAWIA TOMASZ P. TERLIKOWSKI

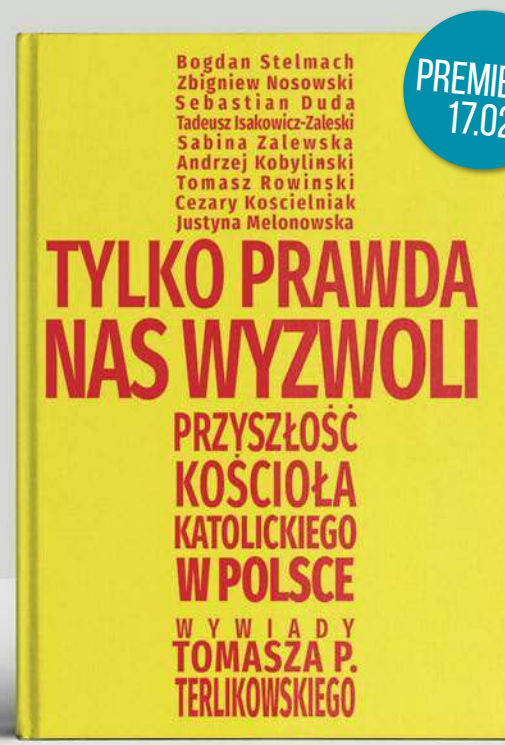

PREMIERA 17.02

eprasa.pl 0a6efddd4a

FANTAZJE PIĘCIOLATKA

Celebryta i zdeklarowany gej Michał Piróg postanowił odnieść się do słów prezydenta Andrzeja Dudy, który w wywiadzie dla „Wprost" nie wykluczył, że rozważyłby podpisanie ustawy regulującej status osoby najbliższej, co zostało odebrane jako wyrażenie poparcia dla związków partnerskich. Piróg słowa prezydenta określa mianem „lania wody". – To nic nie oznacza. Być może było to podyktowane fantazją pięcioletniego chłopca, dzieci różne rzeczy mówią, że będą naukowcem, faraonem czy prezydentem – oznajmił. – Fakt, że ktoś ma wysokie poparcie, nie oznacza, że jest dobrym kandydatem. W przeszłości różni źli politycy również cieszyli się ogromną popularnością – dodaje. – Czy jest ktoś przytomnie myślący, kto wierzy w to, co mówi Andrzej Duda? – pyta na koniec. Jakieś 8,6 mln wyborców, bo tylu ich było w 2015 r. W tym roku może być więcej.

HUMOR ELITY

Prezenterka Grażyna Torbicka podczas gali Bestsellery Empiku wręczała nagrodę w kategorii film fabularny. Nagrodę zdobył Wojciech Smarzowski za film „Kler". Torbicka, otwierając kopertę, zagaiła: „Czarno to widzę". Później, niestety, postanowiła kontynuować swoje „żarty".

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

Sam reżyser, odbierając nagrodę, dodał jeszcze, że życzy wszystkim „dobrego wieczoru i rozwiązania konkordatu". A Torbicka podsumowała: – Tym sposobem w naszym kraju kler znów dominuje – stwierdziła. I to jest, proszę państwa, kultura na najwyższym poziomie, nie to co jakiś Sylwester Marzeń w TVP.

WSZYSTKIE TWARZE PISARKI

Polsat planuje nowe reality show z zawodnikami MMA w rolach głównych. Widzowie będą mogli obserwować treningi zawodników i ich walki, a także na bieżąco śledzić życie prywatne w domu pełnym kamer.

Nagrodą dla zwycięzcy ma być profesjonalny kontrakt zawodnika MMA. Prowadzącą show będzie Blanka Lipińska, która zasłynęła jako autorka poczytnej powieści erotycznej „365 dni", będącej polską odpowiedzią na „Pięćdziesiąt twarzy Greya". Lipińska od wielu lat jest też związana z MMA.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

– Mam silny pierwiastek męski i dlatego nie obawiam się roli jedynej kobiety w „Tylko jeden" – stwierdziła Lipińska. – Wprowadzę element kobiecy do tej świątyni testosteronu, ale niech żaden z uczestników nie liczy na słodką blondyneczkę, z którą będzie mógł poflirtować – wyznała. – Mogę być dla uczestników programu przyjaciółką, ale gdy zajdzie taka potrzeba, to poznają moją drugą twarz, mniej słodką niż ta pierwsza – dodaje. A gdyby tak nie musieć poznawać żadnej twarzy pani Lipińskiej? Pomarzyć zawsze można.

WIELKA POLSZCZYZNA

Niestety sukces erotycznych powieści pani Lipińskiej wskazuje na to, że nowa celebrytka nie da o sobie szybko zapomnieć. Trzeba się zatem nastawić na jej dłuższą obecność w show-biznesie i, co gorsza, na jej następne powieści. Tymczasem sama Lipińska narzeka, że inni pisarze niespecjalnie ją cenią. Tłumaczy to oczywiście zazdrością. – Koledzy pisarze mi nie gratulują. Mam takich autorów, z którymi znam się prywatnie, i oni owszem. Inni – nie. Zazdrośni! Wiadomo. Lipińska siedziała na targach i podpisywała trzy godziny, a oni tylko godzinę – opowiada Lipińska. – Obchodzi mnie zdanie ludzi. Skoro stoi ta kolejka i ci biedni ludzie czekają na mnie trzy godziny, to jest dla mnie największa nagroda – dodaje.

– Nie zawsze jest słodko pierdząco – kwituje pani Blanka swoją piękną polszczyzną. My też nie rozumiemy, jak koledzy pisarze mogli się nie poznać na takim talencie! ©℗

FOT. PAWEŁ GROMADA

eprasa.pl 0a6efddd4a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, to straszna siara, iż prezydent Macron musiał przyjechać do tego kraju z wizytą. W ogóle nam się to nie podoba, to prezydent tego kraju powinien jeździć na Zachód, a nie fatygować innych przywódców, żeby odwiedzali jego.

Co jednak nas najbardziej w tym wszystkim boli, to iż Duda wręczył Macronowi w prezencie

książki. Siara przynajmniej z kilku powodów: były to książki drukowane na papierze, który robi się z drzew, a nie e-booki. Były to książki noblistów/noblistek, ale na jedną książkę Sienkiewicza przypadła tylko jedna książka Tokarczuk – gdzie parytet?! Proporcje powinny być odwrotne!!!

No i wreszcie: to prezent dyskryminujący, iż może Macron poczuł się obrażony sugestią, iż akurat tych książek nie czytał? A może Macron nie lubi czytać? Mamy tylko nadzieję, iż Duda nie opowiadał mu, kto kogo nauczył używania widelców :(

Pozostańmy we Francji. Jest taki piłkarz Neymar, który gra w klubie PSG. I otósh tenże piłkarz w ostatnim meczu został upomniany przez osobosędziego za zbyt prowokacyjne sztuczki techniczne, przez które przeciwnikom mogło się zrobić przykro.

Spójrzcie, jak czujnie zachował się sędzia – tym bardziej chcielibyśmy wprowadzenia podobnych standardów u nas i tym mocniej będziemy walczyć o wolne sądy.

Wracając zaś do piłki nożnej. Wreszcie też ktoś zwrócił uwagę na dysproporcje pomiędzy umiejętnościami zawodników i całych zespołów. My z zadowoleniem przyjmujemy postawę sędziego i mamy nawet kolejne pomysły: gdyby wynik był wysoki, sędzia mógłby nakazać pomieszanie składów i grać od zera. Nie byłoby takich sytuacji jak zwycięstwo tego kraju z San Marino 10:0.

Kolejny pomysł to przerwanie takiego meczu i nakazanie, aby wszyscy ładnie bawili się razem – nie ma, że ten jest z tym, a ten z tym. Każdy każdemu podaje, a jak komuś coś nie wyjdzie, to na szafce w szatni naklejamy słoneczko, iżby się nie smucił. No i oczywiście zapraszamy do rozgrywek waginoosoby oraz osoby niebinarne, iżby futbol naprawdę nikogo nie wykluczał.

Słyszeliśmy o ciekawym europejskim pomyśle wprowadzenia podatku od mięsa, co spowodowałoby znaczne podwyżki jego cen.

Jest to pomysł szlachetny, ale jednak tylko półśrodek, iż spowoduje, iż mięso wciąż będzie dostępne, ale tylko dla bogatych, którzy nie dość, że będą mogli je kupić, to w dodatku zaczną się snobować na mielonkę i mortadelę.

Naszym zdaniem należy całkowicie zdelegalizować mięso i to nie w perspektywie kilkuletniej, ale od razu. Nie ma na co czekać. A w kolejce za mięsem ustawimy kolejne produkty, aż wszyscy będziemy jedli tylko brukiew, tofu i kiełki sushi. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Poważna rozmowa

O, cześć, Marcin.
To nie Marcin, Gośka. Przecież ja jestem Borys.

Ano tak, faktycznie, jakoś cię nie poznałam. Co tam?
Musimy poważnie porozmawiać. Trzeba coś zrobić z tymi twoimi wpadkami.

Oj, nie przesadzaj. Jakimi wpadkami? Że powiedziałam, że cały PiS będzie za mną stał? No i dobrze, niech stoi!
Jeśli się pomylisz w jakiejś ważniejszej sprawie, to to już będzie naprawdę niepoważnie wyglądać. Ty masz być prezydentem. Prezydent nie może takich numerów odstawiać.

Prezydentką – pamiętaj, żeby o tym pamiętać. Poza tym co ja znowu mogę pomylić?
Cokolwiek. Na przykład powiedz mi, kto jest prezydentem USA?

Żartujesz? Przecież to podstawówka. No przecież Bush... To znaczy ten, nie Obarak, nie Mubarak, ten to był w Tajlandii, tylko no... ten, no...
Widzisz? Właśnie o tym mówię. Zapamiętaj sobie przynajmniej to jedno, może na zasadzie skojarzenia, że ma nazwisko jak określenie człowieka, który się włóczy.

Menel? A to ten nie jest we Francji? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie przyszłoby mi do głowy, by sprawdzać gatunki drzew w moim spocie".

SZYMON HOŁOWNIA, *celebryta i kandydat na prezydenta, o swoim spocie wyborczym, w którym zakpiono z katastrofy smoleńskiej*

eprasa.pl 0a6efddd4a

PRZEKOP MIERZEI WIŚLANEJ: JEST HARMONOGRAM

Już w 2022 r. nowo wybudowanym kanałem przez Mierzeję Wiślaną ma przepłynąć pierwszy statek. Dyrektor Urzędu Morskiego w Gdyni zatwierdził w ubiegłym tygodniu harmonogram dla budowy przekopu Mierzei Wiślanej. Dokument określa tzw. kroki milowe w realizacji śluzy z dwoma obrotowymi mostami w miejscowości Nowy Świat. Przekop Mierzei Wiślanej zakłada trzy etapy budowy. Pierwszy to utworzenie tymczasowego nabrzeża od strony Zatoki Gdańskiej. Drugi etap to budowa toru wodnego na Zalewie Wiślanym, a trzecim jest budowa toru wodnego na rzece Elbląg.

Kanał żeglugowy ma mieć 1 km długości i 5 m głębokości. Umożliwi wpływanie do portu w Elblągu jednostek o zanurzeniu do 4 m, długości 100 m, szerokości – 20 m.

Pierwsze prace związane z przekopem ruszyły już w grudniu 2019 r. Na miejscu budowy rozpoczęło się stawianie obiektów socjalnych i biurowych oraz oczyszczanie oraz równanie terenu. Różnego rodzaju lobbyści wciąż próbują jednak doprowadzić do wstrzymania inwestycji. Na wstrzymaniu przekopu zależy szczególnie władzom w Moskwie. Nowy kanał umożliwi bowiem Polsce dostęp z Zalewu Wiślanego do Bałtyku z pominięciem kontrolowanej przez Rosję Cieśniny Piławskiej. Budowa kanału żeglugowego ma kosztować ok. 2-3 mld zł. ©℗

FOT. PAWEŁ MARCARZ/FORUM

dwaj panowie g

Do wszystkich fanów premiera Mateusza: czeka was trudny okres. Musicie uzbroić się w cierpliwość. Na najwyższych szczeblach sztabowych podjęto decyzję, że podczas kampanii prezydenckiej Andrzeja Sebastiana premier Mateusz ma być eksponowany zdecydowanie rzadziej. Na scenie głównej aż do maja występować ma tylko jedna gwiazda.

Przy okazji, skoro już ogłoszono termin wyborów, pozdrawiamy Eine Totalopposition i dziękujemy za przypomnienie jej korzeni. Na spotkaniu z prezydentem Andrzejem Sebastianem w Lubartowie do boju wysłano dziecko z plakatem: „Chroń klimat, chroń ludzi". W 1945 r., w miarę, jak front się zbliżał, też wysyłano do boju dzieci. Ale na ubogo, bez plakatów. Żeby było bez podtekstów, dodamy, że zapewne chodzi nam o front zachodni.

Skoro już o dzieciach: mają Szwedzi swoją Gretę Thunberg, mają i Polacy swoją też. Nasza nazywa się Sylwia Spurek. Zachowuje się równie dziecinnie, a piramidalne bzdury wygaduje z miną równie poważną i zaciętą. Powiedzielibyśmy nawet, że nasza Thunberg jest lepsza, ale nie mamy pewności, czy przypadkiem do europarlamentu nie lata samolotem, niszcząc planetę, albo – co gorsza – jeździ samochodem nieelektrycznym.

Zmiany, zmiany. Będzie poszerzenie zarządu TVP. Wiewiórki mówią, że ma tam trafić człowiek Gowina. I nawet podają jego nazwisko: Lech Jaworski. W związku z tym, że ta kandydatura u niektórych tuzów Zjednoczonej Prawicy nie wywołuje entuzjazmu, Gowin ma w zanadrzu alternatywnego kandydata. Ale poszerzenie tak czy inaczej jest podobno przesądzone.

Wiewiórki nawet podpowiadają, kiedy się to stanie. Otóż lada dzień wróci do Sejmu ustawa dokładająca kasę mediom publicznym w ramach kolejnej rekompensaty. Zaraz po tym, jak Sejm odrzuci weto Senatu, zacznie się poszerzanie. Wtedy 1 marca Lech Jaworski lub jego alternatywa melduje się w robocie.

Mają Szwedzi swoją Gretę Thunberg, mają i Polacy swoją też. Nasza nazywa się Sylwia Spurek. Zachowuje się równie dziecinnie

Zmiany, zmiany. Ważą się losy szefa CBA. Wiemy, że kilka osób było sondowanych w sprawie następstwa. Na razie jednak nikt spoza firmy nie był zainteresowany. Nic nie jest jeszcze przesądzone, bo Ernesta Bejdę bardzo lubią i bronią na szczytach prokuratury. Nas to nie dziwi. Ernest to naprawdę sympatyczny facet.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zmiany, zmiany. Ważą się losy ambasador Barbary Ćwioro z Pragi. Relacjonowaliśmy sprawę już kilkakrotnie. Najnowsza wiadomość: MSZ zawnioskowało do premiera o jej odwołanie. Sprawa, jak mawia się w żargonie urzędniczym, jest w podpisie. Tymczasem już trzecia osoba z ambasady zgłosiła mobbing. Oskarżenia dwóch poprzednich się potwierdzają.

Hiobowe wieści! Do Krajowej Rady Sądownictwa przyszła kontrola! A właściwie przyszedł kontrol, gdyż kontrol, jak wiadomo, to mężczyzna. Jest to inspektor Najwyższej Izby Kontroli. Kontrol przybył służbowo i zabiera się za trzepanie papierów. Niestety, musimy zmartwić przedstawicieli Eine Totalopposition – nie jest to zemsta Pancernego Banasia na PiS, lecz planowa kontrola coroczna.

Rzeczy planowe też bywają interesujące, więc by wzmocnić efekt dramatyczny ujawniamy: kontrol z NIK, znaczy inspektor, który nawiedził Krajową Radę Sądownictwa, nazywa się Wilk. Nie zmyślamy.

Z życia elit. Goście gali tygodnika rybackiego, na którym przyznano premierowi Mateuszowi tytuł Człowieka Wolności, odnotowali pewne braki wśród gości. Na przykład nie pojawili się państwo Ziobro, choć byli zaproszeni, nawet bardzo. Podobno chcieli przyjść zaraz po tym, jak wrócą z Radomia. A kiedy mieli wrócić z Radomia? Otóż nie wybierali się.

Z kolei na konwencję SolPolu w sobotę nie zaproszono premiera Mateusza, co strasznie podekscytowało niektórych pismaków. Sprawdziliśmy. Głupia sprawa, na żadną dotąd konwencję SolPolu nie zapraszano premierów. Nawet premier Bełaty Szydło. Jednak nie ma się czym ekscytować.

W przypadku jednej i drugiej imprezy zaproszonym numer jeden był Naczelnik Państwa Jarosław, znany też jako Kaczor Dyktator. Ograniczył się jednak do listu kurtuazyjnego. W sumie dobrze, ktoś przecież musi pracować, gdy inni świętują.

eprasa.pl 0a6efddd4a

Ma się te wpływy. Tylko parę razy skrytykowaliśmy opieszałość sądu w kwestii zmian w statucie SLD, a tu już, hyc, udało się przyspieszyć. I będzie oficjalnie Nowa Lewica. I będzie kongres zjednoczeniowy. Na który, mamy nadzieję, zostaniemy zaproszeni. A jak nie, to i tak przyjdziemy. Obserwowanie na żywo przemowy Wielkiego Przewodniczącego Czao-Czarzastego warte jest odrobiny zachodu. Dopiero przy mowie Robika Biedronia poprosimy o zwrot za bilety.

Z Nową Lewicą kojarzą nam się same ciekawe rzeczy. Na przykład w stosunku do Bieruta nową lewicą był Gomułka. A w stosunku do Gomułki – Gierek. Po Gierku nastał czas twardej nowej lewicy Jaruzelskiego. Po Jaruzelskim nową lewicą byli Kwaśniewski, Miller i Czarzasty. Dziś będzie nią, dla odmiany, Czarzasty.

À propos Kwaśniewskiego. Podziwiamy Robika Biedronia, który ogłosił, że chce być Kwaśniewskim 2.0. Biedroń to chudzina, więc raczej powinien zaczynać spożycie od 0,2. Przedział od 0,5 do 1,0 to zwyczajny Kwaśniewski, ale już wyzwanie dla pozostałych. Na dwa litry na pewno Robik nie jest przygotowany. Nawet z pomocą Śmiszka.

Skoro już o Kwaśniewskich i ich nieruchomościach. No i ich tropicielu. Jeśli agent Tomek miał nadzieję, że uniknie kary, wkradłszy się w łaski Kwaśniewskich, to mamy dla niego dwie wiadomości. Obie złe. Pierwsza: nie uniknie. Druga: Kwaśniewscy trzęsą się na myśl o tym, co się nagrało i kiedy ujawnią to dziennikarze. Zapewniamy, że jest co ujawniać. Zatem chyba na razie Kwaśniewskim 2.0 zostanie oryginalny Kwaśniewski – bez dwóch litrów smutku dobrze nie utopisz.

Jeszcze o używkach. Kazik Marcinkiewicz ogłosił w „Der Fakcie", że rzuca alkohol. I pochwalił się, że nie pije już trzy tygodnie. W związku z tym przypomniał nam się stary żart z monologu W.C. Fieldsa: „Nie mówcie, że rzucenie picia jest trudne – robiłem to tysiące razy!".

Teraz będzie refleksyjnie i filozoficznie. Kazimierz Marcinkiewicz… Człowiek mem… Rzucił PiS, rzucił Isabel, rzucił picie. Cóż zostanie teraz

temu biedaczynie z życia? Sic transit gloria Kazek. Właściwie już bardzo dawna gloria i bardzo transit.

Dotąd nikt nie miał w jednym ręku policji i służb tak cywilnych, jak wojskowych" – pisały o nim gazety. „Człowiek, którego Tusk zrobił carem wywiadu" – pisały gazety. O „mocnej pozycji, najwyższym zaufaniu, jakim premier darzy właśnie ministra Cichockiego" pisały gaze... wróć, mówił car WSI, Marek Dukaczewski. Ten skromny człowiek, Jacek Cichocki, jest dziś szefem kampanii Hołowni Szymona, co oczywiście nie ma nic wspólnego z żadnym z powyższych cytatów.

Kwaśniewscy trzęsą się na myśl o tym, co się nagrało i kiedy ujawnią to dziennikarze. Zapewniamy, że jest co ujawniać

Pierwszym osiągnięciem sztabu Hołowni i Jacka Cichockiego było pokazanie spotu, w którym znalazły się kpina z tragedii smoleńskiej oraz chwytliwe znane z telewizji hasło: „Mamy talent!". Czy nie łatwiej byłoby po prostu wystawić w wyborach Macieja Stuhra? To nasze pytanie do grupy biznesowo-towarzyskiej stojącej za Hołownią.

Gratulujemy „Gazecie Wyborczej" świetnej roboty. Udało jej się zdobyć listę poparcia kandydatki do KRS, z której to listy wynika, że wszystko odbyło się zgodnie z prawem. To przełomowy moment w historii dziennikarstwa śledczego. Dotychczas powodem publikowania artykułów było to, że coś się wydarzyło. Odtąd wystarczającym powodem będzie to, że nic się nie wydarzyło.

À propos rzeczy, które naprawdę się wydarzyły. W prokuraturze czekają dwa świeżutkie wnioski o uchylenie immunitetu parlamentarnego. W wielkiej konfidencji zdradzimy, że czynności w tej sprawie wykonywały tzw. dziewiątki, jak pieszczotliwie nazywają centralę CBA jej funkcjonariusze. Niech to zatem będzie dla was wskazówką, o kogo może chodzić. Tak czy inaczej, będzie się działo.

Ten rząd zaczął od dwóch najgorszych z możliwych sygnałów, czyli zerwany kontrakt na karakany..." – ogłosił europoseł Halicki Andrzej. „… kale" – poprawił go Borysław BoBu Budka, nowy szef PeŁo. Niniejszym uznajemy dalsze istnienie naszej rubryki za niepotrzebne. Życie satyryczno-polityczne rozkwita bowiem i bez niej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Marks na słodko

Piotr Semka

Lewica – ta nowa od Adriana Zandberga i ta stara od Włodzimierza Czarzastego – jest wyczulona na jakikolwiek nawrót do przestrzeni publicznej treści faszyzujących, uznając je za groźbę powrotu do zbrodni drugiej wojny światowej. W drugą stronę to nie działa. Lewica nie widzi w przeszłości swojej formacji niczego niepokojącego

Specjalnością Adriana Zandberga (na zdjęciu), a za nim aktywistów Razem stały się zręczne polemiki słowne z krytykami idealizacji Marksa

FOT. LIDIA NIZIOL/ARTSERVICE/FORUM

Nowa lewica uważa, że wiele stereotypów można odgrzać. Oskarżyć o pożary lasów w Australii kapitalizm. Zamykać oczy na pochwały przemocy rewolucyjnej w dziełach Marksa i uznawać, że marksizm nie miał nic wspólnego ze zbrodniami imperium sowieckiego.

Trzy próbki retoryki, która jeszcze 30 lat temu, jak wierzono, odeszła na dobre. Pierwsza – odgrzewająca nienawistny klerykalizm palący kościoły, druga – zamykająca oczy na walkę z robotnikami w latach 80. – i trzecia – wskrzeszająca dogmat, że kapitalizm odpowiada za całe zło na świecie. Trzy przykłady, że w obozie lewicy nienawistne ideologie wracają jak gdyby nigdy nic:

15 kwietnia 2019 r. wybucha pożar, który obejmuje dach katedry Notre Dame w Paryżu. Na koncie twitterowym Roberta Kolińskiego, kandydata do europarlamentu z nadania partii Razem, pojawia się mem ze zdjęciem płonącej świątyni. Napis brzmi: „Jedyny Kościół, który oświeca, to ten, który płonie". 24 listopada 2019 r. na koncie Młodzi Razem zostaje odnotowana rocznica: „24 listopada 1984 r. powstaje Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Doceniamy wkład OPZZ w obronę praw pracowniczych w Polsce". Tak młodzieżówka partii Adriana Zandberga fetuje neozwiązki powołane na bazie ukradzionego majątku NSZZ „Solidarność" zniszczonego 13 grudnia 1981 r. przez gen. Jaruzelskiego.

Dalej, 1 stycznia br. partia Razem ogłasza sylwestrową listę siedmiu rzeczy, które „każdy w nowym roku powinien słyszeć". Punkt piąty głosi, że „kapitalizm spowodował kryzys klimatyczny i nierówności społeczne" i „jest systemem tłamszącym najmniej zamożnych".

I wreszcie, gdy niedawno minister Piotr Gliński zapowiedział powołanie Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, w odpowiedzi Adrian Zandberg publicznie pytał: „Czy pan minister zamierza także powołać Instytut Dziedzictwa Myśli Polskiego Demokratycznego Socjalizmu im. Kazimierza Kelles-Krauza i Zygmunta Zaremby?". Powoływanie się na Zygmunta Zarembę, samotnego odważnego antykomunistycznego socjalistę działającego po wojnie na czele podziemnej PPS-WRN, powinno być zobowiązaniem do reagowania, gdy partnerzy z lewicy powołują się na tradycję PPR. Kto milczy w takiej sytuacji – ten ujawnia swoje instrumentalne traktowanie tradycji PPS.

Wejście do Sejmu grupy polityków partii Razem wraz z powrotem do parlamentu silnej grupy Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Wiosny oznacza pojawienie się na scenie politycznej znaczącej reprezentacji ugrupowań, które rehabilitują komunizm, marksizm i podejmują na nowo agresywne dogmaty walki klasowej. Nowa lewica ma wiele odcieni i nurtów, ale łączy je jedna cecha: chęć zanegowania wielu konsensusów historycznych powstałych po upadku PRL, a niekiedy tworzenie starych stereotypów komunistycznych w nowych szatach. Ten konglomerat neomarksizmu tworzą ludzie bardzo różni. To Adrian Zandberg, sławiący Karola Marksa i ogłaszający, że w PRL było łatwiej zdobyć mieszkania niż dziś. To Maciej Gdula

eprasa.pl 0a6efddd4a

z Wiosny, który częściowo usprawiedliwia ataki na polu historii Władimira Putina, czy młodzieżówka Razem, która protestuje przeciwko łączeniu idei komunizmu z głodem na Ukrainie. To Robert Kwiatkowski z SLD, który bez osłonek ogłasza, że „nie wstydzimy się tradycji i dorobku Polskiej Partii Robotniczej", czy Włodzimierz Czarzasty sławiący wyzwolenie z lat 1944/1945 w wykonaniu Armii Czerwonej.

Jak radzą sobie neomarksiści z wywabianiem krwawych plam ze sztandaru komunizmu?

WZRUSZAJĄCE LATA 90.

Gdy na przełomie lat 80. i 90. runęło wreszcie dawne imperium sowieckie, elity opozycyjne były przekonane o swoim całkowitym zwycięstwie moralnym i historiozoficznym. Wydawało się, że komunizm i marksizm ostatecznie się skompromitowały. Mówiono o „końcu historii". W Polsce panowało przekonanie, że czerwony sztandar stanie się domeną grup marginalnych i egzotycznych. Jednak uważniejsi obserwatorzy historii Europy w II połowie XIX w. wskazywali, że witalizm marksizmu przeniósł się po 1968 r. na Zachód. Wtedy, w 1989 r., kiedy większości Polaków Zachód kojarzył się z dobrymi samochodami, żywnością w kolorowych opakowaniach i demokracją, takie opinie przyjmowano często wzruszeniem ramiom. A jednak bardzo szybko na scenie medialnej spotkały się „stara" nostalgia za PRL i nowy neomarksizm historyczny.

Wierność PRL-owskim bohaterom umacniał w małym stopniu osłabiony obóz postkomunistów na czele z Aleksandrem Kwaśniewskim. Ten nurt skupiał się głównie na symbolach drogich dla pokolenia pezetpeerowsko-ormowskiego. Kult Jaruzelskiego, protesty przeciwko usuwaniu pomników Gwardii Ludowej, np. w Polichnie koło Piotrkowa, podkreślanie krwi przelanej przez kościuszkowców, bronienie osiągnięć PRL w odbudowie ziem zachodnich i industrializacji kraju. Najlepszą ilustracją tego nurtu był tygodnik „Przegląd", który do dziś na swoich pierwszych stronach wyciąga i heroizuje rozmaite postacie z obozu władzy PRL. Ten nurt irytował prawicę, ale często był bagatelizowany jako spadek po Polsce Ludowej, który będzie wymierał wraz z odchodzeniem starszych pokoleń.

O wiele większym szokiem dla antykomunistów było to, jak szybko obronę części dziedzictwa komunistycznego podjęła „Gazeta Wyborcza" i – szerzej – byłe elity lewicy Solidarności. Tutaj także broniono Jaruzelskiego, ale przede wszystkim broniono komunistów jako prometeuszy, którzy zbłądzili. W myśl tej logiki komunizm był szlachetny, ale w praktyce wyrodził się w stalinizm, a potem w sowiecki biurokratyzm. Na tym tle podkreślano, że dobrzy komuniści padali ofiarą stalinizmu albo zdobywali się nawet na opozycyjność. Sztandarowym przykładem takich bohaterów był duet Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, których kreowano na pionierów walki o wolność w PRL, tak jakby przed nimi nikt wcześniej nie rzucał wyzwania władzy. Sankcją uświęcającą była też walka z ogólnikowo nazywanym faszyzmem. To był np. casus dąbrowszczaków – oddziałów komunistycznych walczących w latach 1937–1939 w obronie czerwonej Hiszpanii.

Kolejnym nurtem rehabilitowania komunistycznej tradycji była pamięć o tych twórcach, którzy padli ofiarą czystek Stalina z lat 1936–1939. Dobrym przykładem takiej rehabilitacji była postać komunisty Brunona Jasieńskiego i animowanie specjalnych obchodów ku jego czci w jego rodzinnym Klimontowie.

I wreszcie ostatni nurt to heroizacja partyjnych rewizjonistów, którzy nie zdecydowali się na wyjście z PZPR, ale w opinii „Wyborczej" dobrze przysłużyli się kulturze jako obrońcy pewnych sfer liberalizmu. Na tej zasadzie do rangi uczciwych marksistów awansowali Andrzej Werblan, za wspieranie filmów Andrzeja Wajdy, czy Mieczysław Rakowski, chwalony za rzekome nieprzyłączanie się do antysemickiej nagonki marcowej w 1968 r.

Jednak cała ta działalność obrończa gazety Adama Michnika miała bardziej na celu zachęcenie czytelnika, by wczuł się i po części zrozumiał oraz usprawiedliwiał dramatyczne wybory, którym podlegało pokolenie, które wybrało marksizm. Michnik raczej nie bagatelizował potwornego wpływu „ukąszenia heglowskiego" na losy Polski i Europy. Rzadkie było też w latach 90. bezpośrednie uwalnianie Karola Marksa od wpływu na komunistyczną praktykę.

Przy wszystkich irytacjach, które opanowywały prawicowców przy lekturze takich tekstów, była w nich świadomość, jak wiele złego zrobiły idee obiecujące pozorną szczęśliwość i sprawiedliwość. Michnik mówił raczej „nie wszystko było złe", niż „wszystko było świetne". Częściej apelował: „Zrozumcie intencje tych, którzy zbłądzili", niż kłócił się, że cała ta zabawa w marksizm była niewinna lub dobroczynna. Z czasem to się jednak zaczęło zmieniać.

EPOKA „SIERAKA"

Dzisiaj widać bardzo wyraźnie, że najbardziej żywe pokolenie neomarksistów wychowało się na portalu „Krytyki Politycznej", który powstał w 2002 r., z czołową rolą Sławomira Sierakowskiego. Doceniało ono znaczenie „Gazety Wyborczej" dla rehabilitowania tradycji lewicowo-postkomunistycznej, ale jednocześnie było dość dalekie od typowej stylistyki sierot po PRL, z „Trybuny" czy „Przeglądu". Na forum „Krypola" rzadkością były peany ku czci Wojciecha Jaruzelskiego czy Jerzego Urbana (krytyki też nie było). Dla tej generacji były to dość egzotyczne postacie, na dodatek – co młodzi dość wyraźnie wyłapywali – unurzane w nomenklaturowym bogactwie. Owszem, może zdarzyła się na łamach „KP" jakaś pochwała Urbanowej kpiny z Kościoła, ale nie do pomyślenia były wizyty u Urbana w jego willi w Konstancinie.

Sierakowski wolał lansować neomarksistę Slavoja Žižka i zachwycać się wczesnym dziełami Marksa.

Przez pewien czas „Krypol" dosyć szczerze chciał ożywić tradycje robotnicze Sierpnia 1980, choć wypreparowane z idei narodowych i katolicyzmu. Te próby bywały dosyć karkołomne. Tak jak lewicowcy próbowali odróżniać „młodego Marksa" od starego, tak próbowano z jego wystąpień ze stoczni kompilować sztuki teatralne w teatrze Wybrzeże w Gdańsku. Wszystko to z przypominaniem szczupłej, młodej twarzy najsłynniejszego elektryka sprzed wielu lat. Miało to być w zamierzeniu „Krypola" czymś zaskakującym i świeżym dla młodego pokolenia, które znało Wałęsę jako strasznego dziadunia. Na podobnej zasadzie próbowano wylansować Henrykę Krzywonos na politycznie poprawną konkurencję dla zbyt narodowo-katolickiej Anny Walentynowicz.

Wreszcie trzecią próbą były starania o wykreowanie Jacka Kuronia na patrona nowej lewicy. Z ogromnym wysiłkiem „Krytyka Polityczna" wydała dzieła wszystkie Jacka Kuronia, ale do tych wielkich tomiszczy nie zaglądało zbyt wielu. Innym polem działania były próby poszukiwania klasowo upośledzonych ofiar, które zostały pominięte przez polską historię. Tutaj na zasadzie „zrobimy wam na złość" zachwycano się pieśnią o Jakubie Szeli znajdującą się na albumie grupy R.U.T.A., a Jakub Majmurek z zapałem opisywał sowieckie

eprasa.pl 0a6efddd4a

antyreligijne filmy Eisensteina i Dzigi Wiertowa z lat 30. Kopiowano też zachodnie traumy postkolonialne, odnosząc się do dzieła Daniela Beauvois i stawiając tezę, że Polacy winni przeprowadzić rachunek sumienia za kolonialny wyzysk Ukrainy i Białorusi oraz „krajową" zbrodnię wielowiekowej pańszczyzny.

I wreszcie ostatni nurt nowego patrzenia na historię w wykonaniu „Krytyki Politycznej". To teza, że koszmar PRL, który był, jaki był, ale per saldo bez niego nie byłoby unowocześnienia Polski. I wreszcie – jak w dobrze dobranym koktajlu – „Krypol" podjął znaną nam już z „Gazety Wyborczej" tradycję „zrozumcie błądzących lewicowców". W myśl niej powstały biografie Władysława Broniewskiego, Aleksandra Forda czy Heleny Kozłowskiej (Beli Frisz).

Ten ostatni przypadek był bardzo charakterystyczny dla sposobu myślenia tego środowiska o bohaterach ruchu komunistycznego. Autorka książki „Ulica cioci Oli. Z dziejów jednej rewolucjonistki", Aleksandra Domańska, nie ukrywała, że do napisania swego dziełka skłoniła ją decyzja IPN o zmianie nazwy dedykowanej Kozłowskiej ulicy w Warszawie. To przypomnienie, że ta literatura usprawiedliwiająca to w pewnym, choć znaczącym stopniu reakcja potomków komunistów na krytykę ich dziadków i babć. Recenzująca tę książkę na łamach „Rzeczpospolitej" konserwatywna publicystka Beata Zubowicz zdefiniowała te emocje tak: „Próba Domańskiej, by obronić intencje babki, dobrze pokazuje zapętlenie elit III RP – tych wywodzących się z dysydenckich domów. Mogą potępić Stalina jako kata i despotę, mogą – komunizm jako ideologię, która nie ustrzegła się błędów i wypaczeń, ale już wobec działalności swoich przodków zachowują daleko posuniętą wyrozumiałość. [...] Może gdyby babka Aleksandry Domańskiej była katem, autorce łatwiej przyszłoby ją oskarżyć. A tak się miota, szukając usprawiedliwienia. Lejtmotywem tej opowieści (coraz bardziej nużącym) staje się więc wymówka: ale przecież była ideowa".

A jak „Krytyka Polityczna" odnosiła się do tradycji PPS? Formalnie dobrze, ale instrumentalnie. W ciągu lat działania tego portalu wielokrotnie przypomina ona postaci dwóch czy trzech socjalistów z dawnej PPS, którzy w zdecydowany sposób przeciwstawili się komunizmowi po wojnie. Zazwyczaj byli to: Kazimierz Pużak, uczestnik procesu szesnastu w Moskwie, skazany przez sąd PRL na 10 lat więzienia w 1948 r., który zmarł w 1950 r. w Rawiczu; Antoni Pajdak, uczestnik procesu szesnastu, a potem działacz KOR; Zygmunt Żuławski, który po wojnie próbował stanowić opozycję w sejmie bierutowskim, czy wreszcie małżeństwo Adama i Lidii Ciołkoszów.

Jednak wszystkie te postacie tkwiły w tekstach „Krytyki Politycznej" w pewnym dziwnym zawieszeniu. Były z chęcią przywoływane przez publicystów „KP" jako dowód, że lewica ma piękne antykomunistyczne karty, ale jednocześnie była w tym pewna nielogiczność. Bo skoro czczono ich za męczeństwo w imię wierności niepodległości RP, to zgrzytało to w stosunku do prezentowanych obok tez Andrzeja Ledera, że komunizm był jak gorzkie lekarstwo, nieprzyjemny, ale niezbędny. Autorzy z łamów „Krytyki Politycznej" ułatwiali sobie zadanie, twierdząc, że mają prawo czcić jakiś fragment biografii wybranego bohatera.

TO IDZIE MŁODOŚĆ

W maju 2015 r. powstaje partia Lewica Razem. Na jej czoło wysuwa się Adrian Zandberg. Liczni krytycy z SLD, wysoko stawiający wartości lewicy, wiążą z tą partią ogromne nadzieje. Istotnie jej lider szybko daje się zauważyć w życiu publicznym i lansuje hasło: „Inna polityka jest możliwa". Dzisiaj z perspektywy czasu widać, że ugrupowanie to musiało się z czasem wyłonić, wnosząc do przestrzeni publicznej spojrzenie pokolenia, które wychowało się – by użyć określenia dziennikarza Tomasza Walczaka – jako głos „wychowanych na irytującym kulcie Balcerowicza, żyjących na »śmieciówkach« i niemających szans na własne mieszkanie". W tym sensie pokolenie Zandberga konstytuowały książki Janisa Warufakisa o ekonomicznym wyzysku Grecji przez Brukselę czy hasła rewolucji feministycznej.

Bardzo wyraźnie demonstrowany dystans lub wręcz niechęć Adriana Zandberga do SLD skłaniał część publicystów do nadziei, że może powstać pierwsza formacja lewicowa, nieciągnąca za sobą ogonów sentymentu do PRL czy kultu gen. Jaruzelskiego. Zandberg wzmacniał tego typu nadzieje, nie powtarzając rozmaitych rytuałów nostalgii za PRL, którym hołdowali Włodzimierz Czarzasty i jego koledzy.

Jednak w sensie polityki historycznej w retoryce Razem pojawiły się za to nowe elementy, które wcześniej w dyskusjach historycznych nie były tak mocno widoczne. Adrian Zandberg bardzo wyraźnie postawił kwestie kultu Karola Marksa. W oświadczeniu z okazji 5 maja 2018 r. partia Razem z ogromną swadą broniła filozofa z Trewiru. Jak pisano w oświadczeniu: „Instytut Pamięci Narodowej i »Wiadomości« TVP, Ryszard Petru i Paweł Kukiz, narodowi konserwatyści i twardogłowi wolnorynkowcy – wszyscy próbują obrzydzić Polkom i Polakom tego dziewiętnastowiecznego filozofa. Z pogardą wobec logiki stawiają znak równości między Marksem i Stalinem, Bierutem czy Jaruzelskim. Na wieść o uczczeniu okrągłej rocznicy urodzin Marksa przez władze Unii Europejskiej i niemieckich socjaldemokratów, polska prawica – ta zamordystyczna i ta podobno liberalna dostała histerii [...]. Według polskiej prawicy totalitarne zbrodnie są wpisane w myśl Marksa, stanowią ich logiczną konsekwencję. Tezie tej przeczy rzeczywistość. Na idee Marksa powoływały się i powołują ruchy demokratyczne, antytotalitarne [...], z demokratycznych pozycji krytykowała bolszewizm Róża Luksemburg. Marksistami byli PPS-owcy którzy z bronią w ręku opierali się sowieckiemu imperializmowi. W powojennej Polsce to czerpiąca z myśli Marksa krytyka PRL autorstwa Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego stała się punktem wyjścia dla budowy demokratycznej opozycji. Obarczanie Marksa winą za Berię i Pol Pota jest równie zasadne jak obarczanie historycznego Jezusa odpowiedzialnością za krucjaty, inkwizycję czy pedofilię w Kościele katolickim".

Od tego czasu specjalnością Adriana Zandberga, a za nim aktywistów Razem będą bardzo zręczne polemiki słowne z krytykami tej idealizacji Marksa. Raz młodzi politycy lewicy próbują dyskredytować krytyków jako nieuków, którzy nie wiedzą, że na Zachodzie Marksa cenią znani naukowcy. Innym razem przypominają, że brodaty filozof wspierał powstanie styczniowe, i wreszcie, gdy ktoś utożsamia marksizm ze zniewoleniem Polski, to przypominają, że PPS także powoływała się na Marksa, a przecież uchodzi za partię wierną idei polskiej wolności.

Kolejną specjalnością Zandberga i jego partii było rozpoczęcie krucjaty przeciwko obchodom dnia żołnierzy wyklętych. I w tej mierze lider Razem wykazuje zaskakującą determinację. Chociaż zazwyczaj w krytyce wyklętych pojawiają się zawsze te same nazwiska – Łupaszki, Burego czy Wołyniaka, to nie przeszkadza Zandbergowi domagać się likwidacji Dnia Wyklętych i uznawać wszystkich wyklętych

eprasa.pl 0a6efddd4a

za podejrzanych. Zwraca uwagę nonszalancja, z jaką lider Razem wypowiada się o generacji, która w większości została zakatowana w więzieniach UB. W programie Tomasza Lisa w Onecie Zandberg atakował mit żołnierzy wyklętych: „To fałsz historyczny. Ci ludzie, którzy trafiali do lasu, często o sobie mieli nawzajem jak najgorszą opinię. Wrzucanie wszystkich do jednego worka to fałszowanie pamięci. Pojęcie wprowadziła skrajna prawica, która chciała, osłaniając się prawdziwymi bohaterami, wygumkować brzydkie aspekty biografii, swoich postaci, których nie należy traktować jako bohaterów".

W innym wywiadzie, dla tygodnika „Wprost", Zandberg odpowiada na pytanie, co konkretnie zarzuca IPN: „Wypowiedzi kierownictwa IPN, które podważają wcześniejsze ustalenia tej instytucji i wybielają taką postać jak Romuald »Bury« Rajs czy kwestionują fakty dotyczące zbrodni w Dubinkach. Ta instytucja została w sposób ordynarny wprzęgnięta w propagandę PiS. Nie ma powodu, żeby taką działalność sponsorował budżet państwa".

Zatrzymajmy się na chwilę nad sensem tego zdania. Zandberg żąda od IPN, aby wydarzenia w Dubinkach, które raz zostały ocenione, nie były już nigdy więcej analizowane przez kolejnych historyków. Tymczasem nauka historyczna polega na coraz dokładniejszym opracowywaniu dawnego wydarzenia przez kolejnych badaczy. Jest to naturalna praktyka. W opinii Zandberga jest to powód do likwidacji instytucji. Można oceniać warsztat takich badań, ale nie samo ich podjęcie na nowo. Mówi to polityk, który jednocześnie wzywa, by nauki Marksa analizować wciąż na nowo i znajdować w nich dowody na to, że myśl filozofa nie miała nic wspólnego z praktyką komunizmu realnego.

PO KONKUBINACIE Z SLD

W 2019 r. Zandberg musiał odrzucić pryncypialną niechęć wobec SLD, gdyż obawiał się, że ponownie nie trafi do Sejmu. Teraz, po udanym wejściu do parlamentu, Razem staje co pewien czas wobec bardzo wyrazistych tez historycznych typowych dla obozu Włodzimierza Czarzastego. Co charakterystyczne, Razem albo milczy, albo jej szeregowi politycy biorą SLD-owców w obronę. W końcu listopada Włodzimierz Czarzasty wywołał oburzenie twierdzeniami, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę. Gdy wywołało to liczne głosy oburzenia na prawicy, lider SLD ripostował na Twitterze: „Obserwuję od dwóch dni wylew intelektualnego debilizmu na temat wyzwolenia Polski z okupacji hitlerowskiej. Mam po przeczytaniu wszystkich mądrych i grzecznych uwag takie pytanie: Kto wg państwa wyzwolił Polskę z okupacji hitlerowskiej? Pytam, bo to mnie bardzo interesuje".

Czarzastemu w sukurs przyszedł natychmiast działacz Razem z Wrocławia Robert Maślak, kpiąc: „W IPN są podobno dokumenty, że Jarosław Kaczyński. A na poważnie, to jednak znamienne, jak PiS namieszał ludziom w głowie w sprawie historii".

Reakcja jest dosyć charakterystyczna. W sytuacji konfliktu historycznego polityk Razem idzie w sukurs postkomuniście, a przy okazji wraca do ulubionego tematu zandbergowców – IPN mieszającego Polakom w głowach. A przecież Razem przypominająca, gdy jest to jej wygodne, o zamęczonym w PRL Kazimierzu Pużaku winna oburzyć się na tezy o wolności, którą przynieśli Polsce krasnoarmiejcy.

Ugrupowanie Zandberga coraz wyraźniej stara się odczarować samo pojęcie komunizmu

W podobny sposób nikt z Razem nie skomentował słów Roberta Kwiatkowskiego, które padły we wrześniu 2019 r. w Radiu RMF FM: „Mamy tradycję z PPR i PPS. I się tego nie wstydzimy".

Kolejny moment próby nastąpił, gdy Putin w ostry sposób oskarżył Polskę o współudział w wybuchu drugiej wojny światowej. W tym wypadku pierwszą reakcją była wypowiedź Macieja Gduli, do niedawna z partii Wiosna, który zachęcał do tego, by to pierwsza w pierś uderzyła się Polska: „Cała wymiana ciosów z Putinem to majstersztyk dyplomatyczny. Nazwij kogoś wspólnikiem Hitlera. Dziw się, że odpowie, żeś sam hitlerowiec i antysemita. Nazwij go potem totalitarystą i stalinistą. Narzekaj na złe stosunki z Rosją. Brawo, brawo, brawo". Na korzyść Zandberga należy zaliczyć, że tym razem zareagował: „Jakby Putin się nie starał, nie da się wymazać z historii paktu Ribbentrop-Mołotow. A ciemne karty z przeszłości innych krajów nie usprawiedliwią kolaboracji stalinowskiego reżimu z Hitlerem".

Jednak niemal w tym samym czasie Zandberg wrócił do „miękkiej" rehabilitacji PRL, głosząc, że w tamtym systemie mieszkania można było nieporównywalnie łatwiej dostać. Gdy w Austrii lider wolnościowców Jörg Haider w podobny sposób wskazywał na socjalne plusy III Rzeszy, media w Europie rozpisywały się o tym miesiącami.

CO DALEJ?

Ten długi wykład z poszczególnych etapów ewolucji stosunku nowej lewicy do tradycyjnego postkomunizmu spod znaku SLD ma jedną powtarzającą się cechę. Prędzej czy później zwycięża dogmat, że „nie ma wroga na lewicy", a uparta obrona PRL jest atrakcyjniejszym hasłem wyborczym niż nawiązywanie do tradycji oporu przeciwko komunistycznej Polsce. Teraz, po uzależnieniu Razem od SLD, jest to jeszcze bardziej widoczne. Na dodatek ugrupowanie Zandberga coraz wyraźniej stara się odczarować samo pojęcie komunizmu. Portal Młodzi Razem odrzuca jakiekolwiek wiązanie głodu na Ukrainie w latach 30. z komunizmem. Jak piszą autorzy: „Głód na Ukrainie wynikał ze stosowania stricte narodowościowych represji, przy użyciu totalitarnych metod. Jaki ma to związek z ideologią postulującą m.in. oddanie w ręce pracowników środków produkcji czy zniesienie państwowego przymusu i hierarchii?".

Lewica jest niezmiernie wyczulona na jakikolwiek nawrót do przestrzeni publicznej treści faszyzujących, uznając je za groźbę powrotu do zbrodni drugiej wojny światowej. Jednak w drugą stronę to nie działa. Nowej lewicy wolno zamykać oczy na pochwały przemocy rewolucyjnej w dziełach Marksa, uznawać, że komunizm nie miał nic wspólnego ze zbrodniami imperium sowieckiego, i zapowiadać likwidację instytucji badających zbrodnie komunizmu, takich jak IPN. Bo ta nowa generacja lewicy nie ma ochoty poznawać skali zbrodni w imię walki klas, która niepokoiła jeszcze Adama Michnika.

Nie rzuca się to w oczy dzięki sprawnej grze. Oburzaniu się, gdy ktoś uznaje ich za komunistów, rehabilitowaniu dogmatów o kapitalizmie jako praprzyczynie zła na świecie i punktowemu rehabilitowaniu PRL. A gdy ktoś to wytyka – powoływaniu się na Zarembę, Pużaka i Ciołkoszów. Sprytne, zakłamane, ale na razie skuteczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Maciej Pieczyński

Marksizm kulturowy święci triumfy na Zachodzie. Pokojowo zdobywa to, czego sowieccy komuniści nie byli w stanie podbić siłą

Zatrzymać długi marsz

FOT. PACIFIC PRESS/ALAMY/FORUM

eprasa.pl 0a6efddd4a

Jeszcze do niedawna marksizm kojarzony był głównie z komunizmem sowieckim. Tych, którzy dostrzegali ciągłość pomiędzy bolszewickim totalitaryzmem a szermującą hasłami tolerancji zachodnioeuropejską „lewicą światopoglądową", z pobłażliwym uśmiechem traktowano jak twórców teorii spiskowych albo prawicowych radykałów, próbujących oczernić swoich politycznych przeciwników. Tymczasem od pewnego czasu zjawiska, określane takimi pojęciami jak „neomarksizm", „antykultura" czy „marksizm kulturowy", stają się coraz bardziej zauważalne, coraz odważniej definiowane, oceniane i krytykowane.

Coraz powszechniejsza jest świadomość, że upadek ZSRS w 1991 r. w żadnym stopniu nie był końcem komunizmu. Idee Marksa od dziesięcioleci święcą triumfy na Zachodzie. Propagandowa potęga „lewicy światopoglądowej" jest wynikiem „długiego marszu przez instytucje", zaplanowanego przez Antonia Gramsciego jeszcze przed drugą wojną światową (choć samo określenie wymyślił już po wojnie Rudi Dutschke, przywódca lewicowego ruchu studenckiego w Niemczech w latach 60.). To właśnie włoski marksista uznał, że kluczem do sukcesu idei rewolucyjnych jest hegemonia kulturowa, nie zaś poparcie ruchu robotniczego.

Jak zauważa Dariusz Rozwadowski, historyk, autor książki „Marksizm kulturowy. 50 lat walki z cywilizacją Zachodu", Antonio Gramsci dokonał decydującej dla przyszłości ruchu zmiany priorytetów. W teorii Marksa bazą była ekonomia, nadbudową – kultura. Zmiany ekonomiczne miały doprowadzić do zmian kulturowych. Gramsci odwrócił kolejność. Na podstawie doświadczeń pierwszej wojny światowej, kiedy to robotnicy (z wyjątkiem Rosji, gdzie i tak decydujący był terror mniejszości, nie zaś spontaniczny ruch większości) bronili swoich ojczyzn, zamiast zwrócić się przeciwko nim w ramach realizacji rewolucyjnego hasła: „Proletariusze wszystkich krajów – łączcie się!", uznał, iż ekonomiczna „baza" nie wystarczy. Trzeba przede wszystkim zniszczyć stary świat w sercach i umysłach, by potem runął w rzeczywistości realnej.

Do podobnych wniosków doszedł György Lukács, węgierski komunista. „Jedyne rozwiązanie widziałem w rewolucyjnej destrukcji społeczeństwa. Ogólnoświatowa zmiana wartości nie może mieć miejsca bez unicestwienia przez rewolucjonistów starych wartości i stworzenia nowych" – pisał. Lukács był głównym ideologiem powstałej w marcu 1919 r. Węgierskiej Republiki Rad. Przez krótki okres istnienia władze tego komunistycznego państwa zdążyły wprowadzić reformy, które łudząco przypominają postulaty dzisiejszej zachodnioeuropejskiej „lewicy światopoglądowej". Zamiast religii – radykalny program edukacji seksualnej, w którego ramach dzieci i młodzież nauczano stosunków płciowych, masturbacji, zachowań homoseksualnych. Rodzina była przedstawiana jako archaiczny wytwór minionych czasów.

– Marksizm narodził się w środowiskach intelektualistów zachodnich. Do Rosji został kolportowany jako produkt obcy – zauważa Jakub Zgierski, twórca bloga „Młot na marksizm", którego celem jest propagowanie wiedzy o tej doktrynie. – Nasze kilkudziesięcioletnie doświadczenie z tzw. komuną, a zwłaszcza tą stalinowską i poststalinowską, ukształtowało w nas konkretne wyobrażenia. Stąd wiele osób jakoś wewnętrznie nie potrafi przyjąć do wiadomości i zrozumieć, że na Zachodzie od wielu lat dominującą ideologią nie jest żaden liberalizm, nawet ten lewicowy, a po prostu marksizm – dodaje.

NOWY MARKSIZM

Jak wiadomo, Lenin, internacjonalista z krwi i kości, był wyraźnie niezadowolony, że rewolucja wybuchła w jego zacofanej cywilizacyjnie ojczyźnie. Marksiści liczyli na zdobycie władzy przy pomocy mas robotniczych w jednym z najbardziej rozwiniętych krajów Europy Zachodniej. Ta klęska wymusiła zmianę taktyki. – Często niezależnie od siebie różne grupy i organizacje pracowały nad pewną rewizją marksizmu, tzn. dostosowaniem się do nowych warunków, ale bez zmieniania podstawowych celów – mówi Jakub Zgierski. – W ten sposób powstał nowy marksizm, zwany też marksizmem kulturowym lub antykulturowym, który kładzie bardziej nacisk, jak sama nazwa wskazuje, na tzw. nadbudowę. Wbrew pozorom w tej nowej wersji nie porzucono kwestii ekonomicznych – one były, są i będą najważniejsze, bo marksizm w swojej istocie sprowadza się do uzależnienia społeczeństwa od władzy, głównie poprzez pozbawienie ludzi własnego kapitału, motywacji do pracy i praktycznych, przydatnych zdolności – dodaje.

„Cywilizowany świat został dokładnie nasączony chrześcijaństwem przez 2000 lat i reżim ugruntowany w wierze i wartościach judeochrześcijańskich nie może zostać odrzucony, zanim korzenie te nie zostaną odcięte" – pisał Gramsci. Jak zauważa Dariusz Rozwadowski w swojej książce, Gramsci dostrzegał w chrześcijaństwie swego rodzaju „system immunologiczny" społeczeństwa kapitalistycznego. Żeby zdobyć Zachód, marksiści musieli ten Zachód najpierw zdechrystianizować.

Było wiele prób pogodzenia komunizmu czy też socjalizmu z chrześcijaństwem. Na długo, zanim jeszcze bolszewicy przejęli władzę, by – cytując poemat Aleksandra Błoka – „palnąć w Świętą Ruś" i, parafrazując manifest rosyjskich futurystów, „zrzucić Boga z parowca teraźniejszości", rosyjscy marksiści nie odrzucali religijności. Wręcz przeciwnie. Za prekursorskie dzieło socrealizmu uważa się powieść „Matka", w której rewolucjoniści porównywani są z apostołami i aniołami, a tytułowa bohaterka przypomina zarówno Matkę Bożą, jak i Chrystusa. Autor powieści, Maksym Gorki, był jednym z propagatorów idei bogotwórstwa, łączącej chrześcijaństwo i marksizm.

Ostatecznie jednak zwyciężyła idea nieprzejednanej walki z religią. Również na Zachodzie pojawiały się próby łączenia socjalizmu z chrześcijaństwem. Wspólny mianownik dostrzegano w ideałach miłosierdzia, braterstwa i równości. Jednak Antonio Gramsci, bez którego nie byłoby współczesnego marksizmu, był w swoich diagnozach jednoznaczny: „Socjalizm jest teoretyczną negacją i praktyczną likwidacją religii. Socjalizm jest właśnie religią, która musi zabić chrześcijaństwo […]. Socjalizm wyparł ze świadomości ludzi transcendentnego Boga katolików, zastępując go wiarą w człowieka i jego najlepsze siły twórcze jako jedyną rzeczywistość duchową".

Jak widać, marksizm w swojej kulturowej, nie zaś ekonomicznej formie, zaczął kształtować się na Zachodzie niedługo po zakończeniu pierwszej wojny światowej. W Rosji Sowieckiej nie powiodły się do końca próby rewolucji obyczajowej, których główną rzeczniczką była Aleksandra Kołłontaj. Epoka stalinowska to czas swoistego odwrotu od marksistowskiego internacjonalizmu w stronę wielkoruskiego tradycjonalizmu. Jak barwnie opisuje to Dariusz Rozwadowski, Antonio Gramsci bezpieczniej czuł się w faszystowskich Włoszech Mussoliniego niż w ZSRS Stalina. A jednak równolegle w Europie Zachodniej zaczął kiełkować neomarksizm.

Intelektualnym podłożem były prace Instytutu Badań Społecznych we

eprasa.pl 0a6efddd4a

Frankfurcie. Właśnie w ramach tzw. szkoły frankfurckiej rodziły się podstawy tego, co dziś nazywamy marksizmem kulturowym. Teoria krytyczna, koncepcja osobowości autorytarnej, wreszcie – rewolucja seksualna. Twórcy szkoły frankfurckiej wyemigrowali do USA po dojściu Hitlera do władzy. Idee, zrodzone przez to środowisko, mogły na nowo zdobywać uznanie w powojennej Europie Zachodniej. Jednak nie od razu się to udawało.

– Tuż po wojnie społeczeństwa zachodnie, wychowane jeszcze w tradycyjnym paradygmacie, pochłonięte były odbudową zniszczeń wojennych. Potrzebne było wychowanie nowego pokolenia. Umożliwiło to powstanie tzw. państwa opiekuńczego, które produkuje pasożytów – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" publicysta Krzysztof Karoń, autor książki „Historia antykultury", jeden z pierwszych publicystów, zajmujących się na szeroką skalę analizą neomarksizmu.

MARSZ PRZEZ INSTYTUCJE

W jego ocenie ideologia ta wciąż immanentnie łączy w sobie cechy ekonomiczne i kulturowe – zarówno stary, jak i nowy marksizm obiecywały ludziom dobrobyt za darmo. W wersji bolszewickiej, leninowskiej (choć już nie stalinowskiej) celem było „grabić zagrabione". Ta strategia poniosła klęskę. Dlatego współczesny marksizm, zamiast fizycznej likwidacji tradycyjnego systemu, woli go niszczyć powoli, poprzez destrukcję jego fundamentów, którymi są wychowanie i kultura. W obu jednak wersjach chodzi o to samo. Marksiści chcą stworzyć świat, w którym człowiek będzie mógł korzystać z dóbr, nic nie produkując, posiadać, nie pracując, żyć, za nic nie odpowiadając – mówi Krzysztof Karoń. Początkiem marksistowskiej rewolucji antykulturowej na Zachodzie była studencka rewolta 1968 r. To właśnie w tym okresie padło expressis verbis, przywołane już powyżej, hasło „długiego marszu przez instytucje". Dzisiaj trudno mieć wątpliwości: był to marsz zwycięski.

Skąd sukces marksizmu antykulturowego w starciu z tradycją?

Na to pytanie Krzysztof Karoń udziela wyrazistej odpowiedzi: Marksiści użyli narzędzia, któremu człowiek, a szczególnie człowiek pozbawiony elementarnego wychowania i kultury, nie potrafi się oprzeć. Tym narzędziem jest seks. Jedyny skuteczny i decydujący argument w marksistowskim (ale i neoliberalnym) arsenale. Gdyby prześledzić historię nowego marksizmu, to niezależnie od filozoficznej nadbudowy, właśnie temat seksu powraca w niej jak refren – mówi autor „Historii antykultury". Zdaniem Karonia rewolucja seksualna miała wymiar nie tylko moralny. – Nie chodzi jedynie o tzw. demoralizację rozumianą jako upadek obyczajów. Seksualizacja służy do rozmontowania systemu wychowania kulturowego, a to z kolei doprowadzi do pozbawienia ludzi zdolności do twórczej pracy. Jeśli bowiem człowiek pozbawiony zostanie zdolności do pracy, to będzie skazany na kradzież. Marksiści wykorzystują w ten sposób naturalne ludzie instynkty jako narzędzie do zabicia kultury.

Strategia długiego marszu przez instytucje okazała się zabójczo skuteczna. – Chodzi tu o opanowywanie poszczególnych instytucji, nie tylko rozumianych np. jako organizacja międzynarodowa typu ONZ czy UE, lecz także instytucji rozumianych jako pewne mechanizmy życia społecznego, takie jak rodzina, wiara, nauka, język, następnie przekształcanie tych instytucji w taki sposób, żeby wykorzystując swój dawny autorytet, przekazywały już nowe, rewolucyjne treści – mówi Dariusz Rozwadowski.

– Marksiści zwyczajnie oszukali miliony ludzi, preparując pojęcia, zmieniając ich sens, przekształcając kluczowe dla życia społecznego instytucje. Ten proces trwał przez lata, a dziś widzimy jego skutki. Jest to pokojowa wersja rewolucji – dodaje historyk. Jego zdaniem kluczem było też odrzucenie jawnego odwoływania się do komunizmu. – Prace szkoły frankfurckiej zostały spreparowane, np. tam, gdzie wcześniej pisano komunistyczny, zastępowano słowem demokratyczny – zauważa Rozwadowski. – Najlepiej widać, do czego to doprowadziło dzisiaj w UE. Komisarze unijni mają usta pełne frazesów o demokracji, a realizują plan Altiero Spinellego zawarty w „Manifeście z Ventotene", czyli plan utworzenia komunistycznego superpaństwa. Społeczeństwa zachodnie nie doświadczyły komunizmu sowieckiego, co więcej – po tym jak ZSRS w 1941 r. stał się sojusznikiem aliantów, fałszowano historię, nic nie mówiono o zbrodniach Sowietów choćby na ziemiach polskich.

Jak więc konstatują badacze, marksizm ma wiele twarzy, każda z nich jednak oznacza mniej więcej to samo: zniszczenie tradycyjnej kultury i wprowadzenie na jej miejsce „antykultury" – formacji totalitarnej, antychrześcijańskiej, demoralizującej człowieka i pozbawiającej go samodzielności, odpowiedzialności, umiejętności wytwarzania jakichkolwiek dóbr – czy to materialnych, czy to duchowych.

Jakub Zgierski zauważa, że dokonano totalizacji rewolucji na różnych polach: – Generalnie w marksizmie zawsze istnieje jakiś nierozwiązywalny konflikt, który zaostrza podziały i w konsekwencji prowadzi do temperatury wrzenia – mówi. – Taki chaos oczywiście jest na rękę ideologom, bo – cytując pewną serialową postać – „Chaos to drabina". Drabina do władzy, ma się rozumieć. Feminizm nastawia kobiety przeciwko mężczyznom (walka płci), ruch LGBT prowokuje większość społeczeństwa i zraża je do homoseksualistów, ideolodzy gender kreują problem zmieniania płci, płynności tożsamości albo w ogóle negują samą kategorię płci. Radykalny ekologizm przeciwstawia bezbronną naturę złemu człowiekowi, który ma w głowie jedynie destrukcję. Multikulturalizm podobnie – różnorodne, wielokolorowe i wieloetniczne grupy ciemiężone przez białych, zaściankowych nacjonalistów.

RODZINA I WIARA

Jak zatrzymać zwycięski pochód marksizmu kulturowego? Zdaniem Zgierskiego jedyną sensowną taktyką jest odzyskanie z rąk lewicy instytucji życia społecznego. Nie tylko szkół czy uniwersytetów, lecz także języka, a konkretnie – pojęć, które zostały zawłaszczone. Krzysztof Karoń z kolei jedyną szansę widzi w oddolnej reedukacji społeczeństwa. – Politycy nic nie zmienią, ponieważ boją się, że stracą poparcie swoich, zindoktrynowanych przez marksizm, wyborców. Dlatego trzeba edukować, informować o zagrożeniach – mówi.

– Walka z tym, co teraz mamy, jest arcytrudna – konstatuje Rozwadowski. – Większość instytucji jest zdobyta. Kraj po kraju ulega rewolucji. Kolej na Polskę. Tylko praca organiczna i praca u podstaw – moim zdaniem – może coś dać. Ale czy uchroni przed katastrofą? Nie jestem optymistą. Widzimy, co się dzieje w Polsce. Młode pokolenie ulega tym zachodnim trendom, brakuje rzetelnej informacji. Powinniśmy nagłaśniać, w jakim kierunku zmierza UE, informować ludzi o zagrożeniach, o tym, jak są oszukiwani. Najważniejsze to obrona rodziny, bo to w niej się wszystko zaczyna, dlatego marksizm jest ideologią, która stawia sobie za cel zniszczenie tradycyjnej rodziny. Rodzina i wiara, czyli to, co nam, Polakom, pozwoliło przetrwać zabory, tego trzeba bronić za wszelką cenę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

MocArty
RMF CLASSIC
2019

RMF Classic

Wielki plebiscyt słuchaczy RMF Classic – już po raz 10!
Prestiżowe wyróżnienia dla ludzi filmu, kultury i sztuki

Zagłosuj na **www.rmfclassic.pl**
i wygraj zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele cennych nagród!

eprasa.pl 0a6efddd4a

Z Jarosławem Gowinem, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego
rozmawia Marcin Makowski

Nie wolno pozwolić na paraliż sądów

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

MARCIN MAKOWSKI: Czy Polska jest już państwem dualizmu prawnego?

JAROSŁAW GOWIN: Dalsza eskalacja sporu o sądownictwo mogłaby nieść to ryzyko. Aby temu zapobiec, zdecydowałem się przyjąć zaproszenie do udziału w „Forum dla praworządności", organizowanym pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk. A podpisanie przez prezydenta nowelizacji ustawy o sądach – mam nadzieję – przyczyni się do uporządkowania niektórych kwestii spornych.

Wiele środowisk prawniczych apelowało, aby tego nie robił.

Powiedzmy to jasno: żadne państwo nie może dopuścić, aby część sędziów podważała legalność powołania innych sędziów! Nie wolno pozwolić na sparaliżowanie wyboru nowego I prezesa bądź I prezes Sądu Najwyższego. I właśnie z tych dwóch względów uważam nowe przepisy za konieczne dla bezpieczeństwa prawnego obywateli. Co do innych kwestii objętych nowelizacją czeka nas wielomiesięczny proces dialogu. Trzeba się liczyć z decyzjami Komisji Europejskiej i TSUE, dlatego potrzebujemy kanału zapewniającego minimum komunikacji między środowiskami prawniczymi i obozem rządowym.

Tylko kto ma ten dialog prowadzić, jeśli obie strony mówią przy tym: „Ani kroku wstecz"?

Doszliśmy do sytuacji, która długoterminowo mogłaby przynieść poważne szkody państwu i obywatelom. A ja jestem państwowcem i realistą, dlatego zdaję sobie sprawę, że szukanie kompromisu w trakcie kampanii wyborczej jest – mówiąc delikatnie – wyjątkowo trudne. Ale po wyborach – wierzę, że wygranych przez Andrzeja Dudę – emocje nieco opadną i otworzy się jakaś przestrzeń do rozmów.

Prawda, że dziś mało kto jest gotów usiąść przy jednym stole. Długofalowo jednak innego wyjścia nie ma i nie będzie. Proszę zresztą zwrócić uwagę, że uchwała trzech izb SN – choć wywołuje stan chaosu prawnego – w zasadzie przecina zarazem całe ryzyko, o których mówiłem.

eprasa.pl 0a6efddd4a

W jaki sposób?

Po pierwsze, potwierdza, że sędziowie powołani przez prezydenta, a wskazani wcześniej przez KRS mają status sędziów.

Przecież nikt im tego statusu nie może odmówić, jednak po 23 stycznia według SN nie mogą już orzekać.

Nie ma pan racji, bo opozycja i część rozpolitykowanych sędziów usiłowały przed uchwałą SN w ogóle podważyć legalność wyboru nowych sędziów. Te próby zostały zdyskredytowane nawet przez krytyczne wobec zmian trzy izby SN. Owszem, z drugiej strony w ich uchwale pojawił się znak zapytania przy bezstronności orzeczeń nowo powołanych sędziów (w przypadku tych z Sądu Najwyższego wręcz odmówiono im prawa do orzekania). Ta dziwaczna konstrukcja prawna z pewnością nie obroni się przed Trybunałem Konstytucyjnym. W świetle uchwały trzech izb SN jest także przesądzone, że nowi sędziowie Sądu Najwyższego będą uczestniczyć w wyborze nowego prezesa. W ten sposób znika drugie z najpoważniejszych ognisk zapalnych.

Nie obawia się pan, że przy przeciąganiu liny między sądami a rządem ostatecznie to zwykły obywatel – bez względu na sympatie polityczne – będzie jego ofiarą?

Właśnie ze względu na interes obywateli za trafną uważam decyzję prezydenta i premiera o oddaniu uchwały SN pod ocenę Trybunału Konstytucyjnego. I to nieprawda, że Trybunał nie ma takich uprawnień. Przypomnę, że w 2010 r. ten sam organ pod przewodnictwem Andrzeja Rzeplińskiego uchylił uchwałę Sądu Najwyższego chroniącą immunitet tych sędziów, którzy w stanie wojennym skazywali opozycjonistów retroaktywnie, czyli w oparciu o przepisy uchwalone dopiero po dokonaniu rzekomego „przestępstwa". Mamy zatem precedens i liczę na to, że również tę uchwałę TK unieważni.

Czy pan jako minister sprawiedliwości, a przecież swego czasu piastował pan tę funkcję, reformowałby sądy podobnie jak minister Zbigniew Ziobro?

Nie jest tajemnicą, że jeżeli chodzi o koncepcje i kierunek reform, to mamy zupełnie odmienne podejście z panem ministrem Ziobrą. Rząd musi jednak działać solidarnie. Dlatego ja oraz posłowie Porozumienia poparliśmy tę nowelizację.

Zgłaszając do niej liczne poprawki.

Zarówno na poziomie Sejmu, jak i Senatu zgłosiliśmy wiele poprawek. Te sejmowe zostały przez obóz rządowy poparte. Szkoda, że w Senacie nasze propozycje nie zostały nawet poddane pod głosowanie przez opozycyjną większość. Jak widać, nasi konkurenci wolą totalną wojnę, a nie merytoryczną dyskusję. Gdyby nasze poprawki w Senacie przeszły, uchyliłyby większość zastrzeżeń w stosunku do nowelizacji.

Wspomniał pan o możliwym konflikcie na tle reformy z organami unijnymi. Komisarz Věra Jourová podczas ostatniej wizyty w Polsce powiedziała marszałkowi Tomaszowi Grodzkiemu, że jeśli chodzi o odcinek sądów i praworządności, to Komisja Europejska nie zamierza ustępować. Z kolei część polskich europosłów zaapelowała o powiązanie dopłat unijnych z oceną praworządności. Mało tutaj przestrzeni na dialog.

Powiem krótko: apelowanie przez opozycyjnych europosłów o dotknięcie Polski sankcjami finansowymi uważam za dyskwalifikujące. Natomiast ja sam – jako lider jednej z trzech partii koalicyjnych – widzę przestrzeń do kompromisu i uważam, że na dłuższą metę jest on niezbędny. Nie może on jednak dotyczyć takich spraw jak prerogatywy prezydenta do powoływania sędziów czy podważanie legalności uchwał KRS, ale może obejmować np. kształt sądownictwa dyscyplinarnego czy nowego umocowania Izby Dyscyplinarnej.

Michał Karnowski napisał niedawno, że „prawica polska pogodzona ze światem III RP, akceptująca jej hierarchie i tabu, przestająca przeć do zmian, staje się nikomu niepotrzebna", dlatego trzeba brać przykład z Orbána i Trumpa, zamiast chodzić na kolejne kompromisy. To brzmi jak krytyka pod pana adresem.

Proszę pamiętać, że PiS w przeciwieństwie do Fideszu nie ma większości konstytucyjnej, a Donald Trump nie musi liczyć się z prawem Unii Europejskiej. Lekki trend spadkowy, jeśli chodzi o poparcie dla Zjednoczonej Prawicy, wynika nie z braku naszego radykalizmu, tylko przeciwnie – z powodu zmęczenia części naszych wyborców przeciągającymi się sporami. Można udawać, że się nie dostrzega badań wskazujących, iż tylko niespełna połowa wyborców PiS popiera ostatnie zmiany w sądownictwie. Jednak prowadzenie polityki z zamkniętymi oczami, do czego namawia nas część radykalnych komentatorów, rzadko kończy się inaczej niż zderzeniem z murem.

Zjednoczonej Prawicy powinno dać do myślenia, że opozycja z taką radością i zapałem eskaluje spór o wymiar sprawiedliwości. Skoro oni widzą w tym dla siebie szansę, to pytanie, czy cała sprawa długodystansowo wychodzi naszemu obozowi na zdrowie. Naprawdę nie trzeba eskalować sporu o sądy, żeby skutecznie walczyć o zachowanie etosu chrześcijańskiego w Polsce, zwiększenie poziomu bezpieczeństwa państwa czy wzrost dobrobytu. A to w tych obszarach nasze rządy święcą największe triumfy.

Ciepła woda w kranie 2.0?

Nieudolnie próbuje się nas szantażować tym porównaniem. Nie ma ono jednak żadnego sensu. Koncepcja polityki Donalda Tuska polegała na dryfowaniu, uciekaniu od decyzji, świadomej rezygnacji z długofalowych programów. A my mamy ambitne cele określone w Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju i programach trzech partii współtworzących Zjednoczoną Prawicę. Nie możemy stać się zakładnikami sporu o sądy. Za chybioną uważam też nadzieję, że będzie on dla nas dźwignią wyborczą. Na dłuższą metę wyborcy ocenią nas nie przez pryzmat tego, kto zasiada w KRS albo jest prezesem Sądu Najwyższego, ale tego, czy sądy działają sprawiedliwiej i szybciej.

Wspomniał pan o radykalniejszym elektoracie prawicy, ale gdyby oddać mu jeszcze na chwilę głos, zapewne usłyszelibyśmy, że zarówno pan, jak i całe Porozumienie wykazują się naiwnością, sądząc, że jakiekolwiek ustępstwa przyciągną nowych wyborców. Skoro weta prezydenckie w 2017 r. tego nie sprawiły, to co miałoby się zmienić dzisiaj?

Nie jestem na tyle naiwny, żeby uważać, że znalezienie kompromisu odnośnie do sądownictwa przyciągnie do prawicy kogokolwiek ze zdeklarowanych zwolenników opozycji. Są jednak dwa zasadnicze pytania. Po pierwsze, o decyzję kilku

Nie możemy stać się zakładnikami sporu o sądy. Za chybioną uważam też nadzieję, że będzie on dla nas dźwignią wyborczą

eprasa.pl 0a6efddd4a

procent niezdecydowanych, których głos zarówno w wyborach prezydenckich, jak i we wszystkich następnych, będzie rozstrzygający. Profesjonalna polityka powinna być oparta nie na myśleniu życzeniowym, ale na badaniach. A nie znam takich, które wskazywałyby, że eskalacja konfliktu wokół sądownictwa może nam przysporzyć poparcia niezdecydowanych. Przeciwnie – im ostrzejszy spór o sądy, tym wyższa będzie mobilizacja obu przeciwnych elektoratów, a tym samym wzrośnie też frekwencja. Tymczasem badania jednoznacznie wskazują, że to sprzyja opozycji, bo ona wśród niezdecydowanych ma większe rezerwy niż my. Z niedowierzaniem czytam rady, że kampanię prezydencką powinniśmy prowadzić w sposób podobny do europarlamentarnej, czyli stawiając na ostrą polaryzację.

Problem w tym, że wielkie zwycięstwo, które odnieśliśmy w wyborach do Parlamentu Europejskiego, zapewniło nam poparcie niespełna 6,2 mln wyborców. Aby wygrać wybory prezydenckie, Andrzej Duda potrzebował pięć lat temu 8,2 mln głosów. Przy niemal pewnej wyższej frekwencji niż w 2015 r. teraz tych głosów potrzeba będzie ponad 9 mln. Naprawdę ktoś na serio liczy, że dodatkowe 3 mln zapewnią nam zaostrzenie kursu? A nikt przecież nie ma wątpliwości, że zwycięstwo wyborcze Andrzeja Dudy to być albo nie być dla prawicowego, konserwatywnego projektu reformowania Polski.

A jak rozbroiłby pan bombę, którą od dłuższego czasu opozycja przygotowuje na okazję wyborów w maju, tzn. powrót do dyskusji o polexicie.

Naprawdę nie trzeba być politycznym geniuszem ani prorokiem, żeby polexit, obok służby zdrowia, wskazać jako główny motyw kampanii Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i innych kandydatów opozycyjnych.

Trudno się dziwić, w sondażu pracowni Kantar 89 proc. ankietowanych chce pozostania Polski w Unii Europejskiej.

I to poparcie systematycznie rośnie. Polityk, który kieruje się realiami, nie może tego trendu bagatelizować. Zjednoczona Prawica jednoznacznie opowiada się za aktywną obecnością Polski w UE. Tym, co różni nas od opozycji, jest przekonanie, że w ramach struktur europejskich Polska – dokładnie tak jak inne państwa – powinna odważnie zabiegać o realizację własnego interesu narodowego. Myślę, że Polacy to dostrzegają i doceniają. Wszelkie kroki, które podważałyby obraz Zjednoczonej Prawicy jako obozu patriotycznego, twardo walczącego o polską rację stanu, ale zarazem proeuropejskiego, szkodziłyby szansom wyborczym Andrzeja Dudy.

UE potrzebna jest dyskusja o granicach ingerencji instytucji wspólnotowych w sprawy wewnętrzne państw członkowskich

Nie ma pan wrażenia, że sam prezydent balansuje tutaj na cienkiej linie? „Nikt nie będzie nam pisał prawa w obcych językach"?

Słowa pana prezydenta wpisują się w coraz szerszą w Europie dyskusję o granicach ingerencji instytucji wspólnotowych w sprawy wewnętrzne państw członkowskich. Jestem pewien, że taka dyskusja jest Unii Europejskiej potrzebna. Dla dobra procesu integracji trzeba wyznaczyć takie jej granice, które gotowe są zaakceptować narody Europy.

Chciałbym przejść do tematu, za który odpowiada pan już nie jako wicepremier, ale minister nauki i szkolnictwa wyższego. Czy mamy dzisiaj w Polsce wolność debaty akademickiej?

Jeszcze na szczęście tak. Inaczej niż w wielu krajach Europy Zachodniej, gdzie rozprzestrzenia się dyktat politycznej poprawności. Niestety, w ostatnich miesiącach mamy coraz więcej prób wprowadzania takiego dyktatu także w naszym kraju. Dlatego zdecydowałem się przygotować nowelizację Konstytucji dla Nauki. Chcę wprowadzić silniejsze gwarancje wolności akademickich.

Mówimy o projekcie nowelizacji ustawy, która miałaby utworzyć uczelniane „komisje ds. wolności w systemie szkolnictwa wyższego i nauki". Jak będą one działać w praktyce? Część środowisk akademickich przestrzega przed możliwą „konserwatywną cenzurą".

Ten, kto formułuje takie zarzuty, nie wie, o czym mówi. Uprawnienia komisji mają dotyczyć interweniowania tylko w tych sytuacjach, w których – przykładowo – władze uczelni uniemożliwiają studenckim kołom naukowym organizowanie debat na wybrany przez nie temat. Były takie przypadki, zwłaszcza związane z zapraszaniem naukowców znanych z bezkompromisowych poglądów pro-life. Z drugiej strony zdarzyło się, że władze uczelni próbowały zablokować seminarium dotyczące filozofii marksistowskiej. Obie sytuacje uważam z punktu widzenia wolności akademickiej za naganne. Zwracam również uwagę, że w skład komisji wejdzie dziewięć osób cieszących się nieposzlakowaną opinią, z czego ministerstwo wybierze tylko cztery – czyli mniejszość. Resztę wskażą przedstawiciele środowiska akademickiego, w tym studenci i doktoranci.

Czy impuls do stworzenia takiego organu wziął się ze sprawy prof. Ewy Budzyńskiej z Uniwersytetu Śląskiego?

To była kropla, która przelała czarę goryczy. Ciesząca się wielkim autorytetem i otwarta na dyskusje badaczka została oskarżona najpierw przez grupę zideologizowanych studentów, a potem przez rzecznika dyscyplinarnego uczelni o szerzenie homofobii czy poglądów „radykalno-katolickich". Proszę zwrócić uwagę, że nie mówimy o braku podstaw naukowych, tylko o dezaprobacie wobec poglądów pani profesor. Cóż takiego wywołało tak antywolnościową reakcję?

Zdaje się, że prof. Budzyńska prezentowała na zajęciach wizję tradycyjnego modelu rodziny, podchodziła również krytycznie do aborcji.

Z tymi poglądami można się nie zgadzać, ale nikomu nie wolno kneblować ust uczonym, którzy w sprawach światopoglądowych prezentują dobrze uzasadnione argumenty. Próby piętnowania prof. Budzyńskiej traktuję jako formę zastraszania obliczonego na osiągnięcie „efektu mrożącego". Chodzi o to, aby inni naukowcy, wyznający podobne poglądy, bali się je głosić. Na to mojej zgody nie będzie.

Swego czasu Patryk Jaki, analizując słabszy niż spodziewany wynik wyborów parlamentarnych, stwierdził, że to wynik „ustępowania pola" środowiskom lewicowo-liberalnym, m.in. na uczelniach wyższych. Jak pan dzisiaj odpiera te zarzuty? Bo przecież były skierowane w pana stronę.

Zachęcam czytelników do prostego eksperymentu myślowego. Jakie byłoby poparcie dla Zjednoczonej Prawicy, gdyby na uczelniach panowało takie napięcie jak w sądach? Gdyby studenci masowo strajkowali, a zagraniczne uniwersytety zawieszały współpracę naukową z polskimi albo wycofywały się z wymiany studentów w ramach progra-

eprasa.pl 0a6efddd4a

mu Erasmus? Jednak ważniejsze jest coś innego – kwestia zasad. Fundamentem cywilizacji Zachodu jest wolność uczelni. Jeżeli ktoś chce tę wolność ograniczać, bez znaczenia z której strony, to moją rolą jako ministra nauki jest sprzeciwić się tym zakusom. Owszem, osób o poglądach lewicowo-liberalnych jest na uczelniach więcej, ale nie można z nimi polemizować, ograniczając ich wolność akademicką. Do swoich racji trzeba przekonywać studentów i całe społeczeństwo w otwartej dyskusji, siłą argumentów.

Tyle że pan mówi o pluralizmie, „kładzeniu się Rejtanem" za gender studies na uczelniach, a symboliczna „druga strona" sporu odpowiada wykluczaniem niepasujących światopoglądowo profesorów. Gdzie tu równowaga?

Jestem przekonany, że zdecydowana większość akademików, niezależnie od poglądów, opowiada się za utrzymaniem pełnej wolności słowa w murach uniwersytetów. A próbom wykluczania przez agresywne mniejszości swoich oponentów o konserwatywnych poglądach przeciwdziałać będzie właśnie nowelizacja ustawy. Powtórzę: nigdy nie dopuszczę do tego, aby jakakolwiek grupa zamykała usta swoim oponentom! Moje działanie wynika z moich konserwatywnych przekonań. Bo konserwatyści są strażnikami wolności.

W ten sposób dla jednych jest pan zbyt miękki, dla drugich, jak napisał w liście otwartym prof. Przemysław Pietrzak z UW, „zostanie zapamiętany jako najczarniejsza karta w zarządzaniu polską nauką po roku 1989". Nie ma pan czasami pokusy, żeby zostawić symetryzowanie i postawić się po jednej ze stron tego konfliktu?

Patrząc z punktu widzenia kalkulacji politycznych, być może ma pan rację. Ale jako minister jestem odpowiedzialny za coś więcej niż budowanie słupków poparcia osobistej popularności. Nie ulegnę szantażowi ani niektórych środowisk prawicowych, ani ludzi pokroju prof. Pietrzaka, którym mimo ich górnolotnych deklaracji o tolerancji tak naprawdę chodzi o to, by uciszyć ludzi o odmiennych poglądach.

Na koniec wątek, do którego może mieć pan stosunek sentymentalny. Dawna partia matka – Platforma Obywatelska – zmieniła lidera. Kończy się era Grzegorza Schetyny, zaczyna Borysa Budki. Pytanie, czy będzie to zmiana na lepsze?

To, że Borys Budka zdobył blisko 80 proc. poparcia, jest jego niekwestionowanym sukcesem. Gratuluję jak polityk politykowi. Wydaje mi się jednak, że jest on typowym liderem przejściowym, a realna władza w partii będzie spoczywać w rękach kierownictwa kolektywnego, wśród którego na razie nie widać kandydata na przywódcę z prawdziwego zdarzenia.

A może Donalda Tuska, który otwarcie wsparł Borysa Budkę?

Jeden z polityków PO w rozmowie na temat obecnej roli Tuska odpowiedział mi żartobliwie, że to jak swego czasu na lewicy z Aleksandrem Kwaśniewskim: dobrze zrobić sobie z nim zdjęcie, a potem niech się w nic nie wtrąca. Myślę, że pokolenie 40-latków, które przejęło władzę w partii i ma duże ambicje, będzie chciało rządzić samodzielnie. Mimo wszystko nie przekreślałbym jednak możliwości wpływu Donalda Tuska na polską scenę polityczną. To był i jest zawodnik wagi ciężkiej. Jeżeli Platforma przegra wybory prezydenckie, a do parlamentarnych nie wyłoni się prawdziwy lider, to być może zobaczymy powrót Donalda Tuska? Ale o białym koniu nikt już chyba nie marzy...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

Czym tu straszyć

Rafał A. Ziemkiewicz

Opozycja nawet nie próbuje zaprezentować jakiejkolwiek wizji pozytywnej. Jedyną drogę do sukcesu widzi w „straszeniu PiS-em", mimo fiaska kolejnych opartych na tym straszeniu kampanii

My tej hołoty agitować nie musimy" – mówił, w swym charakterystycznym stylu, niezapomniany Kolega Kierownik ze sławnej audycji Jacka Fedorowicza na okoliczność zbliżających się wyborów (wtedy, gdy Fedorowicz nagrywał ten skecz dla tzw. drugiego obiegu, nie wiadomo jeszcze było, że ostatnich w PRL). – „My na nich oddziałamy w inny sposób: my im zabezpieczymy s t r a c h a!".

Trudno mi było oprzeć się skojarzeniu z tym starym skeczem, gdy słuchałem, jak kilkoro sympatyzujących z PO i Lewicą publicystów dyskutuje w Radiu TOK FM, co powinna opozycja zrobić, żeby wygrać wybory. Pomińmy, że kiedyś tak jawne demonstrowanie oddania nie idei, ale po prostu „naszej" partii byłoby nie do pomyślenia, dziś już nikogo to nie dziwi. Ważne jest, że we wspomnianej dyskusji u Piotra Kraśki wszystkim wydawało się oczywiste, że jedynym sposobem na zwycięstwo jest wyborców nastraszyć. Spór dotyczył tylko tego: czym. Oczywiście tym, że przez PiS wyrzucą nas z Europy. No tak, ale to przecież wiadomo już od dawna, a mimo to oni dalej głosują na PiS...

Któraś z dyskutujących osób (Katarzyna Kolenda-Zaleska, jeśli poznałem po głosie) wyjaśniła: że ludzie nie mają dość wyobraźni i nie rozumieją, jak to zaszkodzi im samym. Dlatego trzeba straszyć konkretnie. Na przykład, że przez PiS Unia zabierze im paszporty, zamknie granice i nie pozwoli u siebie pracować. Trzeba także straszyć rolników tym, że stracą unijne dopłaty. Wtedy zagłosują na Kidawę-Błońską albo na kogokolwiek, byle nie na Dudę.

DAWNE STRACHY

Trudno powiedzieć, czy politycy opozycji słuchali tej audycji, czy też odwrotnie – opozycyjni publicyści powtarzali, co usłyszeli wcześniej od polityków. W każdym razie wygłoszone tam wskazania wyraźnie są realizowane. Do repertuaru strachów, stosowanego przez opozycję, włączone zostały, i to na poczesnym miejscu, te, że jeśli Andrzej Duda pozostanie prezydentem na drugą kadencję, to stracimy paszporty i subwencje dla rolników. Idę o zakład, że tezy te będą w trakcie nabierającej tempa kampanii wyborczej intensywnie eksploatowane i zapewne obudowane wieloma podobnymi.

Rozważanie, jak się te przestrogi mają do rzeczywistości, nie ma chyba większego sensu. Natomiast warto pochylić się nad uporem, z którym opozycja widzi jedyną drogę do sukcesu właśnie w „straszeniu PiS-em", mimo że już za rządów Tuska wyśmiewał je w popularnym telewizyjnym skeczu Robert Górski i mimo fiaska kolejnych opartych na tym straszeniu kampanii.

Czy tak silna jest pamięć sukcesu lat 2005–2007, kiedy to zmasowana kampania medialna o rzekomych „nadużyciach władzy", „naciskach" i „zaszczuciu Blidy" zdołała przekonać znaczną część

eprasa.pl 0a6efddd4a

wyborców i przywróciła obozowi Magdalenki władzę? W tym niewątpliwym sukcesie był jednak przecież zarodek przyszłej klęski. Po przejęciu władzy przez PO dwie sejmowe komisje i 63 śledztwa prokuratorskie nie znalazły ani śladu ogłaszanych gromko „zagrożeń dla demokracji". Może niewiele osób publicznych miało tyle śmiałości co Kazik Staszewski, który publicznie powiedział, że wierząc w jakąś „duszną atmosferę rządów PiS", zwyczajnie dał się nabrać i teraz ma absmak, ale ta lekcja przynajmniej część wyborców nauczyła, by na przyszłość traktować straszenie liberalno-lewicowych mediów z dystansem, czego owoce zbiera PiS do dziś.

Sukces był też o tyle względny, że choć w roku 2007 PiS stracił władzę, to znacznie swą popularność zwiększył, przejmując elektoraty próbujących lawirować między nim a obozem przeciwnym Leppera i Giertycha. W dodatku udało się go osiągnąć w warunkach pełnego panowania nad mediami masowymi – teraz, kiedy media państwowe kontrują przekaz prywatnych, skuteczność straszenia ograniczona musi być tylko do oddanych odbiorców tych drugich.

Last but not least, przekonanie, że odsunięcie od władzy PiS w roku 2007 udało się dzięki wytworzeniu w społeczeństwie zmasowaną kampanią liberalnych elit poczucia zagrożenia jest raczej pochlebną dla siebie samych interpretacją przyjętą przez owe elity. Ówczesny sukces miał jeszcze jeden element – moim zdaniem decydujący. Podczas gdy PiS na straszenie „zagrożeniami dla demokracji" odpowiadał, strasząc korupcją i „układem", Donald Tusk na ostatniej prostej sypał obietnicami, rozsnuwał wizję pięknej przyszłości, obiecywał powrót do kraju emigrantów i, generalnie, sponsorowany przez Unię Europejską dobrobyt.

Wbrew przekonaniu, że „hołocie trzeba zabezpieczyć stracha", kolejne kampanie wyborcze – od „mieszkań na wiosnę" Kwaśniewskiego do „dobrej zmiany" Szydło i Dudy – pokazały, że Polacy głosują raczej na tych, którzy obiecują im, iż kiedy wygrają, będzie lepiej, niż na tych, którzy straszą, że jeśli wygrają przeciwnicy, to będzie gorzej. A co najmniej, że wizji poprawy oczekują także. O tym dzisiejsza opozycja zdaje się zupełnie zapominać i nawet nie próbuje zaprezentować jakiejkolwiek wizji pozytywnej. „Zlikwidujemy IPN, zlikwidujemy CBA, postawimy przed Trybunałem Stanu, powyrzucamy z państwowych mediów…".

Przekonanie, że przytłaczająca większość Polaków boi się „wyrzucenia z Unii" i trzeba ich tylko przekonać, że to właśnie się stanie, jeśli PiS zachowa pełnię władzy, zdaje się odbierać jakąkolwiek chęć do wymyślenia czegokolwiek innego. Co prawda, straszenie „wyrzuceniem z Unii" dotąd nie dało sukcesu większego niż mobilizacja elektoratu wielkomiejskiego w wyborach samorządowych, ale opozycja już sobie wytłumaczyła, dlaczego i dlaczego teraz będzie inaczej. Po prostu dotąd Polacy w realność tej groźby nie wierzyli – ale teraz, wobec kryzysu wokół sądownictwa, uwierzą.

Tę wiarę utwierdziło na liberalnej lewicy kilka styczniowych sondaży, pokazujących spadek popularności PiS. Co prawda, te, które pokazały spadki w okolicach 5–6 punktów procentowych, wydają się mało wiarygodne (skompromitowana w poprzednich wyborach pracownia ISBS i sondaż KANTAR połączony z pytaniem o spór w sądownictwie, z ponadnormalnym odsetkiem odmów udziału w sondażu), a w innych spadek mieści się w granicach błędu statystycznego, ale spragnionej sukcesu opozycji nawet tyle wystarczyło do popadnięcia w entuzjazm. Wzmożeniu nastrojów „więcej, mocniej, głośniej" sprzyja też wybór na nowego szefa PO Borysa Budki. W całej swojej dotychczasowej działalności nowy lider opozycji nie przedstawił żadnej pozytywnej wizji, wykraczającej poza osławione „żeby znowu było, jak było" – nie wymagano tego też od niego w wewnętrznych partyjnych wyborach. Mało kto słyszał od Budki w ostatnich latach cokolwiek więcej niż coraz bardziej sztampową krytykę PiS w kontekście „łamania konstytucji", „odbierania wolności" i, oczywiście, przede wszystkim „niszczenia praworządności", które ma doprowadzić do tego, że nas „wyrzucą".

DYSONANS

Tylko że przekaz, który do Polaków dociera, wcale nie potwierdza jednoznacznie tego straszenia. Ci sami politycy opozycji, którzy twierdzą, że możemy zostać z Unii „wyrzuceni", za jeden z autorytetów, do których pielgrzymują z prośbami o interwencję przeciwko Polsce, uważają Guya Verhofstadta. Tymczasem to on właśnie zareagował na brexit postulatem ustanowienia w UE specjalnego prawa, które na przyszłość zakazałoby krajom członkowskim opuszczenia organizacji. A więc ten prominentny eurokrata nie tylko nie dopuszcza myśli, żeby nas za karę „wyrzucić z Europy", lecz także wręcz chce z góry zabronić nam dobrowolnego odejścia, na wypadek, gdybyśmy powzięli taki zamiar!

Albo wizyta Emmanuela Macrona. Jeśli przez trzy lata atakował Polskę niemal równie ostro jak Timmermans i nagle zmienia ton na znacznie łagodniejszy, to właśnie w momencie, gdy mający na nas ściągnąć straszliwe unijne kary kryzys sądowy wydaje się sięgać szczytu – to nawet, jeśli gdzieś tam zdawkowo „wyraża zaniepokojenie" i nawet jeśli „Wyborcza" z tego zdawkowego stwierdzenia czyni nadtytuł na pierwszej stronie, dysonans dociera do wszystkich.

ŻEBRANIE O POGRÓŻKI

Dużym błędem opozycji wydaje się spotkanie, zorganizowane przez Radosława Sikorskiego w brukselskiej siedzibie europarlamentu. Nawet on sam w pewnym momencie poczuł się w obowiązku mitygować swoich stronników: „Pamiętajcie, że tu są kamery" – ale było już za późno, zresztą nie został wysłuchany. Za sprawą mediów państwowych i Internetu dotarł do Polaków obraz opozycji, dosłownie żebrzącej w Unii o pogróżki pod adresem Polski, sankcje, mocniejsze oskarżenia – na czele z wypowiedzią Marka Belki otwarcie tłumaczącego europejskim gospodarzom, że aby wynik wyborów wypadł jak należy, muszą zrobić coś takiego, co uderzy w poczucie bezpieczeństwa socjalnego polskich wyborców. Nie chodzi nawet o naganność tych targowickich błagań, ale o pokazanie wszem wobec, że pogróżki Unii to taki teatrzyk, odgrywany przez życzliwych opozycji eurokratów (np. przewodniczący PE pytający z przejęciem: „Jak wam jeszcze możemy pomóc?"), a nie realne zagrożenie.

Opozycja wierzy, że mimo wszystko groza słowa „polexit" wystarczy jej, by zebrać przeciwko urzędującemu prezydentowi odrobinę ponad połowę głosów i że strategia, która już wielokrotnie zawiodła, tym razem zadziała. A może nie wierzy, ale naprawdę niczego innego wymyślić nie jest w stanie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Marsz na Zgodę, Katowice, 27 stycznia 2020 r.
FOT. MAREK KUWAK/REPORTER

Mniejszość atakuje

Andrzej Krzystyniak

Przedstawiciele Ruchu Autonomii Śląska wykorzystują Tragedię Górnośląską, by mówić o „polskich obozach koncentracyjnych"

Pod koniec stycznia na Śląsku obchodzono rocznicę Tragedii Górnośląskiej, czyli wydarzeń, które miały miejsce w styczniu 1945 r. po wkroczeniu Armii Czerwonej. Represje (m.in. deportacje setek tysięcy do Związku Sowieckiego), które dotknęły wówczas ludność Śląska, są dziś tematem badań i dyskusji nie tylko naukowej, lecz także publicystycznej.

Ci, którzy podnoszą temat powojennych represji, bardziej niż upamiętnieniem ofiar zainteresowani są niestety obarczeniem zbrodniami komunistycznymi państwa polskiego. To Polacy mieli dopuszczać się represji na Ślązakach, to państwo polskie miało dokonywać deportacji, mordować autochtonów w obozach koncentracyjnych, rzecz jasna „polskich". Przy tym ci, którzy żądają przeprosin od Polski czy wręcz odszkodowań, nie odważą się zwrócić z takim samym wezwaniem do władz Rosji.

MĘTNE GRANICE

Kilka lat temu wkroczenie Armii Czerwonej po 1945 r. na obszar ówczesnych Niemiec mniejszość niemiecka nazwała tragedią niemieckiego wschodu. W tym roku upamiętnienie ofiar odbywało się pod nazwą „75 lat powojennej tragedii Niemców w Polsce". Zapomniano o tragedii Niemców na obszarze Prus Wschodnich, należących obecnie do Rosji. Pomija się całkowicie to, co miało miejsce na obszarze Królewca (obecnie Kaliningradu) podczas jego oblężenia oraz po wkroczeniu Sowietów. A niektóre źródła podają, że pozostałych przy życiu Niemców doprowadzono do tak potwornej nędzy, że nierzadko zdarzały się przypadki kanibalizmu. Ostatnich mieszkańców wypędzono w 1947 r. Nie wiadomo, z jakich to powodów nie wspomina się o tragedii Niemców zamieszkujących tamte rejony, a bardzo skrupulatnie dostrzega się tylko „tragedię Niemców w Polsce". Zapomniano również o tragedii Niemców na obszarach zajętych przez Armię Czerwoną za linią Odry, czyli na obszarach, z których później utworzono Niemiecką Republikę Demokratyczną. Tam po wojnie również tworzono „obozy koncentracyjne", a skoro tak, były to już nie niemieckie nazistowskie obozy koncentracyjne, lecz niemieckie komunistyczne obozy koncentracyjne.

W 2010 r. ukazała się w Niemczech książka pt. „Terror wyparty ze świadomości. Historia i postrzeganie sowieckich

eprasa.pl 0a6efddd4a

obozów specjalnych w Niemczech". Jej autorka Bettina Greiner opisuje „stalinowskie obozy specjalne" w Niemczech. Pisze m.in. o ofiarach terroru stalinowskiego i enerdowskiego. Brak w jakichkolwiek opracowaniach, w powyższym również, słowa „niemieckie" na określenie zbrodni popełnianych po 1945 r. przez wschodnich Niemców. W odróżnieniu od Polski, gdzie terror komunistyczny jest już nazywany polskim, a komunistyczne obozy polskimi.

POLSKA ODPOWIEDZIALNA?

Jak co roku w styczniu kilka środowisk pod przewodnictwem Ruchu Autonomii Śląska, nazywanych przez siebie „śląskimi regionalistami", organizowało „Marsz na Zgodę", czyli przemarsz pod bramę komunistycznego obozu pracy w dzielnicy Zgoda w Świętochłowicach. Rzecz jasna zdaniem inicjatorów jest to marsz pod „polski obóz koncentracyjny" utworzony przez Polaków w celu eksterminacji Ślązaków. Pomija się nawet przymiotnik „komunistyczny", chcąc jasno zasygnalizować, kto jest odpowiedzialny za powojenne represje na Śląsku. Stanowisko organizatorów jest niezmienne od kilku lat: Polacy swą krwiożerczą nacjonalistyczną polityką pragnęli zniszczyć mniejszości narodowe, deportując i unicestwiając ich przedstawicieli, a do tego celu utworzyli obozy koncentracyjne. Można przy tym odnieść absurdalne wrażenie, że polscy komuniści byli tak suwerenni w swych decyzjach, że robili to całkowicie bez wiedzy Sowietów. Idąc dalej tym tropem myślenia, można by wręcz uznać, że Polacy narzucili obradującym w Poczdamie przedstawicielom trzech zwycięskich mocarstw deportacje Niemców poza obszar granic powojennej Polski.

Ten schemat układania na nowo historii jest nie tylko zrównywaniem katów z ofiarami, lecz także doskonale wpisuje się w nagonkę na Polskę, której dopuszczają się niektórzy na arenie międzynarodowej. Trudno walczyć z kłamstwem historycznym na temat Polski za granicą, kiedy zakłamywanie i manipulowanie historią, w tym wypadku powojenną, odbywa się w naszym kraju, i to na naszych oczach.

Polacy utracili suwerenność w 1939 r., nie przywróciło jej wkroczenie Armii Czerwonej, gdyż nie było ono wyzwoleniem

Z całą stanowczością należy podkreślić fakt powojennych represji i cierpień tysięcy niewinnych ofiar, jednak obarczanie winą za nie Polaków jest obrzydliwym nadużyciem. Używanie przy tym argumentu, jakoby to polscy komuniści mieli kierować się pobudkami nacjonalizmu, jest dodatkowo absurdalne. Takie tezy doskonale wpisują się w atak propagandowy na Polskę jako na kraj, który swoją agresywną polityką wywołał drugą wojnę światową. Z kolei zaraz po jej zakończeniu zakładał obozy koncentracyjne oraz wypędzał i gnębił mniejszości narodowe. Tymczasem Polacy utracili suwerenność w 1939 r., nie przywróciło jej wkroczenie Armii Czerwonej, gdyż choć uchroniło polski naród od unicestwienia z rąk Niemców, nie było wyzwoleniem. Rządy komunistów były siłą narzucone bagnetami Sowietów i przyniosły nowe represje. Swoją drogą, skoro – jak chcą niektórzy – wojna na Śląsku rozpoczęła się w 1945 r., to czy należy rozumieć, że gdyby nie porażka Niemiec, to Ślązacy żyliby spokojnie i dostatnio w wielokulturowym Śląsku? A tak styczeń 1945 r. przyniósł potworne represje i koniec wielokulturowego świata? Takowa teza obraża tysiące Ślązaków zamordowanych i represjonowanych przez niemieckiego agresora, mordowanych od pierwszych godzin po wkroczeniu na obszar polskiego Śląska niemieckiej armii. Mordowanych często według skrupulatnie sporządzanych przez niemieckie służby list proskrypcyjnych. Były tworzone przy współpracy z mniejszością niemiecką zamieszkującą polską część Górnego Śląska, a umieszczenie na takiej liście było często równoznaczne z wyrokiem śmierci. I to był prawdziwy koniec Śląska wielokulturowego, do którego po 1945 r. nie było powrotu. Z kolei obarczenie dziś Polski winą za wydarzenia, na które nie miała kompletnie wpływu, jest niesprawiedliwym nadużyciem, będącym na rękę tym, którzy używają przeciwko naszemu krajowi agresywnej, kłamliwej propagandy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Wstrząsająca historia kobiet i dzieci ocalałych z piekła

Polecamy także

KSIĘGARNIE Świat Książki swiatksiazki.pl

BELLONA

eprasa.pl 0a6efddd4a

Nietolerancja urojona

Wojciech Wybranowski

Kiepskiej jakości „performance" aktywisty ruchów homoseksualnych, który porozmieszczał znaki drogowe informujące o rzekomej „strefie wolnej od LGBT", wywołał już oddźwięk w Europie i krytyczne opinie pod adresem Polski. Natychmiast podchwyciły to środowiska lewicowo-liberalne i bliskie im media. Sęk w tym, że takie „strefy" to tylko polityczno-dziennikarska kreacja

Początek ubiegłego tygodnia. Prezydent Francji Emmanuel Macron rozpoczyna wizytę w Polsce. Trwa jego spotkanie z prezydentem Andrzejem Dudą. W tym samym czasie burmistrz Paryża Anna Hidalgo, jak donosi dziennikarz „GW" Bartosz Wieliński, protestuje przeciwko rzekomym „strefom wolnym od LGBT" w Polsce. „Strefy wolne od LGBT w Polsce są sprzeczne z prawami człowieka. Całe moje poparcie dla LGBT w Polsce" – pisze na Twitterze sama Hidalgo.

Nieco wcześniej belgijski polityk Guy Verhofstadt wezwał Komisję Europejską na swoim profilu twitterowym do rozpoczęcia działań „przeciwko polskim władzom, które wystawiły znaki anty-LGBT". „To sprawia, że mój żołądek się kręci. Ta akcja polskich artystów pokazuje, co naprawdę dzieje się dziś w Polsce. Wzywam Komisję Europejską do podjęcia natychmiastowych działań przeciwko obrzydliwym praktykom niektórych polskich władz lokalnych wobec społeczności LGBTI" – napisał na Twitterze przewodniczący grupy liberalnej w PE.

Tyle że żadnych stref „wolnych od LGBT" w Polsce w praktyce nie ma. Akcja, która podchwycona przez liberalno-lewicowe media wywołała taki oddźwięk w zachodnim świecie, to kontrowersyjny happening aktywisty LGBT Barta Staszewskiego, który na drogach wjazdowych do miast i miasteczek, których samorządy przyjęły uchwały sprzeciwiające się promocji w szkołach ideologii homoseksualnej, rozstawił fikcyjne znaki drogowe informujące, jakoby była to „strefa wolna od LGBT". W sumie na razie oznakował tak kilka miejscowości w Polsce: Świdnik, Końskowolę, Niedrzwicę Dużą i Puławy.

ŚWIAT, KTÓREGO NIE MA

Zgodnie ze znaną doktryną Goebbelsa kłamstwo o rzekomych „strefach wolnych od LGBT" zaczęło już żyć własnym życiem. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Parlament Europejski w Strasburgu przyjął rezolucję potępiającą „dyskryminację i mowę nienawiści wobec osób LGBT w Polsce", a także „strefy wolne od LGBT". Za takim stanowiskiem PE lobbował europoseł Robert Biedroń, lider Wiosny.

„Uwierzyli w opowieści opozycji i Biedronia, że mniejszości w naszym kraju nie mogą wchodzić „do hoteli, restauracji, sklepów". Proszę, aby każdy zadał sobie pytanie, czy to prawdziwy obraz naszego

eprasa.pl 0a6efddd4a

kraju?" – komentował eurodeputowany Patryk Jaki (PiS).

Narrację o miastach i miasteczkach w Polsce, w których rzekomo ma obowiązywać zakaz funkcjonowania obywateli o homoseksualnych skłonnościach, podchwyciła też niedawno kandydatka PO na prezydenta Małgorzata Kidawa-Błońska. Podczas spotkania z Polonią w Londynie mówiła o podzielonej Polsce, w której chłopak nie może spotkać się z dziewczyną, ponieważ ich rodziców dzielą poglądy polityczne. – Do czego myśmy doszli w Polsce? To jest przerażające, że są miejscowości, gdzie są znaki zakazu wjazdu dla innej orientacji seksualnej – komentowała Kidawa-Błońska.

Czy to tylko, jak komentowali internauci, kolejna wpadka kandydatki na prezydenta, czy też raczej celowa narracja? Opowieść o rzekomych strefach wolnych od LGBT jest bowiem od wielu miesięcy powielana przez bliskie opozycji media. 30 stycznia „Gazeta Wyborcza" w specjalnym nagraniu, w rozmowie z Julią Maciochą, prezes Parady Równości, przekonywała, że „Strefy wolne od LGBT na razie istnieją tylko na papierze. Ale co będzie dalej?", a należący do tego samego koncernu portal gazeta.pl informował, że „w »strefach wolnych od LGBT« mieszka już 30 proc. Polaków". Z kolei środowiska związane z lobby LGBT przygotowały i opublikowały w Internecie specjalny „atlas nienawiści", krwistoczerwonym kolorem zaznaczono w nim gminy, których samorządy rzekomo dyskryminują osoby LGBT. Bliska lewicowo-liberalnej opozycji organizacja Akcja Demokracja przygotowała nawet specjalny apel i zbiera pod nim podpisy przeciwko rzekomym „strefom wolnym od LGBT", powołując się w nim na informacje gazety.pl.

– W samorządach, o których mowa, podjęto uchwały nie „przeciwko LGBT" czy ogłoszono nie „strefy wolne od LGBT", ale zadeklarowano się przeciwko promocji „ideologii LGBT", np. w formie przymusowych „tęczowych lekcji" dla dzieci: – komentuje Marcin Wątrobiński, prawnik. I dodaje w rozmowie z „Do Rzeczy": – Abstrahując od tego, czy te uchwały mają jakikolwiek sens, ale nawet tutaj widać manipulację opozycji i celowe, niezgodne z prawdą epatowanie „wykluczeniem".

SAMORZĄDOWE UCHWAŁY

I rzeczywiście. Nie ma ani jednego miasta, ani jednego powiatu w Polsce, w którym lokalna władza w jakikolwiek sposób ograniczałaby działalność środowisk LGBT. Więcej, w niejednym, np. Warszawie, w której prezydent Rafał Trzaskowski podpisał „Deklarację LGBT Plus", czy Poznaniu, w którym gejowskie imprezy często mają patronat prezydenta miasta Jacka Jaśkowiaka – środowiska LGBT cieszą się sporą życzliwością władz. O co w takim razie chodzi? O uchwały, które do tej pory przyjęto w blisko 90 lokalnych samorządach w Polsce, m.in. przez Sejmik Województwa Świętokrzyskiego oraz w sejmikach: lubelskim, małopolskim i podkarpackim, w których radni sprzeciwiają się prowadzeniu w placówkach samorządowych i państwowych, pod pozorami edukacji seksualnej, zajęć, które w rzeczywistości popularyzowałyby ideologię LGBT i gender.

I tak np. radni niewielkiej Łososiny Dolnej w zadeklarowanym stanowisku uznali, że wyrażają sprzeciw wobec pojawiających się w sferze publicznej działań zorientowanych na promowanie ideologii ruchów LGBT, a także, że nie godzą się „na sprzeczne z prawem oraz z realnym dobrem dzieci" wprowadzanie do szkół tzw. latarników, czyli osób odpowiedzialnych za działania promujące ideologię LGBT.

Akcja przyjmowania uchwał, w których samorządy nie zgadzają się na wprowadzenie do szkół lekcji edukacji homoseksualnej, organizowanie promujących ideologię LGBT „Tęczowych Piątków" pojawiło się krótko po tym, jak prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski w lutym ubiegłego roku podpisał, pod naciskiem lobby homoseksualnego, tzw. Deklarację LGBT Plus, zawierającą obietnice promocji interesów środowisk homoseksualnych. Zgodnie z deklaracją władze stolicy będą musiały wprowadzić w szkołach edukację antydyskryminacyjną i seksualną czy otworzyć specjalny ośrodek spotkań dla osób LGBT.

Wśród samorządów, które przyjęły uchwały „anty-LGBT" lub podobne do nich Samorządowe Karty Praw Rodziny (wzorowane na projekcie Instytutu Ordo Iuris) są m.in. samorząd Białej Podlaskiej, samorząd powiatu kieleckiego, samorząd powiatu leskiego, samorząd gminy Istebna, samorząd Bukowiny Tatrzańskiej, miasta Przemyśl czy województwa kieleckiego.

W żadnej z uchwał nie sposób znaleźć deklaracji i zapowiedzi, które w jakikolwiek sposób prowadziłyby do dyskryminacji osób o heteronienormatywnych preferencjach seksualnych. I tak np. w samorządowej Karcie praw rodziny przyjętej przez radę powiatu łowickiego czytamy m.in. o „wsparciu działań mających na celu ochronę wartości poświadczonych w Konstytucji RP – małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny, rodziny i rodzicielstwa, prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami". Podobne zwroty zawiera uchwała rady powiatu rawskiego. Z kolei w stanowisku rady gminy Tuszów Narodowy czytamy m.in.: „Nie pozwolimy wywierać administracyjnej presji na rzecz stosowania poprawności politycznej (niekiedy słusznie zwanej homopropagandą) w wybranych zawodach. Będziemy chronili m.in. nauczycieli i przedsiębiorców przed narzucaniem im nieprofesjonalnych kryteriów działania [...]". Rada miejska w Przemyślu wyraziła po prostu sprzeciw wobec promocji i afirmacji ideologii tzw. ruchów LGBT.

Przyjmowanie przez samorządy Karty praw rodziny lub „deklaracji anty-LGBT" wywołało burzę środowisk lewicowych. Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar zapowiedział, że podobne uchwały będzie skarżył do sądów i swoją deklarację realizuje.

– Jak mają czuć się osoby homoseksualne, biseksualne czy transpłciowe, słysząc o strefach wolnych od LGBT? – mówił prof. Adam Bodnar na antenie TVN24 w lipcu ubiegłego roku. – Dobra demokracja polega na tym, że nawet, jak mamy większość, to za każdym razem skupiamy się i zastanawiamy, jak prawa mniejszości poszanować – dodawał.

Zaskarżył już m.in. uchwałę anty-LGBT przyjętą przez samorząd gminy Niebylec. Jak podaje portal Nowiny 24.pl, zarzucając łamanie konstytucji m.in. poprzez dyskryminację i ingerencję w wolności i prawa osób LGBT.

W niektórych lokalnych samorządach radnym nie udało się przegłosować uchwał anty-LGBT ani samorządowej Karty praw rodziny. Zablokowano je np. w Poznaniu, w powiecie czarnkowsko-trzcianeckim, w powiecie krotoszyńskim, w Myślenicach, w Gnieźnie, w Górze Kalwarii czy Hajnówce.

Niezależnie jednak od politycznej presji i medialnej nagonki pomysł przyjmowania uchwał chroniących rodziny przed ideologią LGBT pojawia się w kolejnych lokalnych samorządach. Zastanawiają się nad przyjęciem takich oświadczeń np. radni Chocianowa (na Dolnym Śląsku). Z kolei pod koniec stycznia samorządową Kartę praw rodziny przyjął sejmik województwa łódzkiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Morawiecki kontra piraci

Łukasz Zboralski

Rząd wprowadzi trzy duże zmiany dla kierowców. To początek reformy, która ma obniżyć śmiertelność na polskich drogach, wciąż jedną z najwyższych w UE

Liczba ginących w wypadkach na polskich drogach przestała się obniżać. Właściwie od 2016 r. trwa stagnacja. Co ciekawe, ofiar jest wciąż porównywalnie dużo (ok. 2,8 tys. osób rocznie), choć sama liczba wypadków spadała. Powodów jest kilka. Po pierwsze, budowa nowych tras już nie wpływa tak bardzo na poprawę bezpieczeństwa, bo etap wielkiego boomu drogowego mamy już za sobą. Po drugie, kierowcy zaczęli jeździć bardzo szybko. Na to wskazują m.in. sygnały policji, która w 2019 r. zatrzymywała za to kierowcom znacznie więcej uprawnień niż wcześniej, oraz właśnie konsekwencje wypadków – choć jest ich mniej, ginie w nich więcej ludzi, zatem ich skutki są cięższe.

Wciąż pozostajemy więc w ogonie UE pod względem bezpieczeństwa drogowego. Średnio w Europie w wypadkach ginie 50 osób na milion mieszkańców, u nas ten wskaźnik sięga 74 osób. Kiedy się weźmie pod uwagę dokładniejszy wskaźnik – czyli liczbę śmiertelnych wypadków na miliard kilometrów przejechanych przez samochody – polski wynik to 14,3, a średnia UE – 5,8.

Minister infrastruktury, który z urzędu jest szefem Krajowej Rady Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego, był bierny. Dlatego tuż po wyborach te sprawy w swoje ręce wziął sam premier. Mateusz Morawiecki zaznaczył w exposé, że poprawa sytuacji na drogach będzie jednym z najważniejszych zadań rządu w tej kadencji – zwłaszcza sytuacja na przejściach dla pieszych, gdzie w latach 2016–2018 rosła liczba ofiar śmiertelnych (w 2018 r. na samych „zebrach" zginęło w kraju 271 osób).

W ubiegłym tygodniu do konsultacji publicznych trafił pierwszy projekt nowelizacji prawa. Zawiera trzy duże zmiany. Rząd planuje, że zaczną obowiązywać już od 1 lipca.

Najprostszą zmianą, której jednak żaden rząd od dekad nie umiał podołać, jest ustalenie jednego limitu prędkości w obszarze zabudowanym – 50 km/h.

JEDEN LIMIT W MIASTACH

Podczas gdy dawno temu cała Europa ustaliła, że w miejscach dużego ruchu pieszych należy jeździć maksymalnie 50 km/h, polscy parlamentarzyści stworzyli kierowcom łamigłówkę. I Polacy muszą pamiętać, że w mieście można jechać 60 km/h od godz. 23 do 5 rano. A w godz. 5–23 już tylko 50 km/h.

Ujednolicenie limitu pozwoli łatwiej kształcić kierowców. Będą mieli do zapamiętania jeden limit mniej. To się przyda, bo w Polsce trzeba wiedzieć o wielu limitach prędkości, uzależnionych od typu drogi (poza dwoma prędkościami w obszarze zabudowanym są to także: 90 km/h – droga poza obszarem zabudowanym, 100 km/h – droga dwujezdniowa poza obszarem zabudowanym z co najmniej dwoma pasami ruchu w każdym kierunku, 100 km/h – droga ekspresowa jednojezdniowa, 120 km/h – droga ekspresowa dwujezdniowa, 140 km/h – autostrada). W innych krajach jest łatwiej. Kierowcy osobówek mają proste trzy limity – jeden w obszarze zabudowanym, jeden poza obszarem zabudowanym i jeden na drogach ekspresowych i autostradach.

Jednak 50 km/h w mieście ma też dużo inny sens. Od lat 90. z badań dotyczących wypadków z niechronionymi uczestnikami ruchu (piesi, rowerzyści) wiadomo, jaka jest krzywa ryzyka zgonu przy różnych prędkościach zderzenia. 50 km/h jest prędkością graniczną. Gdy przy takiej prędkości dochodzi do wypadku z udziałem pieszego, ma on jeszcze statystycznie 50 proc. szans na przeżycie zderzenia. Po przekroczeniu tej prędkości jego szanse drastycznie maleją.

To ważne, zwłaszcza w Polsce. Niedawny raport Europejskiej Rady Bezpieczeństwa Transportu wskazał, że w Europie ginie w wypadkach średnio 11 pieszych na milion mieszkańców. U nas ponad 22. Jeśli się weźmie pod uwagę pieszych po 65. roku życia, to wskaźnik zabitych pieszych w Polsce na milion mieszkańców sięga 50.

ELIMINACJA SZYBKICH I WŚCIEKŁYCH

Rząd uznał, że należy w jeszcze większym stopniu wpływać na kierowców najbardziej lekceważących limity prędkości. Drugi element nowelizacji zakłada zmianę

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

przepisu, który daje dziś podstawę do zatrzymania prawa jazdy kierowcy, który w obszarze zabudowanym przekroczył prędkość o co najmniej 50 km/h. Po zmianie prawo jazdy tracić będą także ci, którzy jadą o wiele za szybko poza obszarem zabudowanym. Trudno się nie zgodzić, że jeżdżący np. 140 km/h po drogach krajowych stanowią poważne zagrożenie dla siebie i innych. Tak samo ci, którzy na autostradzie pędzą 200 km/h (za duża prędkość i brak właściwego odstępu to dwie najczęstsze przyczyny wypadków na polskich autostradach).

Należy jednak zauważyć, że przy okazji nowelizacji nie pochylono się nad próbą rozwiązania problemu związanego z tą karą administracyjną. Otóż kierowca, który nie zgadza się dziś z pomiarem policji, musi oddać prawo jazdy i może się odwołać do Samorządowego Kolegium Odwoławczego. Procedura trwa jednak zwykle dużo dłużej niż trzy miesiące i w ten sposób czasem niewinny odbywa karę.

Wprawdzie niewielki odsetek kierowców w Polsce nie zgadza się z policyjnymi pomiarami prędkości (niecały 1 proc. z przyłapanych na jej przekraczaniu, a z tej grupy zaledwie niecały procent udowadnia swoją rację w sądzie), jednak rząd powinien okazać dobrą wolę i przy okazji procedowania tego projektu przemyśleć procedurę tak, by choć tych niewielu niewinnych nie było poszkodowanymi.

Oprócz nowelizacji tego prawa administracja uruchomiła i tak już spóźniony projekt rozbudowy sieci rządowych fotoradarów. Przybędzie ich jednak niewiele – 111 nowych lokalizacji (dopiero opublikowano przetarg na 26 urządzeń). Ważniejsze jednak są zapowiedzi załatania dziury prawnej w procedurze karania kierowców za wykroczenia zarejestrowane przez automaty. Dzisiaj nieodpowiadanie w ogóle na wezwanie GITD powoduje praktycznie bezkarność. Służba chce więc, by wzorem innych krajów kara z fotoradaru była karą administracyjną nakładaną na właściciela pojazdu (zawsze może wskazać też kierującego). Resort infrastruktury ma już prowadzić analizy w tej sprawie.

BEZPIECZNIEJ NA PRZEJŚCIACH

O ile dwie pierwsze propozycje rządu nie wzbudzają sprzeciwu, o tyle kontrowersje wzbudza nowelizacja dotycząca ochrony prawnej pieszych jeszcze przed przejściami. Głównie dlatego, że jest nieprawdziwie przedstawiana także w mediach jako umożliwienie pieszym wchodzenia na przejście bez zwracania uwagi na cokolwiek oraz jako próba zrzucenia winy na kierowców za wszystkie wypadki na „zebrach". Naprawdę chodzi jednak o coś innego. Piesi nie dostaną żadnych nowych przywilejów, tylko doprecyzowany zostanie obowiązek kierowcy dojeżdżającego do takiego miejsca.

To rozwiąże problem polskiego prawa, które nigdy w pełni nie zostało dostosowane do ratyfikowanej przez Polskę umowy międzynarodowej – Konwencji wiedeńskiej. Jeszcze śp. Janusz Kochanowski jako rzecznik praw obywatelskich w 2009 r. zwracał na to uwagę w oficjalnym piśmie ówczesnemu ministrowi infrastruktury Cezaremu Grabarczykowi. Kochanowski podnosił, że w Konwencji wiedeńskiej jasno zapisano, iż kierowca zbliżający się do przejścia musi zmniejszyć prędkość tak, aby nie narazić na niebezpieczeństwo nie tylko pieszych znajdujących się już na pasach, lecz także dopiero wchodzących na nie. W polskiej ustawie zapisano taki obowiązek kierowcy dotyczący tylko pieszych już będących na pasach. „Oznacza to zatem, iż na kierującego nie nałożono, wynikającego wprost z przepisów ustawy, obowiązku zbliżania się do przejścia dla pieszych z odpowiednio zmniejszoną prędkością ani tym bardziej obowiązku zatrzymania się w celu przepuszczenia pieszych [...]" – wytykał RPO. I wskazując nieproporcjonalność obowiązków nakładanych przez polskie prawo (bo choć dokładnego obowiązku dla kierowców zabrakło, to pieszemu zakazano wkraczać przed nadjeżdżający pojazd), wytykał: „Tak sformułowana zasada pierwszeństwa pieszych na przejściu dla pieszych może sugerować, iż obowiązek dbałości o bezpieczeństwo pieszego na drodze na przejściu dla pieszych spoczywa wyłącznie na pieszym, a kierujący nie jest zobowiązany do zachowania szczególnej ostrożności".

W polskim prawie zapis dotyczący nienarażania pieszych dopiero wchodzących na przejście zapisano jedynie w ministerialnym rozporządzeniu dotyczącym znaku „przejście dla pieszych". A rozporządzenie nie może w ten sposób poszerzać działania ustawy.

Źle skonstruowane prawo stało się w istocie pułapką i dla kierowców, i dla pieszych. Ci pierwsi nie mają obowiązku przepuszczać pieszych dochodzących do przejścia lub oczekujących na przekroczenie „zebry". Mogą więc jechać. A gdy piesi jednak decydują się wejść, dochodzi do tragedii. To wpłynęło też na orzecznictwo sądów, które łatwo mogą np. uniewinnić znanego dziennikarza po potrąceniu starszej pani na pasach.

Nowelizacja nie pozwoli więc pieszym na wchodzenie na przejście w każdych warunkach i bez zwracania uwagi na cokolwiek – nadal będą musieli zachować szczególną ostrożność i nadal nie będzie im wolno wejść bezpośrednio przed nadjeżdżający pojazd (gdy np. kierowca z różnych powodów nie będzie chciał się zatrzymać mimo takiego obowiązku). Kierowcy zaś będą musieli w takich miejscach zwracać uwagę na okolicę przejścia i obserwować, czy ktoś nie ma zamiaru zaraz na nie wkroczyć. Tylko taka współpraca obu stron na drodze, którą to prawo usankcjonuje, może obniżać ryzyko wypadków na „zebrach".

A oprócz zmiany prawa zmieniać ma się też na bezpieczniejszą infrastruktura – w tym skrzyżowania i przejścia dla pieszych. Premier zapowiedział, że powstanie specjalny celowy Fundusz Bezpieczeństwa na Drogach, który będzie dysponował środkami na takie przedsięwzięcia. GDDKiA prowadzi już audyt przejść na drogach krajowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Oscary subiektywnie

Piotr Gociek

Wyjątkowo mocny zestaw filmów walczył w tym roku o statuetki amerykańskiej Akademii Filmowej. Oto moja prywatna lista zwycięzców

Ranking, który układam co roku dla czytelników „Do Rzeczy", jest podpowiedzią według mego własnego gustu, ale wskazując najlepszych – moim zdaniem – trzymam się ram zakreślonych nominacjami przyznanymi przez Akademię przyznającą Oscary od 1929 r. Gdy czytają państwo te słowa, tegoroczny werdykt jest już znany, zatem zapraszam do własnych porównań. I – co ważniejsze – zapraszam do kin oraz przed telewizory, bo tak się szczęśliwie złożyło, że wszystkie najważniejsze tytuły nominowane do Oscara zdążyły już trafić do Polski.

Dla porządku wskażmy na początku, kto otrzymał w tym roku najwięcej nominacji. Jedenaście dla „Jokera" Todda Phillipsa, po 10 dla „Irlandczyka" Martina Scorsese, „Pewnego razu w Hollywood" Quentina Tarantino i „1917" Sama Mendesa.

ZDJĘCIA I INNE ZAJĘCIA

Wśród nominacji dla „1917" znalazła się i ta za zdjęcia dla Rogera Deakinsa. I on powinien statuetkę otrzymać, bo jego robota w dramacie wojennym Mendesa jest fenomenalna. W mediach najwięcej mówi się o chwycie formalnym, czyli przedstawieniu całej odysei bohaterów „1917" w sposób udający jedno długie ujęcie i podkreśla techniczną perfekcję. Tak, ale spójrzmy przede wszystkim, jak znakomite są kadry, które połączył w ten sposób Deakins. Obejrzałem ten film po raz drugi tylko po to, by bez konieczności podążania za fabułą móc podziwiać jego piękno. Deakins ma na koncie łącznie 15 oscarowych nominacji, współpracował wielokrotnie z braćmi Coen, wraz z Mendesem zrobił „Skyfall" (seria o Bondzie), dwa lata temu zdobył zaś swego jedynego jak dotąd Oscara za zdjęcia do „Blade Runnera 2049".

Co do pozostałych kategorii postrzeganych jako mniej ważne: za montaż wyróżniłbym duet Andrew Buckland, Michael McCusker pracujący przy filmie Jamesa Mangolda „Le Mans

FOT. KEVORK DJANSEZIAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 0a6efddd4a

'66" (w oryginale „Ford vs Ferrari"). To znakomita hollywoodzka robota, kto nie widział, ten niech sprawdzi, nawet głośny „Rush" nie pokazywał w tak ekscytujący sposób samochodowych wyścigów. „Le Mans '66" znalazł się wśród najlepszych filmów na wyrost, ale akurat zmontowany jest świetnie. Kostiumy? Chyba jednak Arianne Phillips za „Pewnego razu w Hollywood", myślę też, że i za montaż ścieżki dźwiękowej należałoby dzieło Tarantino nagrodzić. Najlepszy make-up – „Joker", najlepsze efekty specjalne – „Avengers: Koniec gry".

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

Z Disneyem można wygrywać i na tym polu, na którym jest niekwestionowaną potęgą – pełnometrażowej animacji. Nie zdarza się to bardzo często, ale jednak. Rok temu hegemonię przełamał „Spider-Man Uniwersum", wcześniej udawało się m.in. Japończykom (Hayao Miyazaki i „Spirited Away: W krainie bogów") oraz Brytyjczykom (studio Aardman oraz „Wallace i Gromit: Klątwa Królika"). W tym roku najlepszą animacją ogłaszam „Klausa", nietypową opowieść świąteczną, którą dla Netflixa wyprodukowali Hiszpanie. Film bardzo oryginalny, mocno wyróżniający się wśród zalewu filmów zdecydowanie przesadzających z hiperrealistycznymi efektami komputerowymi.

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

Rok temu wielu liczyło na wygraną polskiej „Zimnej wojny" Pawła Pawlikowskiego, zwłaszcza że oczekiwano, iż „Roma" Cuaróna, faworyt w tej kategorii, dostanie statuetkę dla najlepszego filmu. To zwalniałoby dla Polaka miejsce wśród nominowanych w kategorii „najlepszy film nieanglojęzyczny". Najważniejszego Oscara dostał jednak film „Green Book", „Roma" triumfowała wśród tytułów z importu, a Pawlikowski musiał obejść się smakiem. W tym roku podobne doświadczenie czeka, jak mniemam, Jana Komasę i „Boże ciało". Nominowany w sześciu kategoriach „Parasite" Bonga Joon-ho najprawdopodobniej bowiem tytułu najlepszego filmu nie zdobędzie, wygra więc wśród zagranicznych. I zgodzę się z takim werdyktem Akademii.

Gdyby jednak południowokoreańska produkcja pokonała w najważniejszym boju mocną konkurencję, to wcale nie uważam, że automatycznie oznaczać to powinno Oscara dla Komasy. Bo drugim najlepszym filmem wśród nominowanych produkcji nieanglojęzycznych jest „Ból i blask" Pedro Almodóvara.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Niemal 30 lat upłynęło od poprzedniego i jedynego Oscara dla Kathy Bates (rok 1991, najlepsza aktorka za rolę w „Misery" według Kinga). W tym roku powinna dostać drugiego, za rolę drugoplanową w filmie Clinta Eastwooda „Richard Jewell". Tak przynajmniej sam bym głosował. Dwie inne kreacje nominowane w tej kategorii są ciekawe, ale nie wybitne: Laura Dern („Historia małżeńska") i Florence Pugh („Małe kobietki"). Z kolei Scarlett Johansson („Jojo Rabbit") oraz Margot Robbie („Gorący temat") nie powinny się wśród nominowanych w ogóle znaleźć, bo nie miały ani specjalnie trudnego zadania, ani też nie wyszły ponad porządne hollywoodzkie rzemiosło.

NAJLEPSZA AKTORKA

To kategoria, w której według mnie stawka jest wyrównana, ale w dół, brakuje bowiem jednej wybijającej się kreacji. Renée Zellweger jako Judy Garland w „Judy" daje wykalkulowany popis specjalnie skrojony pod Oscara, ale niespecjalnie wzrusza. Charlize Theron („Gorący temat"), Cynthia Erivo („Harriet") – przyzwoita robota, lecz także bez większych emocji. Pozostają na placu boju Saoirse Ronan za „Małe kobietki" oraz Scarlett Johansson za rolę w „Historii małżeńskiej". Nie ukrywam, że najbardziej wzruszyła mnie Scarlett Johansson, więc w tej kategorii ma mój głos.

NAJEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

Dla mnie wybór jest prosty. Joe Pesci za rolę w „Irlandczyku" Martina Scorsese. Oszczędna, wyrafinowana aktorska robota, która jest kluczowym elementem opowieści. O takich rolach zwykło się mówić, że ustawiają cały film. Pesci ma już w dorobku Oscara za rolę drugoplanową, też za film Scorsesego („Chłopcy z ferajny"), tam jednak był ekstrawertyczny, wariacki, bufonowaty. W „Irlandczyku" jest wyciszony, powściągliwy i… jeszcze bardziej przerażający.

Konkurencja jest mocna: Al Pacino w tym samym „Irlandczyku", Brad Pitt w „Pewnego razu w Hollywood". Nominację dla Toma Hanksa za rolę w „Cóż za piękny dzień" traktuję raczej jako kurtuazję wobec jednego z ulubionych aktorów Akademii, podobnie jak dołożenie do tego grona Anthony'ego Hopkinsa („Dwóch papieży").

NAJLEPSZY AKTOR

Tutaj zacznę od podobnego zastrzeżenia, jak na koniec poprzedniego akapitu, tyle że rzecz dotyczy Jonathana Pryce'a (także „Dwóch papieży"). Obaj z Hopkinsem zostali docenieni chyba raczej w ramach dostrzegania przez Akademię „słusznego filmu na ważny temat" (czyli propagandowej bzdurki o Heglowskim triumfie dobrego postępowego Kościoła nad Kościołem złym i wstecznym). Doceniam nominację dla Joaquina Phoenixa za „Jokera" – film był niemądry i przeceniony, ale aktorska robota świetna. Wątpliwości nie budzi także wskazanie na Leonarda DiCaprio za występ w „Pewnego razu w Hollywood". Moim zdaniem wszystkich ich powinien jednak pogodzić Adam Driver, który wspiął się na wyżyny sztuki aktorskiej w „Historii małżeńskiej".

Nie widziałem w tym sezonie lepszej kreacji, a Adam Driver jest jednym z najlepszych aktorów ostatnich lat (wspomnijmy „Patersona" czy „Milczenie").

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

Tutaj waham się między Stevenem Zaillianem, który z chaotycznych wspomnień gangstera stworzył precyzyjny, wciągający scenariusz „Irlandczyka", a Gretą Gerwig, która zrobiła z powieści Louise May Alcott coś godnego podziwu. Po chwili zastanowienia wskazuję właśnie Gerwig. Zauważając przy okazji, że scenariusz filmu „Jojo Rabbit" tak dalece odbiegał od powieści Christine Leunens, że w ogóle nie powinno go być wśród nominowanych. Że nominacja dla „Jokera" za adaptację postaci, a nie wybranej książki czy komiksu to absurd. No i że film „Dwóch papieży" też nie stał się nagle lepszy od chwili, kiedy go poprzednio wymieniałem.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

Ciekawe propozycje, ale wybór nie aż tak trudny. „Na noże" Riana Johnsona to robota błyskotliwa, lecz jednak na końcu rozczarowuje łopatologicznym przesłaniem. „1917" zachwyca wizualnie, jednak fabuła nie jest jego najsilniejszą stroną. Trzy najlepsze propozycje

eprasa.pl 0a6efddd4a

Przy „Irlandczyku" nie waham się powiedzieć: wielkie kino. Takie, którego już dziś się nie robi

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w tej kategorii to „Historia małżeńska" (napisał Noah Baumbach), „Pewnego razu w Hollywood" (napisał Quentin Tarantino) oraz „Parasite" (tu reżysera Bonga Joon-ho wspomagał Han Jin-won). Wygrywa według mnie „Parasite", bo jest wielowarstwowy i pełen autentycznych zaskoczeń. Tarantino powtórzył chwyt z „Bękartów wojny", Baumbach napisał ciekawą psychodramę, ale więcej zawdzięcza aktorom w rolach głównych niż własnemu tekstowi.

NAJLEPSZY REŻYSER

Quentin Tarantino. Czas najwyższy, by zdobył ten laur, a „Pewnego razu w Hollywood" jest świetną okazją, by tak się stało. Tarantino potrafi opowiadać jak nikt inny we współczesnym świecie, potrafi wycisnąć rzeczy nieoczywiste z aktorów, dając im okazję do rozkwitania w długich, piekielnie inteligentnych dialogach. Ma dzięki temu już dwie statuetki za scenariusze („Pulp Fiction" i „Django"), w tym roku bardziej zasługuje na wyróżnienie za reżyserię.

NAJLEPSZY FILM

Wielu może się obruszyć, ale „Irlandczyk" Martina Scorsese. Wielki finał jego gangsterskich moralitetów, poczynając od „Ulic nędzy", przez „Chłopców z ferajny", a kończąc na „Casinie". Dla mnie to najlepszy film roku, bo najmądrzejszy, bo najbardziej szarpiący trzewia, bo najokrutniejszy względem swych bohaterów i dotykających fundamentalnych kwestii. Pisałem o tym szeroko w osobnym tekście („Do Rzeczy" 49/2019). Co nie znaczy, że nie cenię innych nominowanych. Sam Mendes („1917"), Bong Joon-ho („Parasite"), Quentin Tarantino („Pewnego razu w Hollywood") – to wszystko filmy bardzo dobre i bardzo różne. Jednak tylko przy „Irlandczyku" nie waham się powiedzieć: wielkie kino. Takie, którego już dziś się nie robi.

PRZECENIENI I SKRZYWDZENI

„Joker" to dla mnie najbardziej przeceniony film sezonu, zaraz po nim „Dwóch papieży". „Le Mans '66" jest świetną męską rozrywką, ale miejsce w gronie nominowanych dla najlepszego filmu roku to chyba jednak za wysokie progi.

Quentin Tarantino ma już dwa Oscary za scenariusze („Pulp Fiction" i „Django"), w tym roku bardziej zasługuje na wyróżnienie za reżyserię

Podobnie jak dokooptowanie do tego grona „Jojo Rabbit", błyskotliwego, ale nie wielkiego.

Wśród tytułów, których zabrakło na tegorocznych oscarowych listach, przede wszystkim wyróżniłbym „Nieoszlifowane diamenty" („Uncut Gems") braci Safdie, ze znakomita rolą Adama Sandlera, oraz „Midsommar. W biały dzień" Ariego Astera – sądziłem, że ten ostatni będzie taką samą niespodzianką tegorocznej edycji jak horror Jordana Peele'a „Uciekaj!" („Get Out!") trzy lata temu. Kolejni przegapieni: „Nazywam się Dolemite" Craiga Brewera, w którym znakomitą kreację stworzył Eddie Murphy, mroczny „Lighthouse" Roberta Eggersa (doskonałe role Roberta Pattinsona i Willema Dafoe, ale nominacja tylko za zdjęcia), „Richard Jewell" Eastwooda (nominacja tylko dla Kathy Bates), „Krew na betonie" („Dragged Across Concrete") S. Craiga Zahlera.

Żaden z tych filmów nie był propozycją, która zasługiwałaby od razu na 10 nominacji, ale na pewno gdyby urozmaiciły tegoroczny skład oscarowych finalistów, nikt nie mógłby mieć pretensji. Nie zmienia to faktu, że amerykańska Akademia Filmowa miała trudne zdanie – to był dobry rok, pełen dobrych filmów i okazji do zaciętych dyskusji. Pamiętam i takie, kiedy po przeczytaniu listy nominowanych w kategorii „najlepszy film" nabierało się przekonania, że żaden na wygraną nie zasługuje. Tym razem było dużo lepiej.

JAKIE TRENDY

„Monstrum politycznej poprawności zżera amerykańską Akademię Filmową" – pisałem rok temu, podsumowując poprzednie nominacje. Najgłośniej było wtedy o kwestiach etnicznych i genderowych, w kategorii „najlepszy film" trzy tytuły z ośmiu dotyczyły rasizmu wobec czarnej mniejszości w USA, czwarty był meksykańskim importem („Roma").
W tym roku dominujący trend to walka klas społecznych. Wprost w filmach takich jak południowokoreański „Parasite" czy „Joker", w zawoalowany sposób w „1917" oraz „Le Mans '66". „Małe kobietki" są wypowiedzią feministyczną, zaś „Jojo Rabbit" przypomina o antysemityzmie, aczkolwiek robi to w sposób kontrowersyjny (szerzej pisałem o tym filmie w „Do Rzeczy" nr 4/2020). Kto jednak oczekiwał, że z roku na rok więcej będzie nominacji dla kobiet, Afroamerykanów, Latynosów czy mniejszości seksualnych (zatem lewicowa prasa, organizacje LGBTQ i wojujący polityczni progresiści), ten będzie zawiedziony.

Ja nie jestem, bo uważam, że na ocenę jakości dzieła filmowego płeć i kolor skóry jego twórcy wpływu mieć nie powinna. Niby oczywistość, ale właśnie za taką wypowiedź dwa tygodnie przed Oscarami Stephen King musiał przepraszać. My na szczęście nie musimy. Jeszcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 0a6efddd4a

Sławomir Orzechowski jako o. Józef Maria Bocheński i Wojciech Solorz w roli płk. Wysockiego. Kadr z planu spektaklu „Negocjator" Teatru Telewizji FOT. STANISŁAW LOBA

Filozof w habicie

Tomasz Zbigniew Zapert

W poniedziałek 10 lutego o godz. 21 na scenie Teatru Telewizji premiera spektaklu pt. „Negocjator". Dwa dni wcześniej minęła 25. rocznica śmierci o. Bocheńskiego, bohatera sztuki Jana Parysa i Jacka Sucheckiego

Pochodzący z pruskiej szlachty antenaci tego wybitnego mnicha-intelektualisty, decyzją Senatu RP patrona roku 2020 w Polsce, osiedli we wschodniej Małopolsce w XVII stuleciu. Szybko się spolonizowali, za zasługi na polu marsowym zyskali herb Rawicz. Ojcem urodzonego 30 sierpnia 1902 r. Józefa Franciszka Emmanuela (takie imiona nadano mu na chrzcie) był dziedzic kilku folwarków Adolf Bocheński, doktor nauk ekonomicznych, wytrawny jeździec i innowator rolnictwa, matką zaś Maria z Dunin-Borkowskich, kobieta niezmiernie pobożna, marząca, by choć jedno z progenitury wybrało habit. Uzupełnijmy, że przyszły „Negocjator" miał młodsze rodzeństwo: braci Aleksandra oraz Adolfa, później cenionych publicystów, oraz siostrę Olgę – nauczycielkę.

UDAWANIE GREKA

Świadectwo dojrzałości uzyskał dzięki fortelowi. Podczas egzaminu z greki musiał spolszczyć skomplikowany passus dotyczący uwięzienia Sokratesa. Nie mogąc sobie z tym poradzić, napisał własny tekst, zbliżony tematem i stylistyką do oryginału. Zdał i z maturą

eprasa.pl 0a6efddd4a

w kieszeni zaciągnął się do wojska. Wraz ze szwadronem pułku im. księcia Józefa Poniatowskiego odpierał nawałę bolszewików – konkretnie Konarmii Budionnego. „Z [...] ogromnym wzruszeniem odnoszę się do wojny z 1920 r. Wtedy, pamiętam to bardzo dokładnie, prosiłem codziennie Boga, by mnie zranili, wzięli do niewoli – wszystko za Polskę, dla Polski. [...] Wszystko byliśmy w stanie oddać Ojczyźnie, i to było autentyczne. I pewnie dlatego mogliśmy pokonać tryumfujących Sowietów. Nie wątpię, że gdyby nie nasze zwycięstwo, Europa dostałaby się pod ich but" – wspominał.

Do końca życia podśpiewywał towarzyszące mu podczas służby kawaleryjskiej żurawiejki, często o nieprzyzwoitych strofach, co nierzadko wzbudzało konsternację. Przywoływał też – choćby w arcyciekawym wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Jana Parysa, a zatytułowanym „Między logiką a wiarą" – inne „umundurowane" wspomnienia:

„Wystawiliśmy kiedyś przed koszarami wartę całkiem gołą, ubraną tylko w buty i służbowe rzemienie, ku wielkiemu zgorszeniu całej okolicy. Podobnych kawałów było więcej, w ogóle u pań i panienek uchodziliśmy za wesoły, ale raczej niebezpieczny rodzaj ludzi. A skoro już mowa o kobietach, chcę dodać jedną uwagę. Opowiada się często o gwałceniu kobiet przez żołnierzy. Nie wątpię, że są jakieś dzikusy, które tak postępują. Ale normalny europejski żołnierz kobiet nie gwałci, nie dlatego, by był szczególnie uczciwy albo wstrzemięźliwy pod tym względem, ale dlatego, że żadnej kobiety na wojnie gwałcić nie potrzeba; wszystkie albo prawie wszystkie, od wielkich pań do prostych dziewcząt wiejskich, są do dyspozycji żołnierzy. Mówię z własnego przyjemnego doświadczenia. Dodam, że wiem nawet, dlaczego tak jest; kobiety są łatwe na wojnie, bo zdają się wyczuwać, że ludzie giną, i instynktownie jakby chciały naprawić straty".

Gdy granice II Rzeczypospolitej zostały wyznaczone, podjął studia ekonomiczne w Poznaniu. Aktywnie działał w korporacji akademickiej Corona, postulującej m.in. przywrócenie w Polsce monarchii. Za punkt zwrotny swego życia uznał pucz Piłsudskiego. Wsparł wówczas legalny rząd, stając się zagorzałym przeciwnikiem sanacji. Niebawem porzucił uczelnię i wstąpił do seminarium. Następnie rozpoczął studiowanie filozofii i teologii, odpowiednio we Fryburgu i Rzymie, zwieńczone doktoratami. Przystępując do dominikanów, przeistoczył się w Innocentego Marię, takie imiona zakonne przyjął.

OD KOCKA DO MONTE CASSINO

W obliczu Września '39 chciał zostać kapelanem wojskowym, jednak władze II RP na to nie przystały, zapewne mając w pamięci jego negatywny stosunek do piłsudczyków. Jako cywil kopał więc w Warszawie rowy przeciwczołgowe, a na radiowy apel płk. Romana Umiastowskiego opuścił stolicę, zmierzając – per pedes – za Bug, gdzie miano formować nowe jednostki wojska polskiego. Kilkanaście dni potem spotkał na Polesiu naszych żołnierzy uciekających przed nacierającymi Sowietami. Wraz z nimi trafił pod komendę gen. Franciszka Kleeberga, stając się w końcu kapelanem. Uczestniczył w ostatniej bitwie kampanii wrześniowej, pod Kockiem.

Pięć lat później zasilił korpus gen. Władysława Andersa, powąchał prochu pod Monte Cassino. Gdy zamilkły działa, przeprowadził się do Szwajcarii. Na uniwersytecie we Fryburgu przez ponad cztery dekady wykładał filozofię filozofii, z czasem stając się również ekspertem w dziedzinie sowietologii.

W przedstawieniu oglądamy ojca Bocheńskiego przez pryzmat dramatycznego zdarzenia z września roku 1982. Przyszło mu wziąć w nim udział właśnie w charakterze tytułowego „Negocjatora". Po ataku terrorystycznym na ambasadę PRL w Bernie niepospolitymi umiejętnościami mediacyjnymi wydatnie pomógł szwajcarskim służbom specjalnym opanować sytuację. Czyli uwolnić zakładników i poskromić napastników – członków rzekomej Powstańczej Armii Krajowej – domagających się zrazu zniesienia stanu wojennego w Polsce, a następnie wysuwających żądania natury czysto finansowej. Mówiąc nawiasem, napad, najszczegółowiej zrekonstruowany chyba piórem prof. Sławomira Cenckiewicza, ciągle nie jest w pełni wyjaśniony, najważniejsza z zagadek zaś brzmi: Czy terroryści działali z własnych pobudek?

Sensacyjną fabułę przeplatają retrospekcje z życiorysu tej niepospolitej postaci (dość przypomnieć, że mając niemal siedemdziesiątkę na karku, uzyskał licencję pilota i często z niej korzystał!) znaczone jego rozważaniami polityczno-społecznymi.

Ojca Bocheńskigo w PRL obejmowała cenzorska anatema, gdyż krytykował marksizm. Jego prac nie wolno było nawet cytować! Pozostawał zupełnie przemilczany. Kiedy w 1987 r. – po 48 latach nieobecności! – komuniści umożliwili mu odwiedzenie ojczyzny, apelował: „Więcej cierpliwości i nadziei. Więcej szacunku do swojego państwa. Wielu myśli, jak tu oszukać państwo. Swoje państwo! Trzeba myśleć, co zrobić dobrego dla tego państwa. Macie też jeszcze inne, bardzo ważne zadanie: wychować nowe, inne pokolenie". A gdy miał już świadomość końca swych dni, pisał: „Mogę przeżywać zbliżanie się śmierci, na przykład kiedy jestem nieuleczalnie chory i wiem o tym – ale samej śmierci własnej nikt nigdy nie przeżył i przeżyć nie może. Nie ma zresztą także przeżycia śmierci innego człowieka. Możemy najwyżej stwierdzić, że on już umarł – ale doświadczenia, przeżycia jego śmierci nigdy nie mamy. Dlatego też umiera się zawsze samotnie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytaty z o. Bocheńskiego:

• U nas, w Polsce, olbrzymia większość księży była i jest z ludu. Nasze duchowieństwo jest, Bogu dziękować, krwią z krwi i kością z kości polskiego chłopa i polskiego robotnika. Nasz Kościół jest kościołem ludowym. Dlatego tak trudno bolszewikom go zniszczyć.

• Byłem zawsze i jestem dalej, mimo wszystko, filosemitą. Lubię Żydów i uważam polskich Żydów za grupę, której niepodobna wyłączyć z naszej historii. Ale Polakowi jest niezmiernie trudno być filosemitą z powodu różnych wypadków historycznych – mordów dokonanych po jednej i po drugiej stronie. A dziś zwłaszcza z powodu naprawdę szaleńczej postawy wielu Żydów, którzy działają tak, jakby chcieli celowo wywołać antysemityzm.

Jan Parys i Jacek Suchecki „Negocjator, rzecz o Józefie Marii Bocheńskim",
reż. Jarosław Żamojda, zdjęcia: Waldemar Szmidt, muzyka: Robert Janson, scenografia: Arkadiusz Kośmider, wyst: Sławomir Orzechowski, Robert Talarczyk, Hubert Zduniak, Piotr Polk, Robert Czebotar, Stanisław Górka, Wojciech Solarz, Karol Pocheć, Mateusz Kmiecik, Piotr Tołoczko.
Teatr Telewizji, 10 lutego, godz. 21, TVP1

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Emancypantki z Gotham City

★★★☆☆☆

REŻ. CATHY YAN
„PTAKI NOCY I FANTASTYCZNA EMANCYPACJA PEWNEJ HARLEY QUINN"
USA 2020

wyst. Margot Robbie, Rosie Perez, Ewan McGregor

Wonder Woman zadała silny cios patriarchalnym przesądom, pokutującym jeszcze tu i ówdzie w Hollywood, choć zbuntowanym nastolatkom mogła się wydać zbyt drętwa. Dlatego w bój ruszyła Harley Quinn, w kręgach smakoszy amerykańskiego komiksu uważana za niegrzeczną dziewczynkę. Pracownikom działu reklamy wytwórni Warnera na pewno się ów pomysł spodobał, bo nie musieli zaczynać od zera. Kinomanów oswojono już z tą postacią w „Legionie samobójców". Film co prawda został zmiażdżony przez krytykę, lecz swoje zarobił.

W hiperprodukcjach o superbohaterach walczących z megałajdakami jakość scenariusza jest mniej istotna niż kompetencje armii speców od efektów wizualnych. Po co więc pastwić się nad fabułą dziurawą bardziej niż ser szwajcarski? Lepiej chwalić scenografię, udatnie nawiązującą do kiczu lat 80. Patrząc na „Ptaki nocy", przypomniałem sobie teledyski Cyndi Lauper („Girls Wants to Have Fun") i młodej Madonny. Niegdysiejsza królowa dyskotek pozowała na Marylin Monroe, wykonującą pieśń o brylantach. Margot Robbie robi to samo. Takich aluzji jest tu mnóstwo. W jednej tylko scenie twórcy „Ptaków nocy" potrafią zacytować „Taksówkarza", „Ojca chrzestnego" i „Tylko dla twoich oczu".

Madonna miała wzięcie wśród nastolatek m.in. dlatego, że udawała osóbkę spontaniczną (w rzeczywistości biła rekordy wyrachowania). Harley Quinn jest szczera, naprawdę kieruje się kaprysami. Tekst: „Nie doceniałem cię" brzmi w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka. Po rozstaniu z Jokerem chce pokazać światu, że w sianiu anarchii jest tak samo dobra jak były partner, a może nawet lepsza. Samozwańcza królowa Gotham ma doktorat, ale wcale po niej tego nie widać. Infantylna do bólu, uwielbia zabawę, mocne trunki i śmieciowe żarcie.

Socjopatyczny bohater może wzbudzać sympatię, pod warunkiem że jego przeciwnik będzie diabłem wcielonym. I takiego gra Ewan McGregor (jaka szkoda, że Sam Rockwell akurat był zajęty!). Pan Czarna Maska przekracza czerwoną linię, publicznie upokarzając Bogu ducha winną kobietę. Tym haniebnym czynem ostatecznie zwróci przeciw sobie piątkę niewiast, z którymi zadzierać nie należy. Formując oddział mścicielek, autorzy filmu, rzecz jasna, uwzględnili parytet rasowy i wiekowy.

Wojnę płci w wersji hard oglądaliśmy w „Atomic Blonde" i „Królowych zbrodni". Tutaj wszystko zostało wzięte w nawias, ale przekaz jest w gruncie rzeczy identyczny. Jeśli mają cię szanować, dziewczyno, musisz kogoś zastrzelić albo przynajmniej skopać mu krocze. Zasłużył na to każdy facet. W Gotham mieszka jeden uczciwy, ale i on, prawdę mówiąc, jest świnią. ©℗

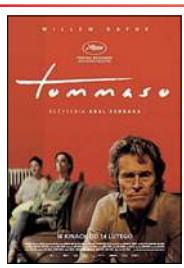

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TOMMASO"

Skandalista Abel Ferrara powraca, i to w niezłym stylu. Przez ponad dwie dekady rozmieniał się na drobne, imał się dokumentu, flirtował z kinem gatunkowym (nieudany thriller cyberpunkowy „Hotel New Rose"), oddawał hołd innym skandalistom („Pasollini"). „Tommaso" to obyczajowa opowieść o amerykańskim artyście i jego młodej europejskiej żonie. Para wychowuje małe dziecko w Rzymie. Przede wszystkim na ekranie króluje Willem Dafoe, który w ostatnich latach seryjnie tworzy kreacje ponadprzeciętne. ©℗ ***Piotr Gociek***

„Tommaso", reż. Abel Ferrara, wyst. Cristina Chiriac, Willem Dafoe, Anna Ferrara, USA/Włochy 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Wyspa Fantazji" („Fantasy Island"), reż. Jeff Wadlow, USA 2020***
- ***„Zenek", reż. Jan Hryniak, Polska 2020***

eprasa.pl 0a6efddd4a

Szafa znowu gra

Londyńczycy niechętni brexitowi przeżywają trudne dni. Na szczęście Guy Ritchie wie, jak ich pocieszyć. Po obejrzeniu „Dżentelmenów" mieszkaniec brytyjskiej stolicy może być dumny z rodzimych gangsterów. Są najsprytniejsi na świecie. Mafie chińska i rosyjska do pięt im nie dorastają, zaś amerykańscy technokraci i naiwniacy z Mosadu to po prostu druga liga.

Bohater filmu był kiedyś jankesem, ale po przeprowadzce na drugą stronę Atlantyku kompletnie zangliczał. Nawet lordowie traktują go jak swojaka, choć Mickey tak naprawdę jest draniem, jakich mało. Majątek zbił na produkcji i sprzedaży narkotyków. Brzydzi się jednak heroiną, stawia na „nieszkodliwe" zioło, a szefowi tabloidu ręki nie poda.

Miło, że Ritchie wrócił na stare śmieci, kpi z „poczucia winy liberalnego białasa" i wygłasza złote myśli typu: „Każde dobro zostanie ukarane". Gorzej, że obiecując historię analogową jak szafa grająca, którą Mickey kazał wstawić do ulubionego pubu, wcale nie żartuje. „Dżentelmeni" są niczym zgrana płyta, która cieszy tylko wiernych fanów. McConaughey bezwstydnie jedzie na autopilocie, więc film kradną dwie figury błazeńskie: nawrócony kryminalista (Colin Farrell) i sprzedajny dziennikarz (Hugh Grant). A reżyser na to pozwolił. Czyżby spotykał się z „królową Marysieńką"? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. GUY RITCHIE
„DŻENTELMENI" („THE GENTLEMEN")
USA 2019

wyst. Matthew McConaughey, Hugh Grant, Charlie Hunnam

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KRÓL PRZYJECHAŁ

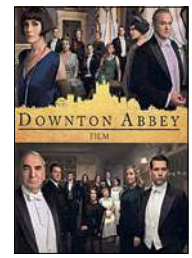

★★★★☆☆
REŻ. MICHAEL ENGLER
„DOWNTON ABBEY"
WIELKA BRYTANIA 2019

dystr. Filmostrada, wyst. Matthew Goode, Alice McCarthy, Maggie Smith

Jeden z bohaterów „Downton Abbey", mówiąc o rodzinie Crawleyów, właścicieli tytułowej posiadłości, wyjaśnia: bywają snobami, ale mają dobre serce. To jedna z odpowiedzi na pytanie, dlaczego świat rozmiłował się najpierw w serialu, a teraz w filmie zawierającym 110 proc.brytyjskości w brytyjskości. Dodałbym jeszcze: podmieńcie „Downton Abbey" na „tradycja" w dialogach, a zrozumiecie, za czym ta tęsknota. Świat, w którym wszystko było częścią większej dobrze funkcjonującej całości, i nawet ci, którzy byli w machinie tylko trybikami, czerpali dumę z tego, co robią – cóż bardziej dalekiego od potrzaskanej współczesności. W kinowym „Downton Abbey" wizyta pary królewskiej uruchamia serię wydarzeń, w której mamy próbę zamachu, spór o spadek, kryzys małżeński, rodzinne sekrety z przeszłości i zażartą rywalizację między służbą Crowleyów a zadufanymi w sobie królewskimi kamerdynerami. Ogląda się to świetnie i z uśmiechem, nawet jeśli ktoś nie obejrzał serialu.

ŻONY RZĄDZĄ

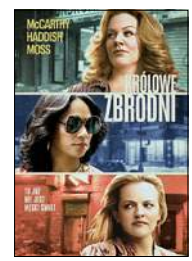

★★★☆☆☆
REŻ. ANDREA BERLOFF
„KRÓLOWE ZBRODNI" („THE KITCHEN")
USA 2019

dystr. Galapagos, wyst. Melissa McCarthy, Tiffany Haddish, Elisabeth Moss

Podczas gdy mężowie-kryminaliści trafiają do więzienia, pozbawione pieniędzy żony same schodzą na ścieżkę przestępstwa. W ekranizacji komiksu „The Kitchen" panie przejmują nielegalny biznes w całej dzielnicy. Idzie im lepiej niż panom, ale sukces ma swoją cenę. Trudno kibicować nawet tak udanemu trio jak Melissa McCarthy, Tiffany Haddish i Elisabeth Moss, gdy zabiera się do ćwiartowania zwłok w wannie.
W tej rewanżystowsko-feministycznej opowieści faceci to świnie i brutale, a górę bierze dziewczęca solidarność ponad podziałami, bo nawet żona włoskiego gangstera kibicuje irlandzkim twardzielkom. Niespodziewanie show kradnie jednak mężczyzna, bo najbardziej w pamięć zapada Domhnall Gleeson jako psychopatyczny, acz romantyczny kiler z sąsiedztwa. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „DISCO ELYSIUM" ★★★★★☆

Chociaż czasami wydaje się, że w świecie RPG stworzono właściwie wszystko, raz na jakiś czas pojawiają się perełki takie jak „Disco Elysium" – dzieło niezależnego estońskiego studia, które w kreatywny sposób rozwija gatunek. Piękno tej gry leży w szczegółach – z pozoru jedna z wielu historii o zapijaczonym detektywie w klimacie noir zamienia się w filozoficzną podróż przez świat niepokojąco przypominający Europę Środkowo-Wschodnią. To od naszych rozmów i etycznych wyborów będzie zależało, czy prowadzone śledztwo wyniesie naszego bohatera na powierzchnię, czy utopi w morzu wódki i egzystencjalnej goryczy. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG*
- ***Platforma:*** *PC/XONE/PS4/*
- ***Producent, dystrybutor:*** *ZA/UM*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 0a6efddd4a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gapiostwo Czechowa

Twórczość Antona Czechowa została dotąd przetłumaczona na 90 języków. On sam do przekładów swoich dramatów miał stosunek raczej sceptyczny i żartobliwie twierdził, że – cytuję: „Tłumaczono mnie na wszystkie języki z wyjątkiem obcych". Cóż, jak pisał Vladimir Nabokov: „Książki Czechowa są smutnymi książkami dla obdarzonych poczuciem humoru ludzi, co oznacza, że tylko tacy czytelnicy potrafią naprawdę docenić ich głęboki smutek". Nie wszyscy tłumacze o tym pamiętali.

W Polsce jako pierwszy wydał „Mewę" (w tłumaczeniu Bolesława Baumfelda) w swojej lwowskiej księgarni Wilhelm Zukerkandel w roku 1905. Na następne wydanie trzeba było czekać do lat 30. zeszłego wieku. Od tamtej pory po kolei zmagali się z Czechowem: Konstanty Magnicki, Bronisław Dąbrowski, Tadeusz Łopalewski, Artur Sandauer, Jarosław Iwaszkiewicz, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Natalia Gałczyńska i Adam Tarn. Teraz grono to powiększyła Agnieszka Lubomira Piotrowska, która opublikowała właśnie w jednym potężnym tomie wydanym przez łódzkie wydawnictwo Officyna osiem najważniejszych dzieł scenicznych Antona Czechowa. Są to: „Płatonow", „Iwanow. Komedia", „Iwanow. Dramat", „Leszy", „Mewa", „Wujaszek Wania", „Trzy siostry" i „Wiśniowy sad".

We wstępie tłumaczka powiada, że Anton Czechow nie był wcale tak jednoznaczną i świętą postacią, jak się może wydawać po lekturze niektórych jego biografii. Na przykład na obraz jego postaci kobiecych – przywołuję słowa Agnieszki Lubomiry Piotrowskiej: „Na pewno wpływały osobiste doświadczenia Czechowa, cyniczny stosunek do miłości i małżeństwa, problemy z bliskością, relacje przelotne, często anonimowe, niechęć do przywiązania emocjonalnego oraz długie lata kontaktów z prostytutkami (zarówno zawodowych – jako student zgłosił się do opieki ginekologicznej nad prostytutkami, jak i intymnych)".

FOT. SOVFOTO/UNIVERSAL IMAGES GROUP/GETTY IMAGES

Ale, ale… O listach Czechowa do jego żony (bo w końcu się ożenił), Olgi Knipper, Jurij Nagibin pisał, że są one: „Nie do zniesienia fałszywe. Nienawidził jej za zdrady, dobrze wiedział o jej nieczystym związku z głupcem Wiszniewskim, z Niemirowiczem-Danczenką i innymi, ale nie zaprzestawał grać swojej jasnej, szlachetnej roli. A przecież o żonie, która zdradziła, że jest podobna do wielkiego, zimnego kotleta, to o Knipper wymyślił. […] O. Tu był szczery!". „To podobno ona – dopowiedział w eseju »Zdrowie też przegapiłem, jak Panią« z tomu »Pożar serca« prof. Tadeusz Klimowicz – pojawiła się w prozie Andrieja Biełego jako pani Jawohl, a na dodatek przeżyła męża o pięćdziesiąt pięć lat i cynicznie grzała się w blasku jego sławy, publikując o nim wspomnienia".

Zanim jednak głośno nie wyrazimy pragnienia, by wdowy po sławnych ludziach, wzorem dawnych obyczajów hinduskich, uśmiercać wraz z nimi, przypomnijmy zdanie Natalii Modzelewskiej: „Nie żądajmy od Olgi Knipper więcej, niż żądał Czechow" i można też z niej – kobiety, która swoje miejsce w sztuce ceniła wyżej od anonimowej obecności przy boku męża – uczynić patronkę rosyjskich feministek.

„A wsio tak i żal", jak śpiewał Bułat Okudżawa. Oto Lidia Mizinowa, kobieta, która Czechowa kochała jak żadna inna, w końcu jednak wyszła za mąż za reżysera teatralnego Aleksandra Sanina i była z nim – na przekór pesymistycznym przewidywaniom Czechowa – szczęśliwa, w 1937 r. na skutek choroby układu krążenia trafiła do paryskiego szpitala na rue Didot. Z Rosji wyjechała z mężem w roku 1922, Sanin wystawił m.in. „Borysa Godunowa" w La Scali, dopadła go jednak choroba psychiczna. Najpierw więc on się leczył, nawiasem mówiąc 500 dolarów na koszty kuracji przekazał, dzięki staraniom Łunaczarskiego, rząd sowiecki. Mamy już jednak rok 1937 i Borysa Zajcewa, znanego pisarza emigracyjnego, który odwiedził swoją znajomą w tym samym paryskim szpitalu. Jedna z chorych spytała, wskazując na leżącą na łóżku Lidię, czy wie, kto to jest. Gdy zaprzeczył, usłyszał: „To Czechowowska Mewa, obecna żona reżysera Sanina. Poznałyśmy się tutaj. Jest poważnie chora".

I rzeczywiście, w tym samym 1937 r. zmarła. Jej ukochanego Antona Czechowa nie było wśród żywych już od roku 1904. Przeżył zaledwie 44 lata.

A 10 lat temu Agnieszka Glińska wystawiła na deskach Teatru Narodowego w Warszawie „Mewę", przełożoną właśnie przez Agnieszkę Lubomirę Piotrowską. Czekamy na następne inscenizacje firmowane przez tę samą tłumaczkę. ©℗

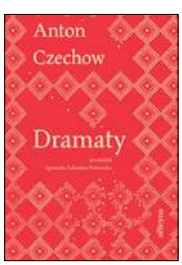

★★★★☆

ANTON CZECHOW „DRAMATY" WYDAWNICTWO OFFICYNA S.C. 2019

eprasa.pl 0a6efddd4a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Obsceniczny buntownik

Dziwna to książka, której pokochać nie sposób, bo drażni swym naturalizmem i brutalizmem, ostentacyjną pogardą dla tradycyjnych oczekiwań czytelnika. A jednocześnie porzucić nie można, bo coś w niej przyciąga, coś intryguje. Czegóż innego spodziewać się po utalentowanym skandaliście? Polski czytelnik spotyka się z nim po raz pierwszy (nie licząc jednego opowiadania w antologii „Kamień w lustrze"), tymczasem w Chinach to gwiazda pierwszej wielkości, choć niemal ćwierć wieku minęło od śmierci Wanga Xiaobo.

„Miłość w czasach rewolucji" przynosi dwie narracje, jedna dotyczy przygód bohatera w fabryce tofu na początku lat 70., druga to szersze wspomnienie: nie tylko dzieciństwa i młodości w Chinach, ale także zagranicznych wojaży. Wang Xiaobo sporą część swego specyficznego stylu zawdzięcza wyjazdom. Chociaż studiował w USA, to najbardziej ciekawiło go pisarstwo autorów europejskich: włoskich i francuskich. To, co sprawiało, że młodzi chińscy czytelnicy byli nim zafascynowani (był taki „zachodni", zupełnie inny od namaszczonych oficjalnie przez partię autorów), było jednocześnie przyczyną ataków krytyki. Nazywano go więc imitatorem, pornografem czy nawet pisarzem antychińskim. Czy ta krytyka go zabiła? Być może. Zmarł przedwcześnie na atak serca.

„Miłość w czasach rewolucji" to książka w wielu miejscach obsceniczna. Słowo „erotyka" czy nawet „pornografia" nie pasuje do wykreowanego świata, bo żadne z przedstawianych obrazów nie wywołują erotycznej ekscytacji. Nie zdziwię się, jeśli niektórzy czytelnicy powiedzą, że czują się po niej ubrudzeni. Sam Wang twierdzi, że to „opowieść o pożądaniu". Pożądanie to jednak coś innego niż miłość. Mnie jego książka przypomniała trochę powieść rosyjskiego skandalisty Eduarda Limonowa „To ja, Ediczka". Obaj prochu nie wymyślili – postrzeganie seksu jako ostatniej linii obrony przed opresyjnym reżimem (Xiaobo) czy jako metody odreagowania doznawanych nieszczęść i poniżeń (Limonow) to przecież znany chwyt rozmaitych awangardzistów i buntowników. Nie mogę powiedzieć, że „Miłość w czasach rewolucji" mi się podobała lub nie, bo jest to rodzaj pisania, który wymyka się zupełnie takim kategoriom. Czy sprawiła, że ujrzałem kawałek świata dotąd nieznanego, czy zmusiła mnie do myślenia, czy sprawiła, że dostrzegłem skalę talentu jej autora? Bez wątpienia tak. ©℗

★★★★★★

WANG XIAOBO „MIŁOŚĆ W CZASACH REWOLUCJI" PIW

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Thriller surwiwalowy – matka i córka niezależnie od siebie chcą rozwikłać tajemnicę. Allison cudem uszła z życiem z katastrofy lotniczej, ale to dopiero początek jej kłopotów. Maggie próbuje zaś odkryć, kim stała się jej córka.

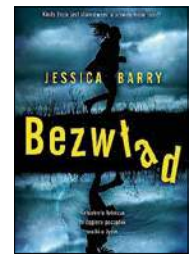

JESSICA BARRY „BEZWŁAD" REBIS

Wznowienie klasycznej pracy hiszpańskiego filozofa, który „pokazał, że demokracja pozwoliła masom – przez wieki milczącym i stłamszonym – na rewanż. Inny niż rewolucja" – pisała Jadwiga Staniszkis w „Do Rzeczy".

JOSÉ ORTEGA Y GASSET „BUNT MAS" REPLIKA

„Thriller metafizyczny", jak zwą krytycy, „koszmar" – jak określał sam Chesterton w podtytule. Jedna z najbardziej profetycznych i wpływowych powieści XX w.: świat jako spisek, kontrspisek i brzemię ponad siły.

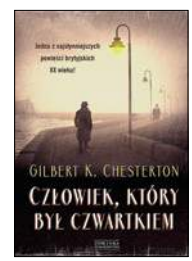

G.K. CHESTERTON „CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM" ZYSK I S-KA

Na poły autobiografia, na poły zbiór publicystycznych filipik, których celem są amerykańskie władze. Pożegnanie z kontrkulturową ikoną, autorem „Las Vegas Parano". Poglądy Thompsona są kontrowersyjne, ale pisał znakomicie. ©℗

poleca Piotr Gociek

HUNTER S. THOMPSON „KRÓLESTWO LĘKU" NIEBIESKA STUDNIA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Podróż Cilki" (Marginesy) – kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz". Cilka po trzech latach w niemieckim piekle trafia do sowieckiego łagru.***
2. ***Magda Knedler „Położna z Auschwitz" (Mando) – powieść inspirowana dziejami Stanisławy Leszczyńskiej, która odebrała w kacecie 3 tys. porodów.***
3. ***Harlan Coben „O krok za daleko" (Albatros) – nowa powieść mistrza thrillera. Biały kołnierzyk z Wall Street ratuje uzależnioną od narkotyków córkę.***
4. ***Charlotte Link „Czas burz" (Znak) – pierwszy tom sagi o rodzinie Dombergów. Zaczyna się w roku 1914, miejsce akcji: Prusy Wschodnie.***
5. ***Anita Głowińska „Kicia Kocia na lotnisku" (Media Rodzina) – najnowsza odsłona przesympatycznej serii dla najmłodszych czytelników.***

(Najchętniej kupowane tytuły w styczniu 2020 r. w internetowej księgarni Bonito)

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Hania się nie boi

„Przestałam się bać […]. Płynę z muzyką" – mówiła Hania Rani (właśc. Hanna Raniszewska) w rozmowie z PAP tuż po premierze swojej pierwszej solowej płyty. Odwaga przyniosła efekty. Jej „Esja" została niedawno nominowana do Fryderyków jako najlepszy alternatywny album 2019 r., a sama Hania zdobyła łącznie aż pięć nominacji. Oprócz wspomnianej są to również kategorie: „Fonograficzny debiut roku", „Najlepsze nowe wykonanie" (za „Odprowadź" w duecie z Melą Koteluk), „Producent muzyczny roku", „Kompozytor roku".

Hanna to rocznik 90. Córka architekta i lekarki wybrała artystyczną drogę, budowaną na solidnych fundamentach – studiach na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Hania uczyła się tam gry na fortepianie, ale jest również wokalistką i oczywiście kompozytorką łączącą klasykę z nowoczesnością. „Szkoła może w muzyce bardzo pomóc, ale nie jest niezbędna. Mnie klasyczna edukacja bardzo pomogła" – mówiła we wspomnianym wywiadzie. I dodała: „Nauka w szkole muzycznej pozwoliła mi nie tylko poznać i przyjrzeć się genialnym dziełom, lecz także ich kompozytorom. Szybko przekonałam się, że muzycy i kompozytorzy klasyczni byli »wariatami« i mieli charyzmę, której wiele dzisiejszych globalnych gwiazd pop może pozazdrościć".

Solowy debiut to doskonale brzmiący i osobisty album. Koncertująca na całym świecie artystka potrafi w nagrywanej w Warszawie, Amsterdamie i Reykjaviku płycie powrócić na bliskie jej sercu bieszczadzkie ścieżki („Biesy"). Wcześniej Hania nagrywała w duetach – z wiolonczelistką Dobrawą Czocher („Biała flaga", 2015) i – jako Tęskno – z wokalistką Joanną Longić („Mi", 2018). ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

A kiedy dorosnę…

Tydzień po rozterkach licealisty Maty doświadczamy wewnętrznych zmagań 30-latka. Miłosz Borycki należy do wąskiego grona raperów, którzy mają coś do powiedzenia i nie stronią od poszukiwań wykraczających poza ramy hip-hopu.

W czerwcu na Stadionie Śląskim Miuosh wraz z Jimkiem, Smolikiem i orkiestrą NOSPR zgromadził 43-tysięczną widownię. Trzy lata po premierze albumu „Pop" ukazał się ósmy album katowickiego rapera „Powroty". Miuosh będący w wieku chrystusowym rozlicza się na nim z samym sobą – „Mało kogo znam słabiej niż siebie". Dominuje temat relacji między nim a nią, ale niestety odkrywczych prawd nie usłyszymy. Teksty rozciągają się od emocjonalnych samobiczowań do egzaltowanych banałów.

Producentem albumu jest Michał „Fox" Król (m.in. Kasia Nosowska, Maria Peszek). Na „Powrotach" nie ściga się z amerykańskimi mistrzami i zamiast elektronicznych fajerwerków stawia na melodie i stylistyczną różnorodność. Są charakterystyczne smyki, ale też rockowe i etniczne wstawki. Słusznym ruchem było zaproszenie wielu gości (Mela Koteluk, Natalia Nykiel, Igo, The Dumplings, Mateusz Konieczny, Paluch), dzięki czemu jednowymiarowe rapowanie Miuosha zostaje wzbogacone o odświeżające barwy wokalne. Płyty słucha się z przyjemnością, ale też po jej wybrzmieniu mętliku myśli nie odczułem. ©℗

★★★★☆☆
MIUOSH
„POWROTY"
FANDANGO

★★★★☆☆
RÓŻNI WYKONAWCY
„HERBERT 3.0"
POLSKIE RADIO

Na koncercie w radiowej Trójce z poezją Zbigniewa Herberta zmierzyło się 10 wykonawców (m.in. Mela Koteluk, Skubas, Wojciech Waglewski, Krzysztof Zalewski). „Piosenkokreacje" na ponad 20-osobowy skład instrumentalny wykonane przez kilku muzyków wypadają intrygująco.

★★★★☆☆
GRAMINE
„GRAMINE"
GAD

Niesłusznie zapomniany album z 1974 r. Warszawski teatr muzyczny złożony z czterech wokalistek i świetnych instrumentalistów (m.in. Kazimierz Jonkisz) wspomogła w studiu ognista sekcja dęta. Efektem jest jeden z najlepszych polskich albumów soulowo-bluesowych. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

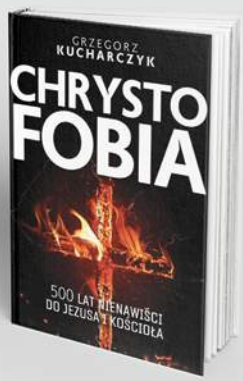

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
GRZEGORZ KUCHARCZYK „CHRYSTOFOBIA. 500 LAT NIENAWIŚCI DO JEZUSA I KOŚCIOŁA"

~~347 ZŁ~~ > **139,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 208 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. ITV NEWS

Religia z tendencjami totalitarnymi

Paweł Lisicki

Książka ks. Guy Pagèsa jest jedną z najbardziej niepoprawnych politycznie pozycji wśród tych, które miałem okazję czytać

Chciałoby się powiedzieć, że ks. Guy Pagès nie bierze jeńców. Z mocą słowa właściwą kiedyś prorokom piętnuje mielizny i słabości obecnej zachodniej uległości wobec islamu. Nie waha się używać słów wyrazistych, często bardziej gromi, niż analizuje. Z drugiej strony jednak każde zdanie, każde twierdzenie głęboko osadzone jest w tekstach. Liczne cytaty z Koranu mówią same za siebie. Dla wielu współczesnych czytelników, tak przywykłych do lukrowanej, różowej, stworzonej na potrzeby zachodniej publiczności wizji religii Mahometa jako łagodnego i pokojowego monoteizmu bez Chrystusa, słowa i tezy ks. Pagèsa będą niczym kubeł zimnej wody. Spodziewam się wręcz, że po przeczytaniu kilku stron albo książkę odrzucą, albo uznają, że jest ona wyrazem jakiejś pomyłki, osobliwej złośliwości, złego nastawienia. Nic bardziej błędnego. Co się tyczy opisu treści świętej księgi muzułmanów, ks. Pagès ściśle trzyma się faktów.

OSTRZEŻENIE DLA ZACHODU

„Prawdziwe oblicze islamu" jest w tym sensie rzetelne. Daje nam prawdziwy – inna sprawa, że dla wielu trudny do zniesienia – obraz religii, która zawiera w sobie liczne tendencje totalitarne. Która pragnęłaby całkowicie podporządkować sobie człowieka, zmusić go, jeśli nie uda się po dobroci, to przemocą i gwałtem, do uznania w Allahu jedynego prawdziwego Boga. Religii, która nie zna pojęcia wolności, nie uznaje wartości osoby, nie rozumie godności sumienia i nie jest w stanie odkryć majestatu prawa naturalnego. Jak mogłoby być inaczej, skoro Bóg, o którym nauczał Mahomet, jest absolutnie niczym nieskrępowaną, nieograniczoną ani prawami logiki, ani metafizyki, czystą arbitralnością? Może stwarzać przeszłość i kpić z zasad bytu. Może przeznaczać, kogo chce, do zbawienia, a kogo chce do potępienia. Prawo moralne jest jedynie efektem jego woli: dobro i zło mogłyby wyglądać całkiem inaczej, gdyby Allah tak postanowił. Bóg muzułmanów stanowi zatem zaprzecze-

eprasa.pl 0a6efddd4a

nie nauki chrześcijaństwa, a z pewnością zaprzeczenie mądrości katolicyzmu, który odwołuje się do Boga, Logosu i rozumnego Stwórcy, Boga, którego akt stworzenia jest przejawem jego miłości i dobra. Allah jest ponad dobrem i złem, ponad mądrością i rozumem. Niczym niespętany, nieuchwytny, niedosiężny. Dany tylko za pośrednictwem, spadającego niczym piorun z jasnego nieba, objawienia. Dostępny tylko tym, którzy całkowicie i bezwzględnie mu się poddają. Posłuszeństwo, podporządkowanie, całkowite, bezbrzeżne – oto czego oczekuje ów Bóg od człowieka. Ten Bóg ani nie może zawrzeć z człowiekiem przymierza, jak to się stało w przypadku Abrahama, Jakuba, Mojżesza czy Dawida, ani tym bardziej nie może wysłać swego Syna dla odkupienia ludzkości.

Ten obraz religii Proroka kreślony jest tym żywszymi i wyrazistszymi barwami, że na kartach książki ks. Pagès zderza go konsekwentnie z posłaniem Chrystusa. To jej wielka siła. Ksiądz Pagès nie udaje bezstronnego eksperta. Nie szuka fałszywej równowagi. Nie jest i nie chce być bezstronnym obserwatorem. Nie. Przede wszystkim jest on posłańcem Chrystusa. Misjonarzem. Tym, który chce obudzić sumienia mieszkańców Zachodu, w pierwszym rzędzie oczywiście Francji. Chce im pokazać coraz bardziej realną groźbę. Chce ostrzec. Mówi: patrzcie, co robicie. Z powodu ociężałości własnego serca, głupoty i otępienia otwieracie drzwi przed bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Głupcy! – niemal krzyczy. Oto zapomnieliście i lekceważycie naukę Chrystusa, gardzicie jego słodkim jarzmem, wyśmiewacie jego miłość i ofiarę, a ściągacie sobie na głowy śmiertelne, radykalne zagrożenie. Obudźcie się! – zdaje się wołać ks. Pagès. Przejrzyjcie na oczy! Spójrzcie, jacy jesteście nieroztropni. Wystarczy badać. Wystarczy zadać sobie nieco trudu, trochę wysiłku i dostrzeżecie, gdzie leży prawda.

Tak, powtarzam, ks. Pagès nie jest zimnym i zdystansowanym badaczem islamu. Patrzy na niego tak, jak prorocy Starego Testamentu patrzyli na bałwochwalców albo jak wielcy nauczyciele Kościoła spoglądali na herezje. Broni prawdy całym swoim sercem, z całego swego umysłu. Pisze, że chciałby swoją książkę zakończyć wyzwaniem i nadzieją. „Wyzwanie: zakładam, że jeżeli islam zaakceptuje wyniki badań naukowych nad swoimi źródłami, swoim sposobem myślenia, a z drugiej strony zaprzestanie terroru i zabijania tych, którzy chcą porzucić islam (8, 89; 8, 13), nikt nie będzie chciał dalej być muzułmaninem (z wyjątkiem, pewnie, tych, którzy z tego systemu czerpią korzyść.) Czy islam jest gotów przyjąć to wyzwanie?” (s. 476). Ostatnie pytanie ma charakter retoryczny. Nie, jak udowadnia na wielu stronach ks. Pagès, islam takiego wyzwania podjąć nie chce i nie umie. Gdyby to bowiem zrobił, gdyby poddał się temu badaniu, jakiemu od swych początków poddaje się chrześcijaństwo, nieustannie zmagając się na polu rozumu z przeciwnikami, z wątpiącymi, krytykami, już by nie istniał. Paradoksalnie można powiedzieć, że żywym tego dowodem jest właśnie „Prawdziwe oblicze islamu”. Po jej przeczytaniu nie sposób islamu bronić. „Muzułmanie stosują jako zasadę działania kult resentymentu, pragnienie zemsty i zazdrość wobec osiągnięć krajów zachodnich. […] Nie chcą uznać, że historycznie islam niósł tylko wojnę i barbarzyństwo, a teologicznie można go identyfikować tylko z anty-Chrystusem zapowiadanym przez Jezusa” (s. 26).

CO DZIELI JEZUSA I MAHOMETA

Za każdym razem można się przekonać, jak wielkie, zasadnicze i niedające się zasypać różnice dzielą nauki Jezusa i Mahometa. Praktycznie dotyczy to każdej sfery życia, zarówno religijnego, jak i społecznego. Stosunku do wojny, do przemocy, do prawa, do kobiet, dzieci, rozumienia cnót i występków, relacji starszych z młodszymi. Jakże mogłoby być zresztą inaczej, pokazuje ks. Pagès, skoro w jednym przypadku mamy do czynienia z nauką miłości, w drugim miłość żadnej roli nie odgrywa.

Źródłem tych wszystkich różnic jest oczywiście to, co najważniejsze: całkiem inna koncepcja Boga. Albo – jeśli nie chcemy używać słowa koncepcja, niebezpiecznie sugerującego ludzką twórczość – całkiem inna zawartość objawienia. Z tego punktu widzenia przekonanie licznych współczesnych chrześcijan, że muzułmanie wierzą co do zasady w tego samego Boga, jest albo wyrazem totalnej ignorancji, albo przejawem złej woli. „Dla islamu wyznanie jedyności Boga nie oznacza wyznania jedyności Bytu boskiego, któremu formalnie przysługuje określenie »Osoby boskiej«” – pisze ks. Pagès. „Sprzeciw wobec monoteizmu muzułmańskiego jest określony arabskim terminem szirk, oznaczającym jedyny, niewybaczalny grzech, polegający na postawieniu obok Jedynego Boga innych bogów, dotyczy on także idei wcielenia Boga […]. Chrześcijan nazywa się mushrikun, bałwochwalcami, czyli politeistami. Jak zatem grupy chrześcijańsko-muzułmańskie mają prowadzić dialog na bazie wspólnego monoteizmu?”. Znowu pytanie retoryczne. Chrześcijanie widzą przecież w Bogu Trójcę. Dzięki nadprzyrodzonemu objawieniu odsłania się przed nimi wewnętrzne życie Boga. Kiedy zatem myślą i wyznają Boga, to zawsze widzą w nim Ojca, Syna i Ducha – to właśnie, co islam z zasady odrzuca.

NIEJASNOŚCI KORANU

Autor „Prawdziwego oblicza islamu” poświęca sporo miejsca wykazaniu różnych słabości i niejasności Koranu. Słusznie. Nawet jeden błąd pozwoliłby bowiem pokazać, że objawienie koraniczne nie może pochodzić z nieba. Tym bardziej że w przeciwieństwie do Biblii, zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu, Koran – wierzą muzułmanie – nie powstał jako dzieło ludzi natchnionych przez Boga, ale jest po prostu, sam w sobie, autentycznym, oryginalnym i niezmiennym słowem Boga. Tak jak Allah wypowiedział go po arabsku, tak Mahomet je przyjął i w całości przekazał. Jak zatem wyjaśnić, że Koran, gdyby poddać go surowemu i ścisłemu egzaminowi, roi się wręcz od błędów? Nie tylko chodzi tu o różne wewnętrzne sprzeczności w samym obrazie koranicznego Boga, tak absolutnie jednego i wsobnego. Być może bardziej uderzające są różne nieścisłości historyczne, które jednoznacznie wskazują na błędy autora Koranu. Można w nim przeczytać choćby, że Trójca chrześcijańska to Ojciec, Syn i… Maryja. Ta ostatnia raz jest utożsamiona z Matką Jezusa, a raz z siostrą Mojżesza i Aarona. Co do samego Jezusa to Koran przekazuje informacje zaczerpnięte najpewniej z późnej, apokryficznej tradycji, z drugiej strony zaś neguje jego ukrzyżowanie – ten fakt, co do którego zgadzają się wszyscy, nawet najbardziej krytyczni, najbardziej liberalni badacze. Jak to zatem możliwe, żeby Pismo to cały czas cieszyło się tak wielkim autorytetem?

Jak wiadomo powszechnie, muzułmanie, podobnie jak wiele innych sekt chrześcijańskich, choćby takich jak mormoni czy świadkowie Jehowy, twierdzą, że obecne Pismo Święte

eprasa.pl 0a6efddd4a

zostało zafałszowane. Słusznie zatem pyta ks. Pagès, gdzie, ich zdaniem, można odkryć oryginał i pierwotne Pismo? Dlaczego nigdy żaden muzułmanin nie był w stanie wskazać owego rzekomo niezafałszowanego i prawdziwego Pisma, rzekomo pierwotnej i oryginalnej Ewangelii? A jeśli nie jest jej w stanie wskazać, to jak może mówić o zafałszowaniu? Tak samo celne jest spostrzeżenie, że Mahomet, w przeciwieństwie do Jezusa, nie może się powołać na żadną wcześniejszą, zwiastującą go i przepowiadającą tradycję. Ksiądz Pagès – tak jak Pascal i tak jak cała wielka, czcigodna szkoła teologii katolickiej z czasów, kiedy jeszcze nie zwyciężyło przekonanie, że zapowiedzi mesjańskie stanowią jedynie margines tradycji Starego Testamentu – wskazuje wiele tekstów zapowiadających narodziny i działalność Jezusa. Tymczasem muzułmanie nie są w stanie wskazać na żaden, powtarzam, żaden podobny tekst zapowiadający nadejście ich proroka. Próby opisywane w książce, by taką rolę przypisać słowom Jezusa zapowiadającym nadejście Ducha Świętego z Ewangelii św. Jana i by w samym greckim słowie „parakletos” dopatrywać się słowa „Mahomet”, są niepoważne i dziecinne. Prorok spada, uderza w historię ludzkości niczym meteor. Nie został przepowiedziany i nie był oczekiwany. Gorzej. Jak precyzyjnie pokazuje ks. Pagès, nie sposób powiedzieć, po co właściwie przybył Mahomet. Jaka była jego zasadnicza misja? Pytani o to muzułmanie najczęściej odpowiadają, że przybył on po to, by potwierdzić Torę i Ewangelię. Jednak po jakie licho należało potwierdzać coś, co zostało powszechnie przyjęte? Dlaczego Bóg miałby chcieć raz jeszcze, bez żadnej wcześniejszej zapowiedzi, wysłać swego proroka, który miałby powiedzieć jeszcze raz to, co było znane i uznane?

W przeciwieństwie do Jezusa, który przyszedł przede wszystkim po to, by złożyć ze swego życia doskonałą ofiarę na krzyżu, by przez swą krew uwolnić ludzkość od grzechu, uśmierzyć Boży gniew i pojednać na nowo ze sobą Boga i człowieka, cel misji Mahometa jest niejasny, niewyraźny, nieokreślony. Często zresztą można odnieść wrażenie, pisze ks. Pagès, że autor Koranu nie znał prawdziwej Ewangelii, że nie dysponował wiedzą o tym, co najbardziej charakterystyczne dla przesłania Chrystusa. Nie wiedział nic o nauce miłości, o ofierze, o odkupieniu. Jezus koraniczny, poza imieniem, nie ma nic wspólnego z Jezusem ewangelicznym. To dwie całkiem inne osoby, o przeciwnych sobie charakterach, funkcjach i zadaniach.

JEZUS KORANICZNY

Być może najciekawszym fragmentem książki jest zatem próba wyjaśnienia, skąd ów tajemniczy obraz Jezusa pojawił się na kartach Koranu. Na pewno nie pochodził on wprost ze źródeł chrześcijańskich, a przynajmniej z żadnych tekstów oficjalnego, prawowiernego chrześcijaństwa. Otóż, jak zauważa ks. Pagès, najprawdopodobniej przyjęty w Koranie obraz Jezusa został przekazanym Mahometowi i jego zwolennikom przez nazarejczyków, sektę judeochrześcijańską. To pogląd obecny wśród wielu znawców przedmiotu – do podobnych wniosków docierał choćby Joachim Gnilka, znany niemiecki badacz islamu. Nazarejczycy z jednej strony widzieli w Jezusie mesjasza, tak jak to przyjęli później muzułmanie, z drugiej jednak odrzucali to, co specyficznie chrześcijańskie – wiarę w Jezusa jako Syna Bożego, równego Ojcu, sakramenty, odkupieńcze znaczenie śmierci Jezusa. Inaczej niż Żydzi przyjmowali, że Jezus był przepowiedzianym przez Boga mesjaszem, inaczej niż chrześcijanie sądzili, że wkrótce wróci on na czele wojsk, rozgromi pogan, odda im świat we władanie. Nazarejczycy, inaczej niż ogół chrześcijan, odrzucali naukę Świętego Pawła, widząc w nim zdrajcę, człowieka, który porzucił prawdziwe nauczanie Jezusa i podzielił się nim z poganami. Takie pochodzenie islamu – jego prawdziwymi założycielami byli nazarejczycy – tłumaczyłoby też liczne, antychrześcijańskie zapożyczenia w Koranie, których źródłem był żydowski Talmud. „Żydzi odrzuciwszy Jezusa Chrystusa, szukali zbawienia w prawie Mojżeszowym (Mt 23; J 5, 45–47) a nazarejczycy chcąc wlać nowe wino Chrystusa w stare bukłaki judaizmu (Mt 9, 17), także nie mogli się stać chrześcijanami” (s. 438). Ci drudzy, pierwotnie nazywani ebionitami, najprawdopodobniej pojawiają się w pismach Pawła jako Żydzi powołujący się na Jakuba, przeciwnicy otwierania Kościoła na pogan. W tym sensie, jak wynika z analiz ks. Pagèsa, islam ma korzenie żydowskie. „Aby to udowodnić, wystarczy porównać źródła islamu i Talmudu. Czytamy więc w Talmudzie: »Chrześcijanie powinni zostać eksterminowani, bo są bałwochwalcami« (Zohar. I, 25a); »Ochrzczeni żydzi powinni być skazani na śmierć« (Hilkhoth Akum, X, 2) […] Służalcze naśladowanie judaizmu talmudycznego posuwa się tak daleko, że bezrefleksyjnie kopiuje błędny sens Prawa Mojżeszowego. […] Zaprzeczyć imieniu Boga w Trójcy Świętej, boskości Chrystusa, Jego wcieleniu i odkupieniu, powrócić do mesjanizmu ziemskiego, wymazać wszystkie ułomności z życia bohaterów Starego Testamentu, zdjąć z Żydów ciężar odpowiedzialności za bogobójstwo, przywrócić wiarę i antychrześcijańskie praktyki żydowskie – czy można ofiarować lepszy prezent judaizmowi talmudycznemu?” (s. 439). Rzeczywiście, podobieństwa między antychrześcijańskim posłaniem islamu i naukami talmudycznymi są uderzające. Działalność nazarejczyków mogłaby to dobrze tłumaczyć. W ten sposób pojawiłoby się owo brakujące historyczne ogniwo między judaizmem z jednej a islamem z drugiej strony.

Polski czytelnik widzi już, z jak niezwykłą książką ma do czynienia. Jej autor nie boi się podejmować, jak byśmy to dziś powiedzieli, najbardziej nawet kontrowersyjnych wątków. Doskonale to widać również w tych rozdziałach, w których zajmuje się rzekomą tolerancyjnością i łagodnością religii Proroka. Wprost pisze, że tym, co najbardziej charakteryzuje islam, jest nie żadne wezwanie do pokoju i braterstwa – osobliwy pogląd współczesnych utopistów – ale nauka ciemności. „Stąd w 6235 wersetach Koranu znajdziemy:

129 wersetów, które nakazują muzułmanom dżihad, nowy rodzaj nieustannej i powszechnej wojny z całym światem […]

396 wersetów wojowniczych i niewolniczych, wzywających do nienawiści i zabijania chrześcijan, żydów, apostatów i niewiernych […]

41 wersetów wrogich kobietom, które łączą kobietę ze złym i diabłem […]

1100 wersetów o gwałtownych atakach połączonych z obelgami, życzeniem nieszczęścia, nienawiścią i złorzeczeniem przeciw nieokreślonej kategorii niewiernych (kafirom), inaczej mówiąc przeciwko wszystkim, którzy nie chcą się podporządkować islamowi

1500 wersetów nastawionych imiennie ze szczególną siłą na pogan i innych bałwochwalców, Beduini są tutaj szczególnie napiętnowani i obrażani, uważani za głuchych, ślepych,

eprasa.pl 0a6efddd4a

pozbawionych świadomości, głupich i przyrównywanych do bydła czy godnych pogardy małp. W sumie mamy ponad 3150 wersetów, czyli przeszło połowa Koranu, które nawołują do wyniszczenia wszystkich, którzy nie są muzułmanami” (s. 211).

KS. GUY PAGÈS „PRAWDZIWE OBLICZE ISLAMU” WYDAWNICTWO AA

RELIGIA WROGOŚCI

Nie ma wątpliwości co do autentyzmu tych wszystkich wersetów. Islam to przede wszystkim religia wrogości, podboju, ucisku i nierówności. Jednak czy tylko? Jak to się bowiem dzieje, że owa tak trafnie i bez żadnej taryfy ulgowej scharakteryzowana religia nie tylko, że nie umiera, nie tylko, że nie znajduje się nad skrajem przepaści, ale, przeciwnie, rozwija się i podbija coraz wyraźniej Zachód? Skoro jest tak wewnętrznie zepsuta i zdeprawowana, dlaczego zyskuje tylu nowych wyznawców, i to nawet tam, gdzie teoretycznie nie ma do tego prawa? Jak to się dzieje, że stopniowo liczba muzułmanów w Europie rośnie? Ba, że coraz częściej to ludzie Kościoła otwierają przed nimi drzwi i granice, kolejne diecezje oferują miejsca na meczety, oddają im niekiedy własne kościoły? Jak wytłumaczyć ten paradoks?

Ksiądz Pagès również zadaje sobie to pytanie, choć w nieco innej formie. Pyta mianowicie, jak wytłumaczyć ów niesamowity rozwój islamu. „Przynajmniej z trzech przyczyn Bóg najprawdopodobniej dopuścił obecność islamu na Zachodzie. Pierwszą jest to, że islam ma być plagą w rękach Boga, karą za apostazję tych narodów, które niegdyś były chrześcijańskie (Ap 3, 19). Drugą przyczyną jest, że Bóg, działając na tym świecie jako miłosierny Ojciec, chce nas doprowadzić do nawrócenia, do żywej komunii z Sercem Jezusa i radości głoszenia Go i kochania. A trzecią jest w konsekwencji nie tylko nasze zbawienie, ale także zbawienie muzułmanów przez ewangelizację” (s. 34). Tak pisze autor na początku swych rozważań, na końcu zaś dodaje: „Czy Bóg nie zezwolił na obecną ekspansję islamu pod naszym niebem, żeby w ten sposób dać człowiekowi cywilizacji postmodernistycznej, pozbawionej wyczucia transcendencji, dążącej do wolności prawdy szansę na ponowny wybór Chrystusa?” (s. 477). W obu tych przypadkach ks. Pagès stara się przeniknąć zamysły Boże. Jednak odpowiedzi na religijną ekspansję islamu można szukać też, badając słabości samego zachodniego chrześcijaństwa. Wbrew wielu innym pisarzom ks. Pagès ten problem dostrzega. Wspomina o błędnym zapisie „Nostra aetate” i posuwa się nawet do ostrożnej krytyki słynnego pocałunku Koranu, dokonanego przez Jana Pawła II. Można się jednak pytać. Czy to wystarczy?

Nie mam bowiem wątpliwości, że głównym źródłem ekspansji islamu jest wewnętrzny kryzys Kościoła. Zamiast głosić ową wspaniałą Prawdę, tak dobrze pokazaną przez ks. Pagèsa, wiele wypowiedzi kościelnych hierarchów jest raczej popisem dyplomacji i gry dialektycznej. Niestety, ogromna część odpowiedzialności za ten stan rzeczy spada na uczestników dialogu chrześcijańsko-muzułmańskiego. To ci chrześcijanie stali się mistrzami niejasności, twórcami pojęć i zdań, które mają przykryć sprzeczności. Być może działają w dobrej wierze, ale faktycznie przyczynili się do rozbrojenia Kościoła. Odebrali mu własny język, zamienili ewangeliczne „tak, tak, nie, nie” na łańcuch dialektycznych tez i antytez, z których można wyciągnąć dowolny wniosek. W zderzeniu z naporem muzułmanów Kościół się kruszy. Zamiast iść śladem tych papieży, którzy zaczynając od XI, a kończąc na XVIII stuleciu, konsekwentnie stali na straży obrony wiary przed muzułmanami, ich dzisiejsi następcy szukają nowego języka, nowego otwarcia i przyjmują taką wizję islamu, jaką krok po kroku zwalcza i krytykuje ks. Pagès. Co na przykład ma zrobić katolik, kiedy słyszy z Rzymu, że wezwanie zmartwychwstałego Chrystusa do apostołów, aby szli i czynili sobie uczniów ze wszystkich narodów, ma właściwie takie samo znaczenie jak islamski dżihad? Albo kiedy mówi mu się, że troska o nawracanie muzułmanów to prozelityzm, ten zaś winien być wykluczony? Wiele takich i podobnych słów oraz gestów przyczynia się do chaosu – jaki może być tego efekt, pokazują dobrze losy nawróconego na chrześcijaństwo muzułmanina, który w 2008 r. przyjął chrzest z rąk Benedykta XVI. Magdi Allam, którego list jest dołączony do książki, w 2013 r. ogłosił, że opuszcza Kościół. Łatwo zauważyć, że ogromny wpływ na tę decyzję musiała właśnie wywrzeć nowa, oficjalna, pozytywna wobec islamu polityka Kościoła.

POSTCHRZEŚCIJANIZM

Ksiądz Pagès skupia się w swojej książce na pokazywaniu dogmatycznych i etycznych błędów zawartych w Koranie, czasem także pokazując ich społeczne skutki, choćby straszliwy i okrutny zwyczaj obrzezywania kobiet. Jednak trzeba pamiętać, że ogół muzułmanów przybywających do Europy styka się z kulturą postchrześcijańską. Pozbawioną wszelkich wartości, skrajnie hedonistyczną, z coraz bardziej opętanym konsumpcjonizmem i materializmem. Wielu z nich sądzi, niesłusznie, że to owoc chrześcijaństwa. W zderzeniu z tą nową ateistyczną cywilizacją, z coraz bardziej radykalizującą się rewolucją, zachowują swoją tożsamość. Dlatego nawet najbardziej celne argumenty rozumowe do nich nie trafiają. Co bowiem oferuje się im w zamian? Jaką to wyższą postać życia duchowego mieliby otrzymać? Na tle opanowanych przez ideologię LGBT, feminizm, aborcjonizm itd. społeczeństw Zachodu ich własny islam jawi się im jako ostoja spokoju. Co więcej, religia pozwala im nadal doświadczać, choć często w zniekształconej formie, kultu, doświadczać Boga, mieć przekonanie, że ich życie ma wyższy sens. Na nieszczęście stykają się nie z ludźmi pokroju ks. Pagèsa, ale albo z letnimi, pozbawionymi zapału i gorliwości chrześcijanami, albo w zdecydowanej większości z całkiem już zateizowanymi, wychowanymi przez liberalne ideologie postchrześcijanami. Nic dziwnego, że trzymają się kurczowo swojej religii. I trudno mi uwierzyć, żeby mogły ich do Chrystusa doprowadzić nawet najlepsze, najbardziej przenikliwe wywody teologiczne i filozoficzne. Przyniosłyby one owoce tylko wówczas, gdyby towarzyszyła im praktyka społeczna. Gdyby Kościół na nowo stał się zdolny kształtować społeczeństwo, na nowo podjął walkę o duszę człowieka Zachodu, porzucił straceńczą strategię dostosowania się. Myślę, że taki też jest ostatecznie cel modlitw autora książki „Prawdziwe oblicze islamu”. To przecież dokładnie znaczy wezwanie, by „Chrystus w końcu zapanował »jako w niebie, tak i na ziemi«”. Najpierw wśród postchrześcijan Zachodu, a potem wśród muzułmanów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Słodki totalitaryzm

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Warzecha

W wypadku podatku cukrowego, a także innych obciążeń, zwanych „podatkami od grzechu", mamy do czynienia z niedopuszczalną interwencją państwa w nasze zwyczaje, upodobania, przyjemności. Dajmy konsumentom wolny wybór, oparty na kompletnej informacji

Jeśli od kwietnia wejdzie w życie podatek od słodzonych napojów, to będziemy mieć do czynienia z nowym etapem ekspansji państwa paternalistycznego, traktującego własnych obywateli jak opóźnionych w rozwoju niepełnosprawnych. Tak naprawdę będzie to jednak wielkie oszustwo, bo nigdy i nigdzie nie dowiedziono, że tego typu rozwiązania mają jakikolwiek związek ze zdrowiem ludzi. Nawet gdyby takie dowody się znalazły, i tak ten podatek pozostawałby gwałtem na naszej wolności.

Łukasz Zboralski w tekście „Gorzka prawda" („Do Rzeczy" 5/2020) podszedł do sprawy w specyficzny sposób. Nie tylko pominął krytyczne analizy i przykłady, wskazujące na nieskuteczność podatkowych metod wychowawczych; nie tylko nie wspomniał o tym, że tego typu rozwiązania uderzają zwłaszcza w uboższych, lecz przede wszystkim całkowicie pominął zasadnicze pytanie: Czy państwo w ogóle ma prawo narzucać obywatelom za pomocą polityki podatkowej lub jakiejkolwiek innej, co mają jeść (a także – bo czemu nie? – w co mają się ubierać, jak spędzać wolny czas itd.). Chociaż właściwie Zboralski zdawkowo na to pytanie odpowiedział i okazuje się, że jest zachwycony. „A przede wszystkim na pewno pozytywna jest moc wpływania państwa na to, co producenci oferują ludziom" – napisał. Problem w tym, że to nieprawda: podatek cukrowy w małym stopniu wpłynie na to, co producenci zaoferują ludziom. Wpłynie jedynie – negatywnie – na to, na co będą sobie mogli pozwolić i co wybiorą zwłaszcza ci biedniejsi.

PODATEK A ZDROWIE

Zacznijmy od domniemanej skuteczności podatkowego wychowywania obywateli. Żaden zwolennik opiekuńczego państwa nie jest w stanie wskazać dowodów na to, że podatek od cukru wpływa na stan zdrowia obywateli. Zboralski powołuje się na biuletyn WHO z 2010 r. Problem w tym, że dekadę temu nie było czego analizować. Podatku cukrowego nigdzie nie było.

Są za to państwa, które traktują swoich obywateli poważniej niż Polska. Takim państwem jest np. Nowa Zelandia, gdzie w ubiegłym roku zaczęto rozważać podatek cukrowy. Jego wprowadzenie zostało już jednak wykluczone przez premier Jacindę Ardern (zresztą z lewicowej Partii Pracy, ale w Nowej Zelandii nawet Partia Pracy ma rys wolnościowy), która zapowiedziała, że w zamian rząd będzie naciskał na wyraźniejsze oznaczenia na opakowaniach produktów. Co wydaje się najrozsądniejsze: dajmy konsumentom wolny wybór, oparty na kompletnej informacji.

Decyzja Ardern bazuje na nowozelandzkim przeglądzie badań skuteczności takich rozwiązań z całego świata, który mówi coś dokładnie przeciwnego, niż twierdzi Zboralski. Zestawiono w nim 47 badań trzymających standardy naukowe (peer reviewed), z czego konkluzja jest jasna: „Żadne badanie oparte na faktycznych doświadczeniach nie wykazało jakiegokolwiek wpływu podatku na zdrowie".

Studium zajęło się konkretnymi przykładami, m.in. wprowadzonym w 2014 r. w Meksyku podatkiem od słodzonych napojów i słodyczy. Jego efekt był bardzo niewielki (spadek spożycia słodzonych

eprasa.pl 0a6efddd4a

napojów z 16,375 mln l w 2013 r. do 15,915 mln l w 2015 r.), a już w 2016 r. nastąpił powrót niemal do poprzedniego wolumenu spożycia (16,156 mln l). Spadek spożycia kalorii był mikroskopijny – mniej niż 0,5 proc. – co wskazuje, że ludzie kompensowali sobie słodkie napoje czy przekąski innymi produktami. Otyłość w roku 2016 zamiast spaść – wzrosła.

We Francji konsumpcja słodzonych napojów po wprowadzeniu podatku cukrowego spadła o – uwaga! – całe 40 ml miesięcznie.

W Wielkiej Brytanii dano producentom nie kilka miesięcy, tak jak w Polsce, lecz dwa lata na dostosowanie. Tam producenci zaczęli przerzucać się masowo z naturalnego cukru na słodziki, których oddziaływanie na zdrowie jest mocno dyskusyjne. Dowodów na wpływ podatku na zdrowie Brytyjczyków brak, za to w istotny sposób zasilił on budżet Korony.

Równie druzgocące dla podatkowego wychowywania obywateli wyniki niesie raport „Overcoming obesity" („Walka z otyłością") firmy konsultingowej McKinsey z 2014 r. Oszacowano tam skuteczność poszczególnych sposobów działania, przeliczając je na jednostki DALY (Disability Adjusted Life Year), czyli jednostkę pozwalającą ocenić wpływ choroby na życie populacji. Mówiąc prosto – im więcej jednostek DALY, tym lepiej. Dziesięcioprocentowy podatek od słodkich produktów wypadł bardzo mizernie – jedynie 203 DALY w porównaniu np. z edukacją rodzicielską (962) czy kontrolowaniem wielkości porcji (rozmiaru) – 2126. Natomiast nieskuteczność domiaru podatkowego była odwrotnie proporcjonalna do liczby poświęconych mu materiałów w najważniejszych brytyjskich biznesowych mediach – zebrał ich zdecydowanie najwięcej w ciągu roku, bo aż 930, podczas gdy wspomniana edukacja rodzicielska zaledwie 4. Wniosek jest oczywisty: podatkowy domiar jest skrajnie nieskuteczny, ale propagandowo najbardziej nadęty, podczas gdy największy sens mają całkiem inne działania.

Te wszystkie dowody jednak polskiego rządu nie interesują, bo przecież w gruncie rzeczy nie chodzi tu o zdrowie Polaków, lecz o przychody wygłodzonego budżetu. A podatek cukrowy ma przynieść cenne 2 mld zł rocznie. Te mają trafiać do NFZ, ale przecież nie będą to dodatkowe pieniądze. Raz, że przypłyną z kieszeni Polaków, dwa – że o tyle mniej budżet będzie mógł do NFZ dołożyć.

Suchej nitki na podatku nie pozostawił Związek Przedsiębiorców i Pracodawców. ZPP wytyka – po pierwsze – skandalicznie krótkie vacatio legis, przypominając, że Narodowa Strategia Onkologiczna jeszcze na początku grudnia 2019 r. zakładała wprowadzenie takiego podatku dopiero od 2022 r. Po drugie – absurdalnie wysoką stawkę wobec siły nabywczej Polaków. We Francji stawka podstawowa (po przeliczeniu według wskaźnika siły nabywczej) to 19 gr, w Polsce 50 gr za litr napoju. Po trzecie – objęcie podatkiem napojów zawierających słodzące substancje niskokaloryczne. Po czwarte – skandalicznie ogólnikową Ocenę Skutków Regulacji, ale to nie dziwota. Rząd przyzwyczaił nas do tego, że nie zajmuje się analizowaniem, jak jego kolejne socjalistyczne pomysły wpłyną na całość gospodarki. Projekt krytykują również sadownicy, w których uderzy być może najpotężniej.

WYJŚCIE Z KLATKI

Tyle jeśli chodzi o zachwyty nad skutecznością domiaru. Jednak dyskusja o nim przypomina sytuację, w której zastanawialibyśmy się, czy chcemy być zamknięci w klatce drewnianej czy żelaznej, zamiast rozmawiać o tym, że w ogóle w żadnej klatce nie mamy ochoty siedzieć. Dlaczego w ogóle państwo miałoby nas wychowywać podatkami?

Najczęściej pojawia się argument, że skoro leczenie osób z chorobami wynikającymi ze spożycia cukru kosztuje, to w specjalnej wysokości powinny się do tego dokładać osoby spożywające więcej cukru. Ta argumentacja nie wytrzymuje jednak krytyki. Polski system ochrony zdrowia w założeniu nie różnicuje wysokości składki od sposobu życia obywatela, a jedynie od wysokości przychodu. Nie ma żadnego powodu, aby rząd kuchennymi drzwiami wprowadzał nagły dodatkowy podatek od jednej, arbitralnie wyselekcjonowanej grupy – zwłaszcza przy braku jednoznacznej korelacji między indywidualną sytuacją zdrowotną a tym, co się je czy pije. A jeśli na to pozwolimy, to otwieramy drogę do innych podobnych działań. Dlaczego nie obłożyć podatkiem masła – zawsze znajdą się eksperci, którzy wskażą, jak jest niezdrowe – mięsa albo uprawiania sportów? Przecież leczenie złamań i zwichnięć wynikających np. z jazdy na nartach kosztuje bardzo dużo. Na razie to tylko teoria, ale wszystko jest możliwe. Jak pisał Alexis de Tocqueville w „Dawnym ustroju i rewolucji": „Trzeba szczegółowo poznać historię administracyjną i finansową dawnego ustroju, by zrozumieć, do jak bezprawnych i nieuczciwych praktyk może brak pieniędzy skłonić rządy łagodne, ale działające tajnie i bez kontroli, kiedy czas ostatecznie usankcjonuje ich władzę i uwolni je od strachu przed rewolucją, tą ostatnią ucieczką ludów".

Gdybyśmy mieli system prywatnych ubezpieczeń, w którym działa prosty układ kontraktowy – firma wycenia czyjś styl życia i stan zdrowia indywidualnie, po czym kalkuluje składkę – mielibyśmy mechanizm prosty i uczciwy. Chcesz płacić mniej – zadbaj o siebie, swój wybór. My jednak mamy system egalitarny.

W wypadku podatku cukrowego, ale także innych obciążeń, zwanych „podatkami od grzechu", mamy do czynienia z niedopuszczalną interwencją państwa w nasze zwyczaje, upodobania, przyjemności. Państwo czuje się do tego uprawnione, ponieważ odwróceniu uległa hierarchia: państwo powinno być służebne wobec obywateli, którzy są jego „właścicielami", tymczasem to ono zaczęło nas uważać za swoją własność. A o własność się dba, co zwykle sprowadza się zresztą w sferze faktów do wyciskania z nas jak z cytryny kolejnych pieniędzy. Konsekwencje takiego rozumowania są straszne i w gruncie rzeczy prowadzą do miękkiego totalitaryzmu – miękkiego, czyli niedostrzegalnego dla większości ludzi. Jeśli bowiem rządzący mogą nam narzucać, co mamy pić, a czego nie jeść, to przecież za moment mogą nam – w imię oczywiście naszego dobra – narzucić opodatkowanie niewłaściwego zachowania czy ubioru. I niczego nie zmienia tu fakt, że robi to władza demokratycznie wybrana. To jest wręcz w tym wszystkim najgorsze – ale też nie nowe. Jak w „Konstytucji wolności" pisze Fryderyk von Hayek: „Być może fakt, że widzieliśmy, jak miliony przegłosowały całkowite własne podporządkowanie się tyranowi, pozwolił naszemu pokoleniu zrozumieć, że wybór własnego rządu niekoniecznie oznacza zagwarantowanie wolności. Co więcej, wydaje się, że dyskutowanie wartości wolności byłoby bezcelowe, gdyby każde rządy, które ludzie zaaprobowali, były z definicji rządami wolności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

I po castingu

Ostatnio byłem na urodzinach. Nie byle jakich. O niewielu ludziach mogę powiedzieć, że znam ich od 47 lat. Może nawet od 48, jeśli zderzyliśmy się kiedyś wózeczkami. A tego jubilata akurat znałem. Piaskownica była dla nas jak Wietnam.

Ponieważ znamy się całe swoje życie, zakładałem, że na imprezie spotkam wielu znajomych z dawnych czasów. Nawet się na to nastawiłem. Tymczasem nie znałem tam nikogo. Absolutnie nikogo. To temat na inny felieton, co się stało z naszymi wspólnymi przyjaciółmi i jak bardzo obecna praca, obecna żona oraz obecne dzieci kształtują nasz mikrokosmos towarzyski. Ale na razie to zostawmy.

W każdym razie jubilat zachęcił mnie, bym nawiązał nowe znajomości. Klepnął mnie w plecy i poszedł tańczyć. A ja rozejrzałem się po mieszkaniu, w którym popijała wino cała masa sympatycznych i bez wątpienia interesujących ludzi. Ale na myśl, że miałbym ich poznawać, i to na trzeźwo, bo akurat mam taki okres w życiu, poczułem… jakby to określić… zniechęcenie.

Zdecydowanie nie chciało mi się nikogo poznawać. Zdziwiło mnie to, bo jestem raczej towarzyski. Zastanowiłem się zatem i doszedłem do wniosku, że życie towarzyskie człowieka z grubsza dzieli się na dwa etapy. Etap zabawy i etap rozmowy. Etap zabawy to swego rodzaju casting. Całkiem długi i przyjemny casting. Na którym nas wybierają i zarazem my wybieramy. Staramy się oczarować, epatować fajnością, błyskotliwie ripostować, dowcipkować. Prężyć się. Jesteśmy jak dzieci, które podczas rozsadzania w ławkach stają na palcach, żeby zająć miejsce obok lubianej koleżanki. A problem polega na tym, że mnie się już nie chce stawać na palcach.

Etap castingu mam już za sobą. Główne role w moim życiu są już obsadzone i wykonawcy jak dotąd się sprawdzają. Jestem zdecydowanie na etapie rozmowy. Potrzeba oczarowywania innych już ze mnie wyparowała, natomiast urosła potrzeba pogłębiania tych relacji, które są. Kiedy się z kimś spotykam, chcę się z nim podzielić rzeczami naprawdę dla mnie istotnymi. W zamian sam chętnie wysłucham, i to nie tylko z poczciwości serca, lecz także z bardzo egoistycznego pragnienia zdobywania nowych doświadczeń. Prawdę mówiąc, dobra rozmowa stała się dla mnie jedną z głównych życiowych przyjemności. Domyślam się, że za kilka lat zostanie wyparta przez rozkosz staruszków, czyli drzemkę. Ale na razie wolę rozmowę.

I dlatego popatrzyłem jeszcze chwilę na tańczących ludzi, a potem wymknąłem się po angielsku. W domu żona jeszcze nie spała i odbyliśmy wspaniałą rozmowę. No dobra, może jakaś cudowna to ona nie była, ale przynajmniej nie musiałem stawać na palcach. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Entente cordiale

Relacje polsko-francuskie to opowieść o miłości nieodwzajemnionej. Wprawdzie już Piłsudski mawiał, że w polityce nie ma sentymentów, a jedynie interesy, rzut oka na mapę sprawia, że sojusz polsko-francuski jest koniecznością i gwarancją stabilizacji europejskiej. Chyba że Polski akurat nie ma, co w dziejach nowożytnych było dosyć częste. Kłopot polega na tym, że Francja nigdy nie traktowała nas przesadnie poważnie.

Otrzymywaliśmy od niej trzeciorzędne królowe i drugorzędnych kandydatów na tron. Kariera Marii Leszczyńskiej była raczej wypadkiem przy pracy niż zwieńczeniem polityki. Strategicznym partnerem mogliśmy zostać co najwyżej w wieku XVII, ale akurat pogrążaliśmy się w upadku. Później wrogowie Polski przy pomocy różnych użytecznych idiotów w rodzaju Woltera zrobili wiele, aby przedstawiać nas jako ciemnogród, ostoję brudu i zacofania, choć w byle dworze szlacheckim warunki sanitarne były lepsze niż w Wersalu. W kolejnym stuleciu w galijskiej strategii miejsce po Rzeczypospolitej zajęła Rosja i utrzymywała to miejsce niezależnie od panujących ustrojów. Podejrzewam, że Mariannie (uznawanej za personifikację Francji) zaimponował Euroazjata, ów stereotypowy Kozak, który wprawdzie gwałci i batoży, ale z temperamentem.

Można się naturalnie cieszyć, że Macron dostrzegł wreszcie Polskę i częściowo ograniczył protekcjonalny ton wobec niej. W końcu nawet ten „teflonowy chłopczyk" zauważył, że niewielu jest na świecie polityków, z którymi warto i można rozmawiać. Trump wyraźnie go lekceważy, Boris Johnson przeprowadził brexit i gotów jest działać po swojemu, w Niemczech trwa bezkrólewie (Merkel jest, ale jakby jej nie było), w starych Włoszech bałagan, w Hiszpanii głębokie pęknięcie. Macronowi bliska jest wizja Europy karolińskiej – zapomina jednak, że ówczesna jedność kontynentu nie wynikała z jednej dynastii i biurokratycznych zapisów, tylko ze wspólnej wiary chrześcijańskiej.

Dla Unii wedle wizji Schumana, de Gasperiego i Adenauera katolicka Polska byłaby wsparciem znakomitym, jednak dla obecnego wielokulturowego, skłóconego i podminowanego tworu zagrożeniem oraz konkurencją. Zwłaszcza gdy wspierają ją inne państwa regionu. Dlatego zeszłotygodniowej wizyty nie traktowałbym jako przełomu, a nazwał raczej rekonesansem, pozwalającym obu stronom ocenić, jak daleko mogą się posunąć.

Teraz Francuzi mogą się zastanawiać, czy da się Polaków okiełznać na podobieństwo żółtych kamizelek, a Polacy – czy mogą urządzać swój dom ojczysty bez obcego dyktatu. A swoją drogą, jakby tak w historii partnerzy traktowali się poważnie! Przecież gdyby w swoim czasie Napoleon zamiast wiązać się z wiarołomnymi Habsburgami poślubił panią Walewską, dynastia Bonapartych panowałaby do dziś. I to nie tylko we Francji! ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

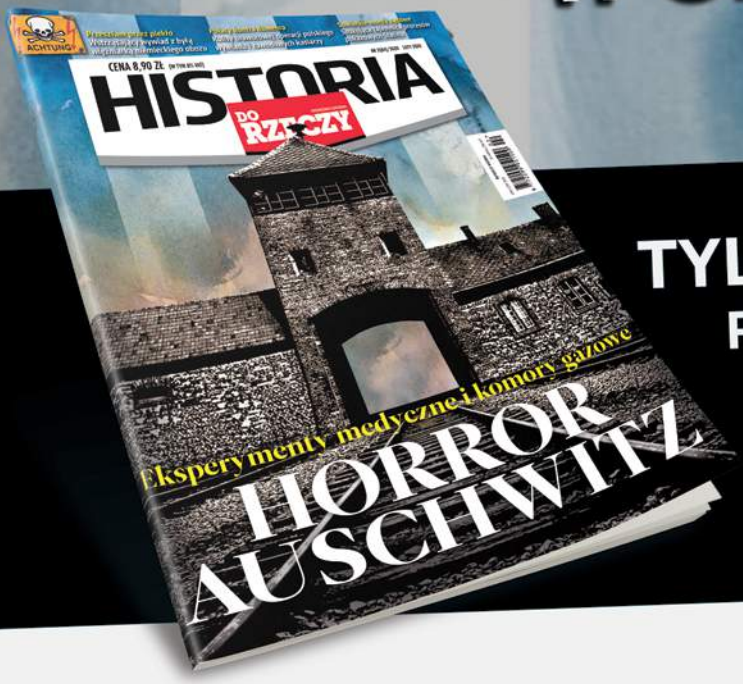

TYLKO U NAS!
Przeżyłam piekło – szokujący wywiad z więźniarką Auschwitz

Piotr Cywiński – **Fabryka śmierci**
Piotr Zychowicz – **Eksperymenty doktora Mengele**
Mikołaj Iwanow – **Sowieckie psy kamikadze**
Grzegorz Janiszewski – **Wywiad II RP kontra Abwehra**
Jochen Böhler – **Zabójcza machina Waffen-SS**
Sławomir Koper – **Swawole Cata-Mackiewicza**
Leszek Lubicki – **Krwawe porachunki Kazimierza Wielkiego**
Tomasz Stańczyk – **Spór o mordy rytualne dzieci**
Sławomir Cenckiewicz – **Polska wiktoria 1920**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0a6efddd4a

Diamentem do serca kobiety

[WALENTYNKOWO]

FOT. AFP/EAST NEWS

Kobieta romantyczna:

„Diamenty są najlepszymi przyjaciółmi kobiet".

Poeta romantyczny:

„Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje".

eprasa.pl 0a6efddd4a

Waldemar Łysiak

Przez cały czas trwania ***„Tygodnika Lisickiego"*** publikuję na tych szacownych łamach (każdego roku, więc to już mocno zakorzeniona tradycja) esej poświęcony Walentynkom (14 lutego) czyli Dzionkowi Zakochanych, i rytualnie tematem są amory tudzież kobiecość lub jakiś jej, mniej lub bardziej symboliczny, atrybut. Pierwsza taka walentynkowa publikacja spod mego pióra nosiła tytuł **„Miłość ci wszystko wybaczy..."** (7/2014), zaś ostatnia dotychczasowa (poprzednia, szósta), **„Nimfetki"** (7/2019). Notabene ona ściągnęła na mnie utyskiwania, że szerzę deprawację, ale to sarkanie mijało się z prawdą, deprawowanie bowiem jest mi wstrętne, nigdy nie przekraczam pewnych granic. Jawny dowód tego stanowi właśnie cykl moich walentynkowych publikacji: pisząc esej o róży (7/2018) nie dywagowałem (ani nawet nie napomknąłem), że w slangu/grypserze *„elżbietańskiej"* Anglii *„róża"* oznaczała *„cipkę"* lub błonę dziewiczą, a w eseju o łabędziach (6/2019), że *„łabędź"* oznaczał wtedy prostytutkę (co znajdujemy u Szekspira i jego kolegów). Dzisiaj też będę purytaninem twardym jak szlachetny kamień.

„ — Największym przyjacielem kobiety jest wibrator" — stwierdziła celebrytka Monika Goździalska latem roku 2019 na łamach **„SUPERexpressu"**. To coś nowego, bo do tej pory — od premiery filmu **„Mężczyźni wolą blondynki"** (1953), w którym Marilyn Monroe śpiewała, że najlepszymi przyjaciółmi pań są diamenty (*„Diamonds are a girl's best friends"*) — za czołowych kumpli niewiast uchodziły te kamyki szlachetne (rzecz prosta: oszlifowane, mające już postać brylantów). Ich mitologię (wcześniej szerzoną przez literatów, vide **„Gwiazda Południa"** Verne'a, czy **„Diament wielki jak góra"** Scotta Fitzgeralda) utrwalił inny kultowy film, kolejny z Jamesem Bondem: **„Diamenty są wieczne"** (1971), którą to tezę sceptycy wyśmiali, twierdząc, że *„wieczność diamentów"* jest nakręcana przez rekinów biznesu diamentowego dla zawyżania popytu i marketingowego spekulowania. Nie ulega wszakże wątpliwości, że diamenty/brylanty wciąż stanowią *„lokatę kapitału"* lepszą od złota i jakichkolwiek walut. Mają też swoje pomniki, exemplum główna (100–metrowej wysokości) stupa ranguńskiej świątyni Szwe Dagon, zakończona iglicą, którą wieńczy ogromny brylant. Mają i muzea, choćby właśnie w Rangunie (Mjanma, eksBirma), czy w zbiorach klejnotów koronnych Anglii (londyńska Tower) bądź Rosji (moskiewski Kreml). Przyjrzyjmy się źródłom tego błyszczącego marzenia każdej damy pragnącej nosić kamyki na szyi, na przegubie i na palcu.

SIŁA DIAMENTÓW

Diament (nazwa pochodzi od greckiego *„adamas"* — niepokonany, niezwyciężony, niezniszczalny) to właściwie czysty węgiel — minerał będący alotropową odmianą węgla pierwiastkowego. Związany z zasadowymi skałami magmowymi (głównie kimberlit, rzadziej perydotyt) ulega krystalizacji na dużych głębokościach (powyżej 80 km) wskutek dużego ciśnienia (tysiące atmosfer) i wysokich temperatur (1100–1300°C). Przybiera różne wersje kolorystyczne (bezbarwną, niebieską, zieloną, żółtą, brązową, czerwoną, różową, fioletową, czarną i in.), ma twardość 10 punktów w skali Mohsa (najwyższą), posiada bardzo wysoki współczynnik załamania światła (przy szczególnie dużym mamy *„ogień diamentu"*), dobrze przewodzi ciepło, jest odporny na działanie kwasów i zasad. Dobywa się diamenty metodą kopalnianą, chociaż czasami spadają też z nieba w meteorytach (diamentów kosmicznych najwięcej skupia pono planeta Saturn). Ziemski urobek kopalniany to głównie drobna szara masówka zwana *„bortem"* i będąca surowcem przemysłowym stosowanym do okładania głowic świdrów wiertniczych, które dzięki temu zyskują taką twardość, iż mogą ciąć/drążyć kilometry litej skały. Jednak spośród tej kamiennej pulpy kopalniana brygada sortownicza wyłuskuje szlachetne kamienie (kryształy ośmiościenne, rzadziej sześcienne lub dwunastościenne, o zaokrąglonych kształtach), późniejsze klejnoty, które tną/drążą bez trudu kobiece żądze i serduszka. Ciężar tych mocarnych kamyczków jest mierzony/wyrażany jednostką zwaną karatem (0,2 grama). Produkowane dziś wysokociśnieniowo diamenty sztuczne, zwane *„syntetycznymi"*, to niewielki dział rynku (2%), a osiągają na razie masę nie większą niż 10 karatów. Szacuje się, iż wewnątrz Ziemi są złoża diamentowe liczące 10 biliardów ton, ale na głębokościach powyżej 160 km, jeszcze nieosiągalnych wiertniczo, co cieszy diamentowych spekulantów, którzy nie chcą, by rynek się załamał.

Dla wielu ludów pierwotnych diament symbolizował słońce, bo rozsiewał najwięcej blasku. Od najdawniejszych czasów stosowany był przez szamanów uprawiających magię, a przez zwykłych ludzi jako talizman posiadający znaczną moc. Przypisywali mu tę moc również starożytni kapłani żydowscy. W zbudowanej decyzją króla Salomona (X w. B.C.) Złotej Świątyni jerozolimskiej odbywały się Sądy Boże (*„Ordalia"*), podczas których — gdy kapłani–sędziowie nie umieli orzec winy — wręczano podsądnemu diament. Jeśli ów trzymany przezeń kamień matowiał wówczas, tracąc swą promienistość, była to oznaka winy, a jeśli błyszczał bez uszczerbku — niewinności. Chiński mędrzec Konfucjusz (VI/V w. p.n.e.) pisał: *„Lepszy diament ze skazą, niż zwykły kamyk bez niej"*. W antycznej Grecji uważano diamenty za *„łzy bogów, które spadły na Ziemię z niebios"*. Rzymianin Pliniusz Starszy (I w. n.e.) twierdził, że gorąca krew

Afrykański obóz poszukiwaczy diamentów (XIX wiek)

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. SIPA/EAST NEWS

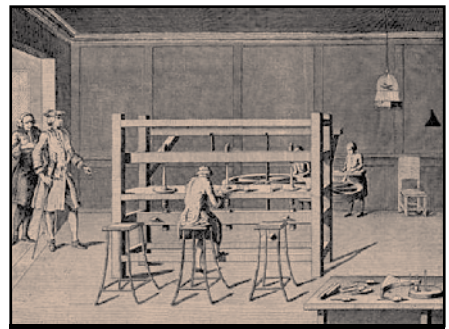

Londyńska szlifiernia diamentów (1749)

FOT. NEIL RICKARDS/CC/FLICKR

czarnego kozła jest śmiertelnym wrogiem diamentu — jedna jej kropla może rozbić kamień (natomiast Chińczycy wierzyli wtedy, że może go rozbić tylko barani róg). Pliniusz pisze też o leczniczych właściwościach diamentów, znanych wielu starożytnym ludom. O tym samym pisali arabscy lekarze czasów późnoantycznych, zgadzała się z tą tezą sławna niemiecka mistyczka benedyktyńska, św. Hildegarda (XI w.), było to powszechnie uznawane za oczywistość. Wino pite prze diament miało leczyć febrę, podagrę i żółtaczkę, inne choroby starano się leczyć proszkiem diamentowym rozpuszczonym w mleku lub w innych płynach (jeszcze stulecie XX znało te praktyki), pakowano diament do ust szaleńca (by zgasić jego furię) i pijaka (by pozbył się nałogu). Okultystyczne walory diamentów były/są reklamowane przez wróżbitów (jako doping siły, mądrości, twórczości) i przez egzorcystów (jako bat na szatana). Tworzone są legendy o diamentach jako *„duchach światła"* (exemplum nimb cudownego–wszechmocnego diamentu Billûr Bit Nûra), a bogaci Hindusi ceremonialnie posypują swoje noworodki diamentowym pyłem.

Pierwsze starożytne informacje o diamentach tyczą terenów Chin oraz Indii (wzmianki o wierceniu diamentami i szlifowaniu diamentów), a pierwszą informację o handlu diamentami zawiera księga podatkowa kaligrafowana pismem sanskrytu 400 lat p.n.e. Na Stary Kontynent trafiły za czasów antycznych, lecz modne stały się tu dopiero w XII wieku, gdy były łupem krucjat. W XIII stuleciu pisał o nich Marco Polo. Od końca XIV wieku światowym centrum handlu diamentami zaczęła się stawać Antwerpia, mająca zrazu silnych konkurentów w Wenecji i Lizbonie. Pochodziły wówczas głównie z Indii (według francuskiego podróżnika Taverniera — tylko w jednej indyjskiej kopalni blisko Kolar pracowało 60 tys. robotników!), później też z Borneo, z Brazylii (od 1725), z Rosji (od 1829), z Australii (od 1851), z Afryki Południowej (od 1867), z Kongo (od 1907), z Ghany (od 1910), z Angoli (od 1912), z Sierra Leone (od 1930), z Botswany (od 1967), z pogranicza Kolumbii/Wenezueli (od 1970) i z Kanady (od 1991).

Dzisiaj wydobywa się na całym świecie ponad 100 milionów karatów, czyli ponad 20 ton diamentów (lecz tylko mniej niż połowa urobku nadaje się dla jubilerskiej obróbki). Według ekspertów ich sprzedaż biżuteryjna jeszcze bieżącego roku osiągnie poziom 250 mld dol. Dyrygują globalnie tym biznesem wielcy gracze, wśród których czołowym jest legendarny już koncern De Beers. Powstał w Botswanie (jako De Beers Consolidated Mines Ltd.) kiedy na terenie Południowej Afryki odkryto gigantyczne złoża (lata 70–e wieku XIX), i szybko zyskał status monopolisty, utrzymując go przez 130 lat. Podczas *„zimnej wojny"* mocarny szef De Beers, Ernest Oppenheimer, zmusił do uległości nawet Kreml, przejmując kontrolę nad potężnymi złożami syberyjskimi, które odkryto w latach 50–ych XX wieku. Dużo więcej kłopotów kartel miał z Australią (odkrycie tam megazłóż w latach 70–ych) i zarzucaniem mu apartheidu (tzw. *„krwawe diamenty"* — vide gwiazdorski film Edwarda Zwicka **„Krwawy diament"**, 2006). Razem z zarzutem o *„stosowanie praktyk monopolistycznych"* dało to cofnięcie się firmy do ledwie 35% światowego wydobycia, choć sprzedaż biżuterii diamentopochodnej utrzymała

Południowoafrykańska kopalnia diamentów należąca do De Beers (1873)

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 0a6efddd4a

rekordową. Diamentopochodnej, bo diament biżuteryjny to zwykle już brylant.

MAGIA BRYLANTÓW

Brylant to nic innego jak diament, który utracił swą surową formę wskutek *„obrobienia"* (oszlifowania). Wiadomości o szlifierzach starożytnych są mętne. Pierwszy europejski warsztat szlifierski powstał prawdopodobnie na początku wieku XV, a jego rzemieślnicy stosowali odpadowy diamentowy pył przyklejany do płaskich powierzchni, co dawało fakturę typu dzisiejszego papieru ściernego (chińscy szlifierze z kultur Liangzu i Sanxingcun stosowali tę samą metodę już 4000 lat p.n.e.). Udoskonalił kunszt szlifierski Flamand Lodewyk van Bercken (Berquen), protegowany księcia Burgundii Karola Śmiałego, wynajdując (1456) obrotową tarczę szlifierską, pokrytą pyłem diamentowym i zwilżaną oliwą z oliwek. Ostateczny szlif brylantowy (56 tzw. *„fasetek"*, czyli ścianek kamienia) został dopracowany w XVI wieku.

Historie sławnych diamentów/brylantów rozpalały wyobraźnię wielu pokoleń od czasów już renesansowych. Największym ubrylantowionym diamentem był Cullinan (3106 karatów), odnaleziony roku 1905 blisko Pretorii (kopalnia New–Premier–Mine) i ofiarowany przez mieszkańców Transwalu *„Koronie Brytyjskiej"* (legenda mówi, że przesłano go do Londynu w zwykłej paczce ze znaczkiem pocztowym). Miał długość 112 mm, szerokość 51 mm, wysokość 64 mm, superczystość i piękny błękitno–biały kolor. Nazwę dano mu od magnata diamentowego Thomasa Cullinana. Król Anglii Edward VII kazał oszlifować giganta mistrzom amsterdamskim (1908), których szef zemdlał gdy w szlifierce Cullinan rozpadł się, zrazu na dwie części, lecz później pękał znowu. Ostatecznie wykonano zeń 96 małych brylantów i 9 dużych. Dwa główne to Cullinan I (530,2 karata, zwany też Gwiazdą Afryki; zdobi królewskie berło brytyjskie) i Cullinan II (317,4 karata, zwany też Drugą Gwiazdą Afryki; zdobi koronę brytyjskich monarchów). Informacja medialna z roku 2007, że znaleziono właśnie diament mający 7000 karatów (czyli ponad dwukrotnie większy od Cullinana), została zdemaskowana jako oszustwo.

Drugie miejsce po Cullinanie zajmuje diament Sevelo (1758 karatów), trzecie Excelsior (995,2 karata), czwarte Prezydent (726,6), piąte Jonker (726), szóste Jubilee (650,8), siódme Centenary (599), ósme Premier Rose (471), dziewiąte Imperial (457), jednak prawie wszystkie one były do oszlifowania dzielone na mniejsze części, zajmijmy się tedy rekordzistami wśród brylantów. Można rzec, iż po obu Cullinanach długo, długo nic, i dopiero idealnie bezbarwny Orłow (180,62 karata), stanowiący setki lat temu oko posągu Brahmy w pagodzie, później zaś dekorację tronu perskiego władcy Nadir Szacha (zwał się wtedy Księżycem Gór), zrabowany, przechodzący z rąk do rąk, wreszcie kupiony w Amsterdamie (lata 70–e XVIII stulecia) przez carycę Katarzynę II za pośrednictwem jej kochanka Orłowa, i wieńczący carskie berło. Następnie Regent (140,5 karata; przed trwającym dwa lata szlifowaniem 410), znaleziony roku 1701 w Indiach przez niewolnika hinduskiego, który zrobił sobie

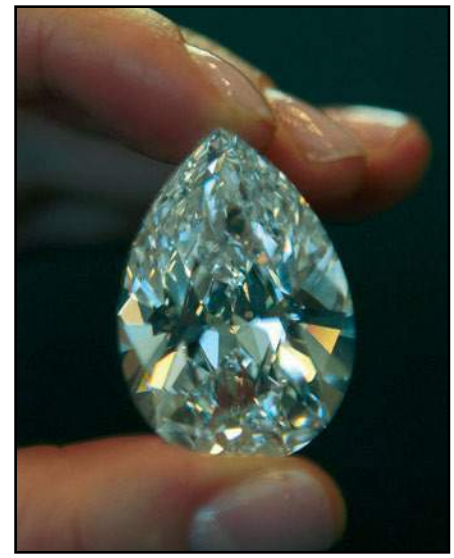

Brytyjska korona królewska przechowywana w londyńskiej Tower (u dołu Cullinan II)

eprasa.pl 0a6efddd4a

dużą ranę (noga lub biodro), by ukryć tam skarb, lecz wygadał się kumplowi marynarzowi, a ten zamordował znalazcę i sprzedał cacko angielskiemu gubernatorowi Thomasowi Pittowi (stąd Anglicy zwą ów kamień: Pitt; trzecia nazwa to: Milioner). Gubernator oszlifował diament i odsprzedał (1717) Księciu Orleańskiemu, ówczesnemu regentowi Francji (stąd nazwa). Królowa Francji, Maria Antonina,

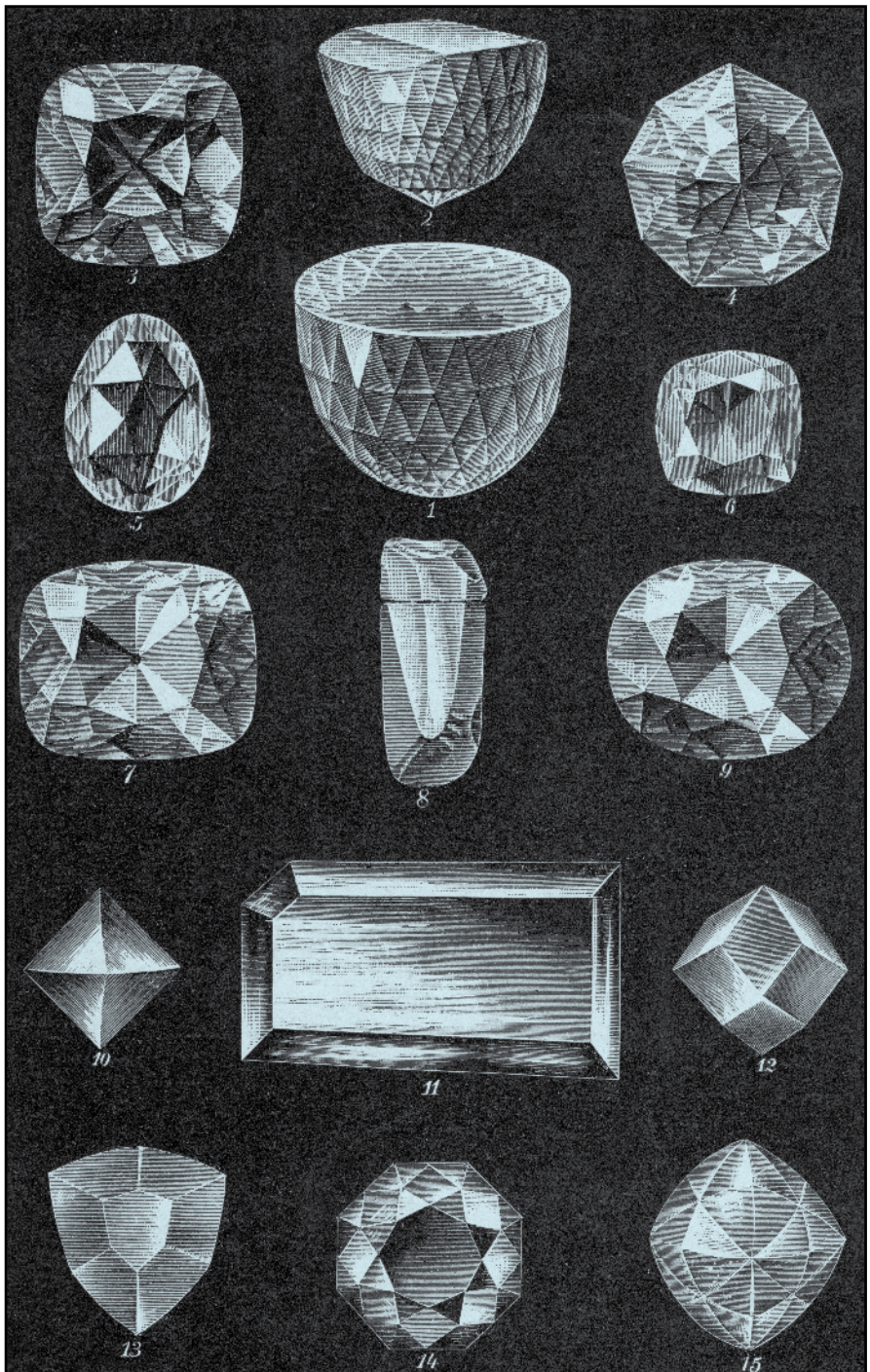

Rozsławione swymi szlifami brylanty, między innymi: Wielki Mogoł (1), Orłow (2), Regent (3), Wielki Książę Toskanii (4), Sancy (5), Gwiazda Polarna (6), Gwiazda Południa (7), Szach (8), Koh-i-noor (9) oraz Pasza Egiptu (14)

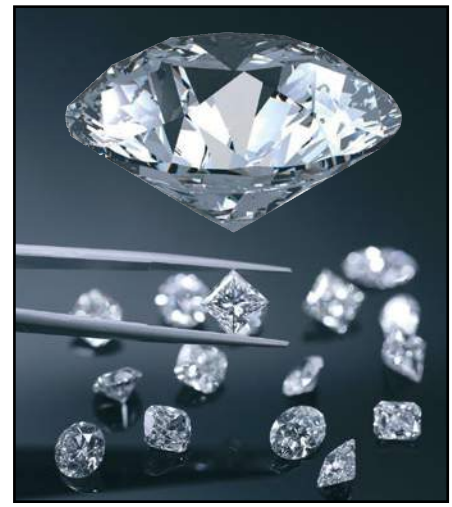

ozdobiła Regentem swój kapelusz, a cesarz Napoleon rękojeść swojej szpady. Gdy hitlerowcy zajęli Francję, ukryto precjozum w kominku pałacu Chambord. Dziś jest ono eksponatem Luwru. Niewiele mniej karatów (139) ma Wielki Książę Toskanii, cytrynowej barwy brylant oszlifowany przez Berckena dla Karola Śmiałego, a potem będący chlubą wiedeńskiego skarbca Habsburgów. The Tiffany's Yellow Diamond to 128,5 karata (przed szlifem 287,4). Z kolei największy kamień znaleziony w Brazylii (1853), Gwiazda Południa, ma 128 karatów (przed szlifem 255). Ustępuje mu nieco głośny indyjski Koh–i–noor (108,93 karata), o którego zwrot Pakistan bezskutecznie kołata w Londynie już wiele dekad (historię tego kamienia opowiem trochę niżej).

Dalsze wagowo brylanty rozsławione *„all over the world"* to już „kurduple" nie sięgające 60 karatów. Sancy vel Beau de Sancy (nazwa od barona Mikołaja de Sancy; nazwa alternatywna: Le Grand) ma 53,5 karata, był też szlifowany przez Berckena i stanowił własność rozmaitych monarchów (burgundzki Karol Śmiały, portugalski Don Antonio, francuscy Henryk III, Henryk IV, Ludwik XIV, Ludwik XV, angielski Jakub II Stuart), przejściowo należał również do siostry Napoleona, a spośród przygód, które przeżył, zapamiętano głównie wierność kuriera króla Henryka IV. Kurier wiózł brylant do pożyczkodawcy (jako zastaw), lecz został napadnięty w lesie przez zbójców i niepostrzeżenie połknął kamień, czego król się domyślił, więc rozcinając żołądek trupa odzyskano precjozum. Kolejny wagowo brylant to szafirowoniebieski Hope vel Blue Hope (45,5 karata; przed oszlifowaniem 112), znaleziony w Indiach, a uznawany za fatalny, bo przynosił śmierć swym właścicielom. Wenecki doża Moro-

eprasa.pl 0a6efddd4a

zini zmarł na zarazę (XVI w.), wódz wojsk florenckich, Marsilio, został zasztyletowany, itd., itp. *„Król Słońce”*, Ludwik XIV, kupił go (1668) dla swej metresy, pani de Montespan, zaś ta celebrowała swoje demoniczne *„czarne msze”* odziana tylko w ten klejnot. Wszyscy kolejni właściciele (królowa Maria Antonina, księżniczka Lamballe, generał Lasalle, pewien rosyjski książę, meksykańska tancerka, turecki sułtan i in.) zginęli gwałtowną śmiercią. A człowiekowi, od którego wzięła się nazwa (londyński bankier Henry Hope), otruto syna. Równie złą sławę miał tylko Chaka (nazwa od pierwszego właściciela, wodza Zulusów, który został zamordowany) — piętnastu kolejnych posiadaczy kończyło we krwi. O 24–karatowym żółtym brylancie Moon of Baroda (dziś: Monroe), zdobiącym naszyjnik, który od XVII wieku nosiły różne księżniczki indyjskie, później habsburska cesarzowa Maria Teresa i wreszcie Marilyn Monroe podczas hołdowania śpiewem *„najlepszych przyjaciół kobiety”* — także się mówi, iż przynosił pecha zakładającym go paniom.

Brylant mający najciekawszą historię spośród wszystkich swoich głośnych „kolegów” to sławny indyjski Koh–i–noor (Góra Światła). Będąc jeszcze diamentem o masie 186 karatów (niektóre źródła podają: 181) został znaleziony w jednej z kopalń Bindżapuru (XIV w.), lecz sagi hinduistyczne szybko przypisały go swemu bohaterowi Vikromaditya'owi (56 lat p.n.e), inne, że należał do samego boga Kriszny, a odkryty został na czole noworodka porzuconego przy brzegu rzeki Jamuna (ów noworodek miał być Karną, synem Boga Słońca), jeszcze inne, że jako 600–karatowy kamień stanowił mistyczne trzecie oko w posągu boga Sziwy. Walczyli o niego zawzięcie Hindusi, Afgańczycy, Persowie i Sikhowie, trafiał do rąk największych władców i wodzów tamtej części świata, m.in. zdobił w Delhi (jako oko rzeźbionego pawia) sławny Pawi Tron Szacha Dżahana (tego samego, który wybudował Tadż Mahal). Legenda mówi, że swą nazwę zdobył w ciekawy sposób: Mohammed Szach ukrył go wewnątrz swego turbanu, lecz któraś jego żona zdradziła to goszczącemu w Delhi Nadirowi Szachowi, a ten podczas uczty zaproponował gospodarzowi tradycyjną/rytualną wymianę wzajemną turbanów, pieczętującą przyjaźń. Mohammed nie mógł odmówić (siły Nadira stały pod miastem, były większe) i tak stracił cacko, zaś Nadir, gdy później rozwinął ów turban i zobaczył klejnot, krzyknął pełen podziwu:

— Doprawdy, toż to istna kuh–e nur!

Stąd wzięło się Koh–i–noor. Ostatnim indyjskim posiadaczem klejnotu był władca Lahory, którą roku 1849 zajęły wojska Kompanii Wschodnio–Indyjskiej i diament trafił do Londynu (1850). Rok później królowa Wiktoria eksponowała go na Wystawie Światowej (co uczyniło Górę Światła najsławniejszym diamentem globu), lecz książę Albert (małżonek królowej) uznał, iż tego światła jest zbyt mało, więc trzeba kamień oszlifować. Szlifowano dwukrotnie (amsterdamska pracownia Costera) — najpierw do 123 karatów, a następnie (gdy książę wciąż kręcił nosem) do 108,93 karata. Wiktoria, szanując stary przesąd, iż ów kamyk przynosi pecha noszącym go mężczyznom, zapisała w swym testamencie dyrektywę, by nosiły go tylko damy. Dziś Koh-i–noor leży (obok Cullinanów) w Skarbcu Korony Brytyjskiej (londyńska Tower). Dla porządku: w skarbcu Katedry Wawelskiej leży wielki czarny diament będący polskim rekordzistą, zaś w skarbcu klasztoru Jasnogórskiego 10–karatowiec (monstrancja króla Jana Kazimierza), przodownik naszych bezbarwnych. Towarzyszy mu ponad metrowej wysokości monstrancja z kilkoma tysiącami brylancików, stanowiąca wotum za ocalenie klasztoru przed szwedzkim Potopem, oraz wysadzana szlachetnymi kamieniami sukienka Panienki Jasnogórskiej, najbardziej ubrylantowionej niewiasty Lechistanu.

BRYLANTOWIENIE DAM

Według satyryków ukraińskich rozmowa idealnego męża z idealną żoną wygląda tak:

— Kochanie, może wstąpimy po drodze do jubilera, żeby kupić ci pierścionek brylantowy…

— Nie.

Jednak to tylko żart. Proza życia to brylantowe żądze samic, trafnie ujęte tą cudowną frazą z kultowej piosenki Williama Christophera Handy'ego **„Saint Louis Blues”** (1914): *„Saint Louis woman, with her diamond ring…”*. Paniom chodzi o dodawanie blasku swej urodzie i o prestiż (rywalizacja z konkurentkami, demonstracja majątku, itp.). Za czasów mojej młodości media światowe (również peerelowskie) rozpisywały się o brylantach gwiazd filmowych (chociażby

Blue Hope

Wybrylantowiona królowa Elżbieta I

eprasa.pl 0a6efddd4a

o biżuterii Elizabeth Taylor, czy o kamieniach Grace Kelly, która została księżną Monako) — dzisiaj ekscytują się karatami żon i metres potentatów (herbowych lub częściej rynkowych). Małżonce azerbejdżańskiego bankiera Dżahangira Chadżijewa, Zamirze, udało się przez jedną dekadę wydoić z męża w Londynie na brylanty 16 milionów funtów, głównie — jak tłumaczyła — *„walentynkowo"*. Gdy upojona likierem Liza Adamienko (19–letnia żona rosyjskiego oligarchy, byłego dygnitarza koncernu Łukoil) przysnęła wieczorem na progu domu i złodziej zdjął z jej palca pierścionek brylantowy wartości blisko miliona dolarów — media Federacji Rosyjskiej skwitowały to chóralnie per: *„łatwo przyszło, łatwo poszło"*.

Tradycję obdarowywania wybranki serca pierścionkiem brylantowym historycy notują wskazując brylant zdobiący pierścień, jaki arcywojewoda Maksymilian Habsburg (późniejszy król rzymsko–niemiecki i cesarz Maksymilian I) wręczył zaręczynowo Marii Burgundzkiej 1477 roku. Kultura zachodnia przyswoiła sobie ten zwyczaj, a różne kamienie zaręczynowe — choćby Błękitny Wittelsbach, który zdobił pierścień córki króla Hiszpanii Filipa IV, Małgorzaty Teresy Habsburg, żony cesarza Leopolda I Habsburga (XVII wiek) — zyskiwały ogólnoeuropejski rozgłos. Były to wszelako cacka nader elitarne, przynależne wyłącznie bogaczom (arystokratom, patrycjuszom, bankierom, etc.), zwłaszcza że podaż diamentów/brylantów nie mogła być wówczas masowa. Sytuacja jednak zmieniła się radykalnie w drugiej połowie XIX wieku (a tym bardziej w XX wieku), gdy zaczęto odkrywać gigantyczne diamentowe złoża (najpierw południowoafrykańskie, później australijskie, syberyjskie i in.), dające obfitość wydobycia taśmowego. Monopolistyczny kartel De Beers zastanawiał się jak upłynnić tę diamentową drobnicę dobywaną tonami. I postawił na miłość, co było fenomenalnym posunięciem.

Koincydencja diamentów/brylantów z miłością funkcjonowała już w starożytnym Egipcie. Noszenie tam brylantowych klejnotów na czterech palcach lewej ręki oznaczało trafianie *„żyły miłości"* prosto do serca, a oblepianie końcówek palców diamentowym pyłem miało gwarantować *„miłość wieczną"*. Wynajęta przez bossów De Beers agencja reklamowa NW Ayer poszła właśnie tym tropem, intensywnie lansując małżeński *„pierścionek wieczności"* (alias: *„pierścionek dozgonnej miłości"*), zdobiony — koniecznie! — grupą małych diamencików, których zespolenie

symbolizowało (według piarowców) wzajemne przywiązanie, wierność, stałość partnerów tworzących związek małżeński, a dominujący (większy) brylant centralny im był okazalszy, tym lepiej. Kampania przyniosła rewelacyjny triumf — w ciągu zaledwie trzech lat sprzedaż brylantowych pierścionków (zaręczynowych, walentynkowych, rocznicowych małżeńskich, itp.) wzrosła aż o 55% — gdy A.D. 1939 stanowiły one ledwie 10% sprzedanych pierścionków, to A.D. 1990 już 80%! Nowa moda, przeistoczona w nową tradycję, najpierw ogarnęła USA, potem Europę, wreszcie Australię, Azję, Afrykę i Amerykę Południową, a za szczyt tego sukcesu uznano przełamanie wielowiekowej japońskiej tradycji zawierania małżeństw według prawa Shinto — NW Ayer potrzebowała ledwie 14 lat, by odesłać tę tradycję do lamusa i wylansować na terenie Kraju Kwitnącej Wiśni nową zaręczynowo–małżeńską modę, której rytualny gadżet to pierścionek brylantowy. Notabene: oba główne hasła filmowe tyczące diamentów (*„diamenty są wieczne"* tudzież *„diament jest najlepszym przyjacielem kobiety"*) to także robota fachowców z NW Ayer.

We wspomnianej wyżej kampanii reklamowej dużą rolę odegrały publikowane gdzie się da fotografie obwieszonych brylantami megagwiazd Hollywoodu (Marilyn Monroe et consortes), a umacniały — dekada za dekadą — zdjęcia majętnych dam, czego przykładem sesja fotograficzna (2000) dzisiejszej pani prezydentowej Melanii Trump dla brytyjskiej edycji magazynu **„GQ"** — Melania jest tam odziana wyłącznie *„garniturem brylantów"* zdobiących szyję i nadgarstki. Trump „kamienował" ją tymi precjozami walentynkowo, podobnie jak parę dekad wcześniej Richard Burton obsypywał brylantami Elizabeth Taylor, choć największy brylant, o masie 33,19 karatów, kupił Elżuni zaręczynowo, wprawiony w pierścień. Na aukcji spadkowej roku 2011 ten pierścień zyskał cenę 8,8 mln dol., co uznano za słaby wynik, krezusi kupują superbrylanty płacąc więcej banknotów. Przyjrzyjmy się tym cenom:

Szczególnie drogie — gdyż szczególnie pożądane przez płeć piękną — są kolorowe brylanty. Na przykład te w rozmaitych odcieniach różu. Dwa lata temu (2018) Pink Star (Różowa Gwiazda, 59,6 karata) została sprzedana aukcyjnie (Sotheby's) za 63 mln dol. Tego samego roku mającą 18,96 karata Różową Spuściznę (Pink Legacy) sprzedano w Genewie za 50 mln dol., bijąc światowy rekord kosztu jednego różowego karata (tu 2,6 mln dol.). Szef europejskich operacji aukcyjnych Domu Aukcyjnego Christie's, François Curiel, uznał wówczas, że *„Pink Legacy to Leonardo da Vinci wśród brylantów"*. Rok wcześniej (2017) owalną 15–karatową Różową Obietnicę sprzedano za 32 mln dol. Roku 2010 Graff Pink (24,78 karata) *„poszedł"* za 46,2 mln dol. Żółte brylanty nie chcą być gorsze. Najsłynniejszy — prawie 130–karatowy The Tiffany's Yellow Diamond — jest dziś osadzony w broszce. Nosiła go m.in. Audrey Hepburn promując (1961) kultowy film Blake'a Edwardsa **„Śniadanie u Tiffany'ego"**. Wśród brylantów zielonych króluje Zielony Drezdeński (40,7 karata), który od stulecia XVII stanowił chlubę saskich koronnych klejnotów, a wśród błękitnych Blue Moon, co prawda „malutki" (12 karatów), lecz rekordowy, bo genewski Sotheby's sprzedał go (2015) za 48 mln dol., czyli każdy jego karat kosztował równe 4 mln dol. Mówi się, że część tych cen stymulowały Walentynki, gdyż część tych precjozów stanowiła brylantowe wytrychy do kobiecych serc. Możliwe, chociaż ja bym nie przesadzał, i studziłbym gorączkę szastających gotówką krezusów, bo tak na zdrowy rozum… ©℗

Blue Moon

eprasa.pl 0a6efddd4a

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 0a6efddd4a

Z prof. Markiem Kornatem, historykiem

rozmawia Marcin Makowski

Winston Churchill, Franklin D. Roosevelt i Józef Stalin w Jałcie

FOT. FOKA/FORUM

eprasa.pl 0a6efddd4a

Jałta była porażką Zachodu

MARCIN MAKOWSKI: Konferencja jałtańska uznawana jest w polskiej pamięci zbiorowej za synonim zdrady. Czy historyk dyplomacji, 75 lat po jej zakończeniu, też by ją tak podsumował?

PROF. MAREK KORNAT: Oczywiście, że tak. Jałta była transakcją, której istotą stało się porzucenie sojusznika – oddanie go pod panowanie totalitarnego mocarstwa. Ci, którzy to zrobili, byli kontrahentami dyktatora, Józefa Stalina. Problem polega jednak na tym, że w naszym dyskursie o Jałcie zbyt często zatrzymujemy się tylko na tej konstatacji, a powinno być jeszcze miejsce na uwzględnienie szerszego spojrzenia na to wydarzenie z perspektywy Zachodu.

Jak w takim razie wyglądały priorytety Wielkiej Trójki?

Klucz do sprawy nie wiąże się z tym, co chcieli osiągnąć Stalin i Churchill, bo to wiemy. Ten pierwszy zamierzał doprowadzić do stworzenia sowieckiej strefy interesów w Europie Środkowo-Wschodniej. Ten cel zrealizował w stu procentach. Ale nie miał jeszcze pewności, jaki będzie los Niemiec po ich opanowaniu przez mocarstwa sprzymierzone. Na pewno nieobca mu była myśl o komunizacji tego kraju w przyszłości. Jeśli chodzi o Winstona Churchilla, to był to najsłabszy z graczy jałtańskich, który nie mając pełnego poparcia Roosevelta, równocześnie starał się robić co tylko możliwe, aby osłabić pochód komunizmu na Zachód. Wydaje się, że Polskę już wtedy spisał na straty. Nie mógł tego jednak powiedzieć ani Polakom, ani własnemu społeczeństwu. O realistycznym myśleniu Churchilla świadczy to, że wydał rozkaz Połączonym Sztabom Armii, aby przygotować plan tzw. operacji Unthinkable (ang. „Nie do pomyślenia") na wypadek, gdyby Sowieci nie dotrzymali ustaleń międzyalianckich, przekroczyli Łabę i szli dalej.

A prezydent USA? Co chciał swoją uległą wobec Sowietów postawą ugrać?

Nie należy polityki Roosevelta tłumaczyć okolicznościami chwili, mówiąc np., że udał się do Jałty i musiał iść na ogromne ustępstwa, bo chciał uzyskać pomoc Związku Sowieckiego w dokończeniu wojny z Japonią. To oczywiście była prawda, ale istotą koncepcji Roosevelta stało się założenie, że cztery mocarstwa ówczesnego świata – czyli USA, ZSRS, Wielka Brytania i Chiny – będą przez dłuższy czas ściśle współpracować i rozwiązywać problemy światowe w duchu pojednania i zgody. W tym tkwi największy absurd ówczesnej polityki amerykańskiej. Jak można oczekiwać cywilizowanej współpracy od człowieka, który potrafił zagłodzić Ukrainę, zabijać swoich ludzi czy przesiedlać całe narody? Bardzo nie lubię bawić się w „historię alternatywną", ale gdyby nie śmierć Franklina Roosevelta, być może nastąpiłoby fatalne pogłębienie współpracy między obydwoma mocarstwami. Nie zapominajmy, że Wiaczesław Mołotow proponował wiosną 1945 r., aby USA udzieliły Rosji 45 mld dol. pożyczki. Można sobie tylko wyobrazić, na co byłaby ona spożytkowana, gdyby ją Sowieci otrzymali.

Prezydent Stanów Zjednoczonych naprawdę nie widział, jaki los szykuje dla Europy Józef Stalin, czy po prostu nie chciał tego widzieć?

Określić prezydenta Ameryki mianem człowieka naiwnego jest trudno, bo jednak jako polityk świetnie radził sobie we własnym kraju.

Rządząc nim najdłużej w historii.

W podejściu do państwa sowieckiego trudno nie dostrzec w nim cynizmu, połączonego jednak z naiwnością oraz życzeniowym przekonaniem, że mając przewagę gospodarczą, USA będą w stanie zapanować nad kształtowaniem celów strategicznych (geopolitycznych) ZSRS. Dla ścisłości: nie jest prawdą, kiedy ktoś mówi, że „Roosevelt nie wiedział, co się dzieje w państwie komunistycznym". Przecież kiedy Armia Czerwona najechała Finlandię na początku 1940 r., rząd amerykański ostro ten ruch potępił. Prezydent wygłosił nawet znane zdanie, że państwo Stalina to „najbardziej zbrodniczy i barbarzyński reżim, jaki zna historia". Nie mógł on też nie mieć świadomości gigantycznych zbrodni, które popełniono pod rządami tego dyktatora.

Jak to możliwe, że ten sam człowiek pięć lat później nazwie tego samego dyktatora dobrotliwie wujkiem Joe?

To jest dla mnie zagadka. Nie sposób się bawić w psychologizowanie, aby to wyjaśnić.

Czy jednak dokumenty mówią coś więcej poza spekulacjami?

Źródła przedstawiają przynajmniej kilka wersji tłumaczących zmianę podejścia do Rosji. Jedna to wspomniana dziwna mieszanka cynizmu, pragmatyzmu i naiwności. Druga to podkreślanie wpływu agentów sowieckich, którzy działali na wysokich szczeblach administracji Stanów Zjednoczonych, co jest akurat bezsprzecznym faktem. Nie sądzę jednak, aby mogli zapanować nad sposobem myślenia samego prezydenta, podsuwając mu koncepcję „czterech policjantów" świata, która powstała w Białym Domu autonomicznie i była podstawą wszelkich koncepcji ładu światowego w ujęciu amerykańskiego przywódcy. Wreszcie jest cały szeroki nurt historiografii – jeszcze niedawno aktywny w USA – który nie tylko afirmuje politykę Roosevelta, lecz także ubolewa, że umarł przedwcześnie i nie wykorzystał dziedzictwa współpracy ze Związkiem Sowieckim. Trzeba jeszcze dodać, że

eprasa.pl 0a6efddd4a

o politykę Roosevelta toczy się nadal spór i występują badacze zimnej wojny, którzy przekonują, iż już po Jałcie przejrzał on na oczy, a ostatnie dwa miesiące życia spędził w przeświadczeniu, że Stalin nie dochowuje przyrzeczeń.

Czy są na to dowody?

Przekonywających dowodów nie ma. Można się co najwyżej powoływać na słowa, które z ust prezydenta usłyszał szef sztabu Białego Domu, adm. Leahy: „Dla Polski nie mogłem zrobić nic więcej". Jednak ostatni list Roosevelta do Stalina, niewysłany już, ale redagowany 11 kwietnia 1945 r., a więc dzień przed śmiercią, nie pozostawia żadnych złudzeń. Uważał on „sprawę polską" za „burzę w szklance wody", apelując o kontynuowanie współpracy amerykańsko-sowieckiej. Są amerykańscy historycy, argumentujący, że Roosevelt, wchodząc w zimną wojnę z większym autorytetem niż Truman, prowadziłby ją jeszcze skuteczniej, ale tego optymizmu nie podzielam. Przecież właśnie na bazie koncepcji „czterech policjantów świata" Roosevelt nakreślił podwaliny Organizacji Narodów Zjednoczonych jako poprawionej wersji Ligi Narodów. Stworzenie tego systemu uważał za możliwe do realizacji tylko przy partycypacji Związku Sowieckiego i kiedy usłyszał zgodę Stalina w Teheranie, uznał ją za największy sukces swojego życia.

Tymczasem był to sukces Stalina.

Owszem, bo w zamian za zgodę uzyskał zapewnienie, że każdą kluczową sprawę cztery mocarstwa będą rozstrzygać jednomyślnie, na co Ameryka przystała. Zatem już w momencie narodzin ONZ była skazana na atrofię. Roosevelt nawet w ostatnich tygodniach życia nie zrozumiał znaczenia swojego ustępstwa, polegającego na przekreśleniu pierwotnej koncepcji ONZ, w której z głosowania wyłączałoby się państwo, którego dotyczy dana sprawa.

Czy pana zdaniem sowiecka dyplomacja była zaskoczona tym, jak wiele udało jej się w Jałcie osiągnąć, czy mimo wszystko liczyła na więcej?

Jeśli Sowieci uświadomili sobie, na jak wiele Zachód będzie im w stanie pozwolić, to wydarzyło się to w Teheranie, a nie w Jałcie, gdzie wbrew pozorom nie była pisana wielka historia. Tam raczej tylko potwierdzono fakty dokonane. Jałta to jedynie symbol. Jak wiemy, w lutym 1945 r. Armia Czerwona ruszyła znad Wisły, kierując się na zachód. Innymi słowy, nawet nieodbycie się konferencji jałtańskiej niczego by nie zmieniło. Żołnierz amerykański nie przyszedłby wyzwolić Polaków ani dać wolności Litwinom. Za późno już było nawet na to, aby alianci spotkali się w Berlinie. Tak jak po pierwszej wojnie światowej przywódcy mogli sobie nakreślić linię Curzona, linię Focha czy linię Bothy, ale żadne z mocarstw zwycięskich nie zamierzało posłać żołnierzy, aby ustalać granice i ład w Europie Środkowo-Wschodniej. Niektórzy twierdzą, że Jałta była ostatnią próbą nakłonienia Stalina do pewnych kompromisów i dania mu do zrozumienia, że Zachód będzie jego partnerem, ale pod warunkiem że on się zgodzi na cywilizowane reguły gry w dalszym postępowaniu. Coś takiego istotnie próbowano zapisać w deklaracji „O wyzwolonej Europie", obiecując w uwolnionych od niemieckiego panowania państwach demokratyczne wybory. Ponoć gdy Mołotow przeczytał projekt deklaracji, powiedział Stalinowi, że nie wolno im tego podpisać, na co Stalin miał odpowiedzieć, że „to tylko papier" („to tolko bumaga").

Czy nie udało się jednak uzyskać pewnych ustępstw? Wspomniał pan o zaangażowaniu się Związku Sowieckiego w wojnę z Japonią.

Tylko co to za ustępstwa? Ten front po wynalezieniu bomby jądrowej i tak był do wygrania przez samych Amerykanów, a dzięki współpracy militarnej i aprobacie operacji na wschodzie Stalin mógł dozbroić chińskich komunistów, którzy zagarniając część Korei, stworzyli zarzewie kolejnej wojny. George Kennan – uczestnik konferencji w Jałcie – zapytany w latach 80. o to, co należało robić, aby nie dopuścić do wzrostu potęgi Sowietów, odpowiedział, iż przecież nie można było pójść na trzecią wojnę światową, ale można było zerwać obrady i opuścić Jałtę.

To było w lutym 1945 r. do pomyślenia?

Amerykanie mogli tak postąpić, ale losu Polski by to samo w sobie nie zmieniło. Zadecydowano „o nas, bez nas". Przemyślenia Kennana (architekta koncepcji powstrzymywania komunizmu) po półwieczu od konferencji miały określony cel. Kennan widział, że Jałta osłabiła Zachód moralnie. Lepiej było nie sygnować ugody, która miała tylko pozory uczciwej gry.

Podpisując przy okazji dokumenty zatwierdzające „rekompensatę" dla Polski, w zamian za utratę Kresów Wschodnich.

To i tak była „szczodra" oferta, biorąc pod uwagę, że w 1943 r. w Moskwie pracowano nad koncepcją tzw. małej Polski. Zakładała ona zagarnięcie ziem na wschód od linii Curzona, wraz z Białymstokiem, ale bez dołączania czegokolwiek oprócz Wolnego Miasta Gdańska. Gdyby nie polska decyzja z 1939 r. o odrzuceniu sojuszu z Niemcami i praca polskiego rządu na uchodźstwie, który walczył o przywrócenie granicy ryskiej na wschodzie, nie powstałaby koncepcja rekompensaty terytorialnej dla Polski. W takim wypadku Jałta mogłaby być dla nas znacznie gorsza.

Na koniec zapytam o rzecz być może najważniejszą: Czy również w Jałcie ostatecznie przekreślona została koncepcja jakichkolwiek realnych i możliwie demokratycznych wyborów w powojennej Polsce?

Takiej możliwości nie było. Stalin cynicznie stwierdził, że Polacy są zbyt dużym i dumnym narodem, aby pozwolić na to, że obcy będą nadzorować ich demokratyczne wybory. Polacy po wojnie poradzą sobie sami. Po tym dictum przywódcy mocarstw anglosaskich skapitulowali, bo brakło im argumentów.

Równocześnie uznając NKWD za siły bezpieczeństwa „zapewniające spokój na tyłach Armii Czerwonej", de facto sankcjonując krwawą rozprawę z polskim podziemiem niepodległościowym. Ci sami ludzie deklarowali jednak, że chcą Polski wolnej i suwerennej. Rozumieli skalę swojej hipokryzji?

Mówienie o demokratycznej Polsce było oszustwem. Ale jakie wtedy były możliwości? Czyż mocarstwa zachodnie mogły wyzwolić nasze państwo, wysyłając tutaj swoich żołnierzy? Oczywiście nie. To brzmi szalenie przygnębiająco, ale zapisanie, że w polskich wyborach mogą uczestniczyć jedynie „partie nienazistowskie", było jeszcze większym ciosem. Obrażało naród polski w dotkliwy sposób. Ale pozwalało nie dopuścić do rejestracji dowolnej organizacji politycznej, która nie była albo komunistyczna, albo kryptokomunistyczna. Poprzestańmy na stwierdzeniu, że Jałta była przede wszystkim porażką Zachodu oraz oddaniem pola pod stworzenie potęgi Związku Sowieckiego, która trwała aż do jego rozpadu w 1991 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Marek Kornat – kierownik Zakładu Dziejów Dyplomacji i Systemów Totalitarnych w Instytucie Historii PAN oraz UKSW w Warszawie.

eprasa.pl 0a6efddd4a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

AK atakuje niemieckie więzienia

Mistrzowie polskiego komiksu historycznego powrócili! Tym razem Sławomir Zajączkowski i Krzysztof Wyrzykowski postanowili przenieść nas z okupowanej Warszawy na prowincję Generalnego Gubernatorstwa. Czwarty tom serii „W imieniu Polski Walczącej" rozgrywa się w Starachowicach i Końskich. W sierpniu 1943 i czerwcu 1944 r. partyzanci Armii Krajowej dokonali tam ataków na niemieckie więzienia.

Obie brawurowe akcje – kierowane przez Antoniego Hedę „Szarego" – zakończyły się pełnym sukcesem. Więzienia zostały rozbite, a aresztowani przez okupanta członkowie konspiracji uwolnieni. A przy okazji w ruch poszły granaty, pistolety maszynowe i rewolwery. Trudno wyobrazić sobie lepszy temat na realistyczny komiks!

Zajączkowski (scenariusz) i Wyrzykowski (rysunek) ukazują drobiazgowe przygotowania do akcji, a następnie ich przebieg. Zacięte walki wręcz, strzelaniny polskich partyzantów z niemieckimi strażnikami na więziennych korytarzach, wysadzanie w powietrze krat. A następnie odskok partyzanckich oddziałów do bezpiecznych lasów. Wszystko to zostało przedstawione w sposób niezwykle dynamiczny, zgodnie z najlepszymi tradycjami europejskich komiksów akcji.

Tak jak w poprzednich dziełach tego duetu autorskiego – w bardzo drobiazgowy, porządny sposób odwzorowane zostały realia epoki. Mundury, broń, stroje, wystrój wnętrz. Wygląd ulic i budynków. Jeżeli mógłbym się do czegoś przyczepić, to do braku głębi psychologicznej i jednowymiarowości postaci.

Wszyscy Niemcy występujący w komiksie są wredni i paskudni, a wszyscy Polacy bohaterscy i nieskazitelni. Na kartach komiksu pojawia się tylko jedna postać antypatyczna – więzienny klawisz i alkoholik. Jednak i on przechodzi patriotyczne katharsis i zamienia się w dzielnego partyzanta. Panowie! Waszych komiksów nie czyta tylko dziatwa szkolna. Macie też dorosłych czytelników. ©℗

★★★★★★

KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI
„W IMIENIU POLSKI WALCZĄCEJ", CZ. 4
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Brunhilda i templariusze

Uczciwie trzeba przyznać, że seriale dla młodzieży epoki PRL stały na znacznie wyższym poziomie niż dzisiejsze produkcje. Najczęściej ekranizowano udane książki o tematyce młodzieżowej, a dawki ideologii serwowano w ilościach śladowych. Najlepszym specjalistą od filmów i seriali dla młodzieży był Stanisław Jędryka, a jedną z najbardziej udanych jego produkcji serial „Wakacje z duchami", kręcony na zamku w Niedzicy koło Czorsztyna. Za najlepszego aktora uznano 13-letniego Romana Mosiora (Perełka), w pamięci widzów pozostała szczególnie czołówka filmu z przejmującą muzyką i widmem księżniczki zamordowanej przez męża.

Pan Samochodzik stanął na wysokości zadania, ratując młodych przyjaciół

To właśnie jego rozpaczliwy głos wołający: „Przebacz mi, Brunhildo" wzbudzał dreszcze wśród oglądających. Określenie to weszło do języka potocznego, na podwórkach i placach zabaw można było usłyszeć podobne nawoływania, spotkał się z nimi zresztą także reżyser filmu.

Gdy wiele lat po premierze trafił do szpitala, podeszła do niego pewna lekarka i wyszeptała: „Przebacz mi, Brunhildo". W efekcie do końca jego pobytu w placówce podobnie zwracali się do niego pacjenci i pielęgniarki.

Jędryka miał zresztą częste problemy ze zdrowiem (z tego powodu opóźniona została realizacja „Szaleństwa Majki Skowron"), być może dlatego do ekranizacji „Pana Samochodzika i templariuszy" zabrał się Hubert Drapella. Na planie ponownie pojawił się Roman Mosior, tym razem wcielając się w rolę Sokolego Oka – jednego z trzech młodocianych przyjaciół tytułowego bohatera.

Akcja filmu częściowo toczyła się na jeziorach, co dało możliwość do zaprezentowania zarówno plenerów, jak i zalet wehikułu pana Tomasza, który mógł poruszać się po wodzie. Niewiele jednak brakowało, by z tego powodu doszło do tragedii, gdy na środku jeziora pojazd niespodziewanie zatonął.

Znajdowali się w nim wówczas odtwórca głównej roli, Stanisław Mikulski, oraz jego trzej przyjaciele – harcerze. Żaden z chłopców nie potrafił pływać, na szczęście filmowy Pan Samochodzik stanął na wysokości zadania, ratując młodych przyjaciół. Pomogło mu w tym to, że chłopcy mieli ze sobą plecaki wypełnione papierami, które utrzymywały ich na powierzchni. Nikt nawet nie dostał kataru, chociaż matki chłopców obserwujące całe wydarzenie z brzegu zemdlały z wrażenia. Pojazd wydobyto z mulistego dna dopiero po kilku dniach, natomiast premiera telewizyjna serialu odbyła się 20 lutego 1972 r. i do dzisiaj produkcja cieszy się dużym powodzeniem. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

Piotr Włoczyk

Wielka nadzieja antypisu

Jej zdecydowane wypowiedzi w sprawie praworządności odbierane są z euforią przez polską opozycję. Czy Věra Jourová przebije w walce o brukselską wizję demokracji swojego holenderskiego poprzednika?

Timmermans ma w Brukseli godną następczynię", „Jest konsekwentna, cierpliwa i osiąga, co chce", „PiS jeszcze zatęskni za Timmermansem" – nasze lewicowe media od kilku miesięcy rozpływają się nad Věrą Jourovą, widząc w niej wielką nadzieję na zatrzymanie PiS. 55-letnia Czeszka od grudnia zeszłego roku jest wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej odpowiedzialną za „wartości i przejrzystość". W nowej komisji dostała zadania, którymi u Jeana-Cleaude'a Junckera zajmował się Frans Timmermans.

„Zdecydowana, bezkompromisowa, dla której przestrzeganie praw, zasad, konstytucji jest podstawą. Myślę, że PiS zatęskni za Timmermansem, który z uwagi na swoje rodzinne doświadczenia i swojej żony był bardzo związany z Polską i zachowywał się bardzo delikatnie. Zgadzam się z tymi, którzy mówią, że przy Jourovej Timmermans był bardzo sympatyczny i delikatny" – powiedziała w rozmowie z Natemat.pl Elżbieta Łukacijewska, europosłanka PO. Łukacijewska nie zgodziła się na rozmowę w tej sprawie z „Do Rzeczy".

– Jeszcze za wcześnie na gruntowną ocenę, ponieważ nowa komisja dopiero zaczyna działać, ale pierwsze kroki Věry Jourovej wobec Polski były bardzo niestosowne – mówi „Do Rzeczy" Witold Waszczykowski, europoseł PiS, były minister spraw zagranicznych. – Jourová podjęła misję Timmermansa i wykonała wobec Polski nieprzyjazne kroki, najwidoczniej nie znając prawodawstwa europejskiego. W żadnym prawnie wiążącym dokumencie nie ma definicji praworządności. W każdym państwie wymiar sprawiedliwości wygląda inaczej i nie ma w tej sprawie jednego standardu. Jej misja zaczyna się więc od kolizji prawnej – mówi Witold Waszczykowski.

Ta „kolizja" zaczęła się na dobre 28 stycznia, kiedy następczyni Fransa Timmermansa przyjechała do Polski, by porozmawiać z oboma stronami sporu wokół reformy wymiaru sprawiedliwości. Jourová spotkała się z przedstawicielami władz (m.in. z marszałek Sejmu i ministrem sprawiedliwości), a także z przeciwnikami reform (m.in. z marszałkiem Senatu oraz pierwszą prezes Sądu Najwyższego). Obóz rządzący zarzucał jej jednak, że mimo deklarowanej chęci wysłuchania wszystkich zainteresowanych Jourová nie była zainteresowana rozmową z członkami KRS czy Izby Dyscyplinarnej.

– Nie mam innego wyboru, muszę powiedzieć, że kampania przeciwko sędziom jest czymś szkodliwym – powiedziała w Polsce Jourová, dając jasno do zrozumienia, że nie uważa propozycji Zbigniewa Ziobry (by w Polsce sędziowie byli wybierani na podobnych zasadach jak w Niemczech) za kompromis.

Wiceszefowa KE opowiedziała też o szczegółach prac nad unijnym systemem stałego monitoringu praworządności, wolności sądów i mediów, który ma zostać uruchomiony we wrześniu. Ta kwestia jest ewidentnie na szczycie listy jej priorytetów.

KAMIENNA TWARZ

Czas pokaże, czy Jourová da się we znaki rządowi PiS bardziej niż Timmermans, ale jeżeli chodzi o osobowość, to oboje nie mogliby się bardziej różnić. Holender tyrady w sprawie demokracji i praworządności zamieniał w istne spektakle. Czeszka jest na tym tle wyjątkowo powściągliwa – zazwyczaj chłodno odczytuje z kartki kolejne krytyczne stanowisko Brukseli wobec polskich władz, nie okazując emocji. Zdaniem ekspertów właśnie te cechy sprawiły, że unijne elity uznały, iż to właśnie ona będzie lepszą twarzą walki o praworządność – Jourovej trudniej zarzucić brak obiektywizmu, tym bardziej że sama pochodzi z tej części Europy.

Przez ostatnie pięć lat to Timmermans był twarzą walki UE z reformami PiS i to głównie jego wypowiedzi w tej sprawie przebijały się w mediach, ale Jourová nie od dziś krytykuje rząd PiS.

eprasa.pl 0a6efddd4a

W poprzedniej komisji, kierowanej przez Jeana-Claude'a Junckera, Czeszka sprawowała tekę komisarz ds. sprawiedliwości, spraw konsumenckich i równości płci. Przez ostatnie pięć lat wielokrotnie brała stronę przeciwników rządu PiS.

„Pieniądze podatników z UE nie mogą pójść gdzieś, gdzie będzie tworzony dyktatorski reżim. Niezawiśli sędziowie nie mogą zależeć od polityka, który będzie decydował, który z nich ma być zwolniony" – mówiła w czeskiej telewizji latem 2017 r. w momencie najgorętszych protestów przeciw reformie PiS.

Wiceszefowa KE Věra Jourová i marszałek Senatu Tomasz Grodzki

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

„Jesteśmy świadkami systemowego zagrożenia dla rządów prawa w Polsce. Podział na władzę sądowniczą i wykonawczą jest w Polsce zagrożony" – napisała na Twitterze w lipcu 2017 r.

Jourová w swojej krytyce „populizmu" nie zapominała też o Węgrzech. „Ten, kto nie zamierza szanować ani prawa, ani naszego demokratycznego stylu życia, nie powinien być w Europie" – powiedziała w 2017 r. w wywiadzie dla „Spiegla". Mówiła w nim zarówno o sytuacji w Polsce, jak i na Węgrzech.

Gdy zmiany systemowe w obu krajach zostały uznane przez Brukselę za prawdziwe zagrożenie dla dotychczasowego unijnego ładu, to właśnie Jourovej powierzono – w 2018 r. – zadanie zaprojektowania przepisów pozwalających na ocenę praworządności, a następnie powiązanie ich z wypłacaniem środków unijnych.

„Wypowiadała się o tym, co się w Polsce dzieje. Sygnalizowała, że pod rządami PiS dochodzi do naruszeń demokracji. Ale bardzo ważne są również dla niej mniejszości, gender. Absolutnie pani Jourová jest za wszelkimi wolnościami i szacunkiem dla drugiego człowieka, dla jego wyznania, orientacji i poglądów. Nie chciałaby też, by to, co dzieje się w Polsce, przeniosło się do Czech" – powiedziała Natemat.pl europosłanka PO Elżbieta Łukacijewska.

Jeżeli chodzi o „prawa reprodukcyjne" i „równość płci", to środowiska feministyczne i LGBT miały w komisarz Jourovej wymarzoną sojuszniczkę. „W niektórych krajach widzimy nawet regres starych, konserwatywnych wartości, które głoszą, mówiąc wprost, że miejscem kobiety jest kuchnia i sypialnia" – stwierdziła rok temu. Gdy w 2016 r. Parlament Europejski debatował na temat aborcji w Polsce, Jourová wsparła „czarne parasolki", przychodząc do PE ubrana cała na czarno.

W tym samym roku wzięła też udział w paradzie gejowskiej w Amsterdamie, płynąc na jednej z dziesiątek barek-platform.

Jej siłę przebicia w KE, szczególnie w sprawie pilotowanego przez nią rozporządzenia o RODO, docenił w 2019 r. tygodnik „Time", umieszczając ją na liście 100 najbardziej wpływowych ludzi na świecie, w kategorii... „tytani" (obok niej znalazł się m.in. Mark Zuckerberg).

ARESZT KATAPULTĄ

Trzeba przyznać, że na tle innych czołowych unijnych urzędników jej kariera jest wyjątkowo barwna. Ta absolwentka studiów kulturoznawczych zaczynała od pracy w samorządzie w rodzinnym Trzebiczu na Morawach, by tuż po wejściu Czech do UE znaleźć się w gabinecie wiceministra odpowiedzialnego za pozyskiwanie funduszy unijnych.

Momentem zwrotnym w jej karierze był 13 października 2006 r., gdy w świetle kamer została aresztowana na lotnisku w Pradze pod zarzutem przyjęcia 2 mln koron (ok. 300 tys. zł) łapówki za załatwienie unijnych dotacji na renowację zamku w Budziszowie. Jourová w areszcie spędziła 33 dni i wspomina ten czas jako piekło. Jak sama przyznaje, zaczynała zastanawiać się nad najlepszą metodą na zabicie się. Po miesiącu wyszła na wolność i odzyskała dobre imię, a w 2014 r. wywalczyła od państwa niemal 100 tys. euro odszkodowania. Ta historia sprawiła, że niemal z dnia na dzień stała się dla wielu Czechów symbolem walki o sprawiedliwe państwo.

„W efekcie tego doświadczenia zdecydowałam się studiować prawo, ponieważ chciałam wiedzieć, jak powinno działać prawo. To był ogromny cios w moim życiu, ale to był też początek mojej nowej kariery – zostałam prawniczką" – powiedziała w wywiadzie z „Huffington Post".

Jej wielką popularność postanowił wykorzystać Andrej Babiš, czeski miliarder (jego majątek Forbes szacuje dziś na ok. 3,5 mld dol.), właściciel m.in. gigantycznego koncernu rolno-spożywczego Agrofert, który postanowił wejść do polityki. Założona przez niego partia ANO zdobyła w 2013 r. drugie miejsce, w czym wydatnie pomogła Jourová, która została wiceprzewodniczącą partii. Babiš (w 2014 r. został ministrem finansów, a od 2017 r. jest premierem) promował Jourovą w Brukseli i to dzięki niemu weszła w skład KE. Ostatnio jednak ta relacja zaczyna być dla niej coraz większym obciążeniem. Babiš bowiem sam ma olbrzymie problemy w Brukseli – KE zarzuca mu, że sprawując funkcję premiera, popadł w konflikt interesów, ponieważ Agrofert pobiera olbrzymie dotacje unijne. Jego niejasne interesy spowodowały głośny opór społeczny w Czechach – w zeszłym roku niemal ćwierć miliona demonstrantów zebrało się w Pradze, by żądać jego dymisji.

– Koledzy europosłowie z Czech przekonują, że kierowanie przez Jourovą uwagi Europy na Polskę ma być zasłoną dymną chroniącą samego Babiša – mówi Witold Waszczykowski. Były szef MSZ przekonuje również, że sama Jourová w rzeczywistości nie gra pierwszych skrzypiec w akcji przeciw „populistom".

– Jourová jest w tych sprawach „wypchnięta" naprzód jako szpica przez innego komisarza – Didiera Reyndersa, byłego ministra spraw zagranicznych Belgii. Reynders od dawna jest ogarnięty obsesją badania praworządności na całym świecie. Chce zacząć ten eksperyment od Europy. Nie można na to pozwolić – mówi europoseł PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. ALEXANDER KOERNER/GETTY IMAGES

NIEMCOM ZABRAKŁO CZOŁGÓW

Tabloid „Bild" ujawnił prawdę o obecnej niemieckiej armii. Potęga to nie jest. Ponieważ spośród wozów bojowych Puma sprawnych mają tylko 20 proc., to na niedawnych ćwiczeniach żołnierze musieli udawać czołgi, jeżdżąc zwykłymi samochodami. Niemieckie media przypomniały przy okazji, że podczas ćwiczeń NATO w 2014 r. w Norwegii żołnierze Bundeswehry nie mieli wystarczającej liczby karabinów i część z nich ćwiczyła z miotłami.

CHCIELI NOBLA DLA GRETY

Dwaj lewicowi parlamentarzyści z Danii – Jens Holm i Hakan Svenneling – uznali, że namawianie do zmniejszenia emisji CO_2 jest działaniem na rzecz pokoju na świecie. Dlatego zgłosili znaną aktywistkę Gretę Thunberg do Pokojowej Nagrody Nobla. Już wiadomo, że Greta na nagrodę nie ma co liczyć. Przedstawiciele inicjatywy The Nobel Peace Prize Watch jasno stwierdzili, że przyznanie takiej nagrody młodej Szwedce byłoby brakiem poszanowania dla testamentu Alfreda Nobla. Uznali, że działanie na rzecz ochrony klimatu to nie działanie na rzecz „rozbrojenia".

SŁUGA NARODU GARDZI NARODEM

Rządząca Ukrainą partia, której nazwa brzmi Sługa Narodu, ma wizerunkowy kłopot. Jej polityk Jewhenij Brahar wystąpił w telewizyjnym show („Głos Ludu"). Zadzwoniła wówczas telewidzka-emerytka, która poskarżyła się na niskie świadczenia i wysoką cenę gazu. Brahar poradził jej, że gdy np. ma rasowego, drogiego psa, to może go sprzedać i zapłacić rachunki.

ROSJA NIE ZAPROSI POLSKI?

Rosjanie przygotowują się do 75. rocznicy z zwycięstwa ZSRS w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Rzecznik Kremla opowiadał niedawno dziennikarzom, że zaproszenia na majowe uroczystości zostały dawno temu wysłane do światowych przywódców, ale do Polski jeszcze nie. Może i dobrze? Polacy chyba nie powinni świętować momentu, w którym kraj z okupacji niemieckiej stał się obszarem okupacji sowieckiej.

UWOLNIĆ KROKODYLA

W rejonie miasta Palu w Indonezji żyje krokodyl, któremu na szyi utknęła opona motocyklowa. Podobno lokalne władze od kilku lat zastanawiają się, jak pomóc gadowi. A obrońcy praw zwierząt alarmują, że bez pomocy krokodyl w końcu zdechnie. Lokalna agencja ochrony przyrody miała zająć się tym problemem. Wymyśliła – da nagrodę temu, kto zdejmie oponę, nie zabijając gada. Na razie nie zgłosił się żaden śmiałek. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Pogonić tych złych komorników!

Zły, wstrętny komornik zabierał ubogiej 11-letniej dziewczynce część renty po zmarłym nagle ojcu na poczet jego milionowego długu. Ci komornicy to w ogóle straszna swołocz! Po co oni właściwie są? Pogonić ich wszystkich! Pomyślmy, jak byłoby pięknie: żadna biedna dziewczynka ani uciskany przez bogaczy krwiopijców beneficjent „500+" nie musiałby już spłacać żadnego swojego długu. I bardzo dobrze! Jeśli ktoś udziela pożyczki – na ogół jakiś bank – to ma przecież dużo pieniędzy. Od jednego niespłaconego długu nie zbiednieje. W takim banku to krezus na krezusie, sami wstrętni bankierzy, tłuści i obleśni.

Że co? Że ojciec dziewczynki był nieodpowiedzialny, bo odpowiedzialny człowiek nie zaciąga kredytu na milion złotych, nie mówiąc o tym partnerce i nie zabezpieczając najbliższych na wypadek, gdyby mu się coś stało? A skąd mógł wiedzieć! Głupi milion, bank stać, żeby sobie takie drobne odpuścić.

Że jak? Że 11-latka mogła odrzucić spadek? A kto by tam się na tym znał! Jakieś tam odrzucanie spadku czy inne wymysły tych złodziei prawników! Pogonić tę całą prawniczą hołotę, niech prawa i sprawiedliwa władza decyduje, komu oddać, a komu nie. I wszystkim będzie lepiej. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

KONIEC systemu

WTOREK 21:30

Zapraszam
Dorota Kania

REPUBLIKA

www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jezus z crowdfundingu

Agnieszka Niewińska

Zebrali w sieci 11 mln dol. Bez oglądania się na Hollywood i wielkich dystrybutorów wyprodukowali pierwszy sezon serialu o Jezusie. Można go obejrzeć w specjalnej aplikacji na smartfony

Chociaż „The Chosen" („Wybrany") to serialowa opowieść o życiu Jezusa Chrystusa, to w pierwszym odcinku nie zobaczymy betlejemskiej groty ani nawet sceny zwiastowania. Jezusa poznajemy razem z Marią Magdaleną. Opętana przez złe duchy, cierpiąca, nigdzie nie znajduje ratunku. Jej życie się zmienia, kiedy nieznajomy woła ją po imieniu.

Jezus (w tej roli Jonathan Roumie) w „The Chosen" krzesze ogień, żartuje z ciekawskich dzieci, które zakradły się do jego oddalonego od osad ludzkich obozowiska. Przyszli apostołowie są dalecy od świętości. Zmagają się z tymi samymi problemami, z którymi musimy mierzyć się także my w XXI w.

Pierwszy sezon można obejrzeć za pośrednictwem aplikacji The Chosen na urządzenia z Androidem i iOS. Serial jest dostępny z polskimi napisami.

INWESTYCJA NA 120 PROC.

Twórcy „The Chosen" podkreślają, że wszystko w tej produkcji jest nowe. To pierwszy wielosezonowy serial o życiu Jezusa Chrystusa, dystrybuowany globalnie poprzez aplikację stworzoną specjalnie dla tej produkcji. Nowy jest też sposób, w jaki go sfinansowano. Po tym, jak pilot serialu („The Shepherd") obejrzany 15 mln razy spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, jego twórcy postanowili w sieci zebrać fundusze na produkcję całego sezonu. W ramach akcji crowdfundingowej, czyli społecznościowego finansowania. Od 19 tys. osób udało się pozyskać prawie 11 mln dol. Tym samym „The Chosen" został projektem medialnym z największym finansowaniem społecznościowym w historii.

Osoby, które zasiliły konto produkcji, nie są jednak darczyńcami, ale inwestorami. Dzięki regulacji prawnej, która weszła w życie w USA w 2016 r., możliwy

eprasa.pl 0a6efddd4a

jest tzw. equity crowdfunding. Osoby, które wsparły produkcję, są udziałowcami i w przyszłości mogą liczyć na uczestnictwo w podziale zysków. Menedżerowie „The Chosen" zadeklarowali, że jeśli serial wygeneruje zysk, to nie pobiorą go dopóty, dopóki wszyscy inwestorzy nie otrzymają co najmniej 120 proc. zwrotu ze swojej inwestycji.

– Duże studia i sieci telewizyjne nie ustawiają się w kolejce, aby wyprodukować serial o Jezusie, a gdyby zdecydowali się go sfinansować, nie pozwoliliby nam kontrolować treści – tłumaczy „Do Rzeczy" Dallas Jenkins, reżyser i współscenarzysta „The Chosen". – Finansowanie społecznościowe pozwala nam na zachowanie kontroli nad produkcją, a jednocześnie daje doskonałą bazę klientów – dodaje.

Filmoznawca dr Łukasz Jasina zwraca uwagę, że zbieranie pieniędzy na religijne produkcje w Stanach Zjednoczonych to nic nowego. – Tyle że wcześniej odbywało się to np. za pomocą rozsyłanych do domów przekazów pocztowych, a dzisiaj przez Internet, który pozwala to robić na dużo większą skalę – mówi. Podkreśla jednak, że to nie brak pieniędzy jest największym problemem religijnych produkcji zza oceanu. – Duże wytwórnie w Stanach Zjednoczonych wcale nie uciekają od tematów religijnych. Kłopot polega na tym, że twórcy to zwykle osoby mocno związane z Kościołem – zwykle protestanckim. Komuś, kto mocno wierzy w Boga, trudno jest zrobić dobry religijny film. Słabym punktem tych produkcji jest wartość artystyczna, bardzo często pełnią one rolę agitacyjną – ocenia filmoznawca.

W serwisie IMDb (Internet Movie Database), największej na świecie internetowej bazie danych na temat filmów, „The Chosen" ma na razie średnią ocen na poziomie 9,9 na 10. Jenkins przyznaje, że twórców zalała „lawina miłości" ze strony widzów, ale zdaje sobie sprawę, że im więcej osób obejrzy serial, tym więcej pojawi się tych, którym się on nie spodoba.

ODCINEK SPONSORUJE JUDI

Polski widz na razie „The Chosen" może zobaczyć bezpłatnie, choć twórcy zachęcają do wsparcia produkcji i zasponsorowania darmowych odcinków innym widzom. Na ekranie pojawia się informacja, że oglądamy dzięki wsparciu Judi z USA czy José z Meksyku. Aplikacja umożliwia także wysłanie podziękowań osobom, które zasponsorowały nam darmowy odcinek.

Globalna dystrybucja „The Chosen" poprzez aplikację ruszyła w listopadzie. – Zysku jeszcze nie ma, jeśli się pojawi, to prawdopodobnie dopiero za kilka lat. Budowa widowni zajmuje trochę czasu – mówi Jenkins. Dodaje jednak, że żaden inwestor, z którymi rozmawiał, nie myślał o zysku, przelewając pieniądze. Chciał po prostu zobaczyć, jak serial o Jezusie dociera do najdalszych zakątków świata.

Jenkins, który jako reżyser i producent współpracował już z takimi gigantami jak Universal, Hallmark Channel czy Amazon, ma na koncie kilka chrześcijańskich produkcji (np. „The resurrection of Gavin Stone"). Tworzył także dla konserwatywnego chrześcijańskiego studia telewizyjnego Pure Flix. Twierdzi, że serialu o Jezusie po prostu dotąd brakowało. – O życiu Chrystusa mieliśmy filmy i miniseriale, ale nikt nigdy nie stworzył wielosezonowego serialu, który pozwala widzom zanurzyć się w historię, bliżej poznać bohaterów Ewangelii. Uwielbiam kompulsywnie oglądać świetne seriale – odcinek po odcinku, ale dotąd nie było żadnej biblijnej serii. Kiedy zaczynałem prace nad „The Chosen", nie wiedziałem, czy są widzowie, którzy czekają na tego rodzaju produkcję, ale teraz wiem, że są – mówi Jenkins.

O filmowych obrazach traktujących o postaci Jezusa Chrystusa lub nawiązujących do niego było jednak ostatnio głośno. Polemiki i protesty wzbudziła dostępna na platformie Netflixa produkcja zatytułowana „Pierwsze kuszenie Chrystusa". Jej autorem jest brazylijska grupa komediowa, która w tym filmie Jezusa pokazała jako homoseksualistę, który na imprezę z okazji 30. urodzin przyprowadza partnera.

Obraz udostępniony przez brazylijskiego Netflixa w Wigilię wywołał w tym kraju burzę. Sprawą zajął się sąd federalny, który nakazał wycofać film z platformy streamingowej. Sąd apelacyjny nie podtrzymał jednak tego orzeczenia. Na temat produkcji głos zabrał nawet prezydent Jair Bolsonaro. Stwierdził, że jest nie tylko niemoralna, lecz wręcz narusza brazylijską rację stanu.

Dostępne w polskim Netflixie „Pierwsze kuszenie Chrystusa" skrytykował wicepremier Jarosław Gowin. „Żądamy, by Netflix usunął bluźnierczy film ze swojej platformy" – napisał na Twitterze, podając link do protestacyjnej petycji skierowanej do Reeda Hastingsa, założyciela i prezesa Netflixa.

Kontrowersje wzbudziła też jedna z ostatnich serialowych propozycji Netflixa – „Mesjasz". Opowiada ona o agentce CIA ścigającej tyłowego Mesjasza, który ponownie przyszedł na świat. Dokonując pierwszego cudu w Damaszku, Mesjasz zdobywa międzynarodowy rozgłos i rzesze wyznawców. Serial zelektryzował zarówno katolików, jak i muzułmanów. Ci ostatni dopatrywali się antymuzułmańskiego wydźwięku produkcji. Tuż przed premierą jordańska Królewska Komisja Filmowa zażądała od Netflixa, by w Jordanii serialu nie pokazywać.

– Wciąż większość ludzi na świecie wierzy w Boga, więc wyprodukowanie filmu, który obraża uczucia religijne, jest prostym sposobem na zyskanie rozgłosu – mówi dr Jasina. – O ile jednak głośny w 1988 r. film Martina Scorsese „Ostatnie kuszenie Chrystusa" jest wart dyskusji, o tyle ostatnie propozycje Netflixa stoją na tak niskim poziomie, że nawet nie warto się obrażać.

NIE TYLKO DLA WIERZĄCYCH?

Twórcy „The Chosen" – wbrew artystycznej modzie na dekonstrukcje i transgresje – oparli scenariusz na Ewangelii. – Sięganie do Ewangelii może nie jest popularne w mediach, ale wśród zwyczajnych ludzi już tak. Miliony na świecie kochają Ewangelię i Jezusa. Wydaje mi się dość oczywistą strategią, by dać im serial bazujący na tym, co kochają – mówi Jenkins. Zaznacza jednak, że serial jest dla wszystkich, nie tylko dla wierzących. – Oczywiście wierzący w Jezusa są tą podstawową widownią, ale wiem, że niewierzącym też spodobał się serial. „The Chosen" jest dla każdego, kto lubi oglądać dobre dramatyczne seriale. Nie trzeba znać książek, by docenić „Grę o tron" czy „Władcę Pierścieni". Nie trzeba wierzyć w anioły i potwory, by oglądać „Stranger Things".

Plany są jednak dalekosiężne. Twórcy chcieliby stworzyć siedem sezonów filmowej opowieści o Jezusie. Na razie gromadzą fundusze na drugi sezon. Jeśli 10 mln dol. uda się zebrać przed Wielkanocą, to powstanie on jeszcze w tym roku. Na razie aplikacja The Chosen pokazuje, że widzowie już niemal zgromadzili środki na pierwszy odcinek drugiego sezonu. Na koncie jest ponad 800 tys. dol.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Luzowanie wirusa?

Jacek Przybylski

Przez epidemię koronawirusa na rynki zawitał strach, ale za sprawą interwencji Banku Chin na giełdy powróciła zdrowa chciwość. Bankierzy centralni wciąż jednak analizują, jak ograniczyć ryzyko nowego pożaru w światowej gospodarce

Epidemia nowego – podobnego do SARS – koronawirusa o roboczej nazwie 2019-nCoV mocno wpłynęła na światowe rynki. I chociaż wielu ekspertów uspokajało, że nie ma powodu do paniki, to jedną z najważniejszych ofiar koronawirusa na przełomie stycznia i lutego stał się optymizm światowych inwestorów.

ZARAZA W FABRYCE ŚWIATA

Chiński wirus mocno naruszył wiarę w możliwość szybkiego wzbogacenia się na ryzykownych aktywach. Na światowych rynkach chciwość i zdrowy rozsądek zastąpił więc strach. Amerykański indeks Dow Jones ostatni styczniowy tydzień zakończył zniżką o 2,5 proc., S&P500 o 2,1 proc. Przez chińskiego wirusa tracili również inwestorzy w Londynie, Paryżu, Frankfurcie i Warszawie.

Pierwszy tydzień lutego chińskie giełdy zaczęły rzezią na skalę, której na parkietach w Państwie Środka nie obserwowano od 2015 r. Shanghai Composite Index stracił niemal 8 proc., a dolarowy Shanghai B-Share Index 9,6 proc. Czerwień zdominowała też giełdy w Japonii, na Filipinach, w Malezji, Tajlandii oraz Indiach, ale nie były to aż tak mocne spadki.

Nowa epidemia może doprowadzić do poważnego spowolnienia gospodarczego

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. AP/EAST NEWS

w Chinach – drugiej pod względem wielkości gospodarki świata, która i bez wirusa rozwija się najwolniej od trzech dekad. Epidemia uderzyła w sektor turystyczny, doprowadziła do odcięcia od świata ważnych miast i zamknięcia kin oraz parków rozrywki. Sprawiła także, że wiele znanych marek, takich jak np. McDonald's, Toyota, Starbucks czy Volkswagen, wstrzymało produkcję w Chinach, zamknęło na kilka dni wszystkie sklepy w Państwie Środka (tak zrobił np. Apple) lub też ewakuowało pracowników z obszaru dotkniętego wirusem (tak jak Nissan i Honda). Poważne problemy mogą mieć firmy handlowe, gastronomiczne oraz linie lotnicze (loty z Chin i do Chin zawiesiło wielu przewoźników, w tym polski LOT).

Długie przestoje w fabrykach będą oznaczać zapewne bardzo mocne hamowanie gospodarki w pierwszym kwartale. I to nie tylko gospodarki Chin. W takim scenariuszu rykoszetem oberwałyby również rynki surowcowe (wirus doprowadził do zmniejszenia popytu na ropę, co sprowadziło jej notowania na nowe tegoroczne minima), ale także gospodarki Japonii, Australii, USA czy Niemiec (które eksportują do Chin np. ogromną liczbę samochodów). Profesor ekonomii Warwick McKibbin z Australian National University szacuje, że wirus z Wuhan może zadać światowej gospodarce trzy–cztery razy mocniejszy cios niż SARS. Z gospodarką niemiecką – głównym partnerem handlowym Polski – silnie powiązane są zaś losy eksporterów znad Wisły. A na domiar złego prawdopodobne jest dalsze osłabianie popytu krajowego. Spowolnienie ze starej Europy coraz mocniej wkrada się więc do Polski, co pokazują m.in. ostatnie odczyty PMI.

GOŁĘBI ŚPIEW BANKIERÓW

Po pojawieniu się informacji o potencjalnym przełomie w walce z wirusem wśród globalnych inwestorów znów zapanował jednak apetyt na ryzyko. Chciwość błyskawicznie zajęła miejsce strachu, co przyniosło ulgę m.in. polskim kredytobiorcom, gdyż frank szwajcarski potaniał nagle z ponad 4 zł do 3,96. Odbiły też indeksy giełdowe od Nowego Jorku przez Frankfurt do Warszawy.

Inwestorzy wrócili do nastrojów, które panowały na rynkach po podpisaniu wstępnego porozumienia między Chinami a Stanami Zjednoczonymi (czytaj: s. 80). Wielu z nich uwierzyło wówczas, że jeszcze o co najmniej rok uda się oddalić nie tylko widmo nowej wojny handlowej, lecz także nadchodzącej recesji, a druga dekada XXI w. zacznie się od poprawy sytuacji w globalnej gospodarce. Inwestorów giełdowych do byczej postawy zachęcać mogły też historyczne dane dotyczące zachowania rynków po impeachmentach Andrew Jacksona oraz Billa Clintona – w obu przypadkach postawienie prezydentów w stan oskarżenia prowadziło do trwającej ponad rok hossy, a dopiero po upływie kilkunastu miesięcy rynek nagle się załamywał.

Szansa na wzrosty jest spora, bo – zgodnie z przewidywaniami analityków – republikańscy senatorzy nie pozwolili Partii Demokratycznej na zbyt długie robienie politycznego cyrku (że tak właśnie się stanie, prognozowaliśmy na łamach „Do Rzeczy" w zeszłym roku). Pod koniec stycznia kontrolowany przez Partię Republikańską Senat ostatecznie uniewinnił prezydenta Donalda Trumpa (za odsunięciem go od władzy zagłosowało 48, a przeciwko 52 senatorów).

Na razie trudno jednak przewidzieć, kiedy skończy się obecna epidemia i czy zada tylko krótki cios Chinom, czy może zapoczątkuje globalną recesję. Na razie najbardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, w którym skutki oddziaływania 2019-nCoV będą stosunkowo duże – niewykluczone, że większe niż epidemii SARS w 2003 r. – ale mocno ograniczone w czasie.

Już teraz widać, że strach przed „wirusowym spowolnieniem" sprawił, że inwestorzy wywierają presję na banki centralne, aby te nie tylko wstrzymały się z podwyżkami rekordowo niskich stóp procentowych – po latach utrzymywania ujemnych stóp procentowych koszt kredytu do zera podniósł ostatnio szwedzki Riksbank – ale wręcz rozważyły ich dalsze obniżanie.

Taki ruch wykonał nagle w zeszłym tygodniu Ludowy Bank Chin (PBOC), który nie tylko niespodziewanie obciął krótkoterminowe stopy procentowe, lecz także – aby jeszcze bardziej ulżyć walczącej z wirusem gospodarce – wpompował do systemu finansowego dodatkowe 150 mld juanów (ok. 670 mld zł). W sumie chiński bank centralny, aby pokazać inwestorom, że nie zostaną pozostawieni na pastwę wirusa, miał dodać do systemu aż 1,2 bln (sic!) juanów. A to nie koniec. Analitycy spodziewają się bowiem dalszego luzowania polityki pieniężnej w Państwie Środka.

Działania Ludowego Banku Chin błyskawicznie doprowadziły do uspokojenia nastrojów na rynkach i istotnego odbicia na giełdach w Stanach Zjednoczonych i na rynkach Starego Kontynentu.

Wiceprzewodniczący Rady Prezesów Rezerwy Federalnej Richard Clarida oznajmił pod koniec stycznia, że amerykański bank centralny przygląda się, jak chiński koronawirus może wpłynąć na prognozy światowego wzrostu gospodarczego, ale jest zbyt wcześnie, aby określić jego wpływ na gospodarkę USA. Presji inwestorów oparł się też na razie Bank Rezerwy Australii, który mimo chińskiego wirusa i trawiących kraj rekordowych

eprasa.pl 0a6efddd4a

pożarów nie zdecydował się na poluzowanie polityki pieniężnej. Wiele wskazuje jednak na to, że Europejski Bank Centralny będzie nadal prowadził ryzykowną politykę ujemnych stóp procentowych. Chińska epidemia zwiększyła także prawdopodobieństwo poluzowania polityki przez FED już w okolicach lipca. Efekt domina wywołany przez wirusa z Wuhan może skłonić do powrotu do polityki ujemnych stóp również inne banki centralne, w tym wspomnianych Szwedów.

Co to oznacza dla przeciętnego Smitha czy Kowalskiego? Decyzje amerykańskiej Rezerwy Federalnej, Europejskiego Banku Centralnego oraz innych głównych banków centralnych mają istotny wpływ na zachowanie cen akcji na giełdach. To dzięki nim rok 2019 był lepszy dla inwestorów niż 2018 – banki centralne USA, UE czy Japonii wróciły bowiem do solidarnego pompowania ogromnych kwot do systemów finansowych. Dalsze luzowanie może więc oddalić widmo nadciągającej globalnej recesji i rozpocząć kolejny etap hossy na amerykańskich rynkach. Hossy, która trwa wyjątkowo długo, ponieważ bezprecedensowo długi jest też okres wzrostu gospodarczego w USA.

DUŻY SUKCES POLSKI

Na polityce rekordowo taniego pieniądza korzysta również Polska, która znalazła się w tym roku w gronie krajów, które swoje obligacje rządowe sprzedają z ujemnym oprocentowaniem.

Pod koniec stycznia 2020 r. niewielka partia polskich papierów skarbowych (o wartości 200 mln euro) została sprzedana z oprocentowaniem wynoszącym –0,31 proc. przy rocznym kuponie o wartości 0 proc. Innymi słowy rząd w Warszawie pierwszy raz znalazł inwestorów chętnych pożyczyć Polsce pieniądze, choć za rok zwrócimy im mniej, niż pożyczyliśmy.

Na początku lutego 2020 r. inwestorzy znów byli gotowi dopłacić, żeby tylko móc swoje pieniądze pożyczyć Polsce. Nasze Ministerstwo Finansów sprzedało obligacje z ujemną rentownością (–0,102 proc.) za 1,5 mld euro. Mimo wyśrubowanych warunków inwestorzy byli gotowi kupić obligacje warte nawet cztery razy więcej. Taki wynik można więc uznać za duży sukces Polski. Dotąd obligacje skarbowe z ujemnym oprocentowaniem sprzedawały bowiem najbardziej wiarygodne kraje, takie jak Szwajcaria, Japonia czy Niemcy. Teraz do tego elitarnego grona dołączyła Polska, co dowodzi, że zagraniczni inwestorzy mają zaufanie do naszej gospodarki.

Również polscy inwestorzy pobili w 2019 r. rekord, jeśli chodzi o zaangażowanie w krajowe obligacje skarbowe. W 2020 r. ten trend zapewne się utrzyma. Skokowy wzrost inflacji, która w grudniu w Polsce wyniosła niespodziewanie aż 3,4 proc. (rok do roku), już sprowadził bowiem realne stopy procentowe do najniższego poziomu w historii. Tymczasem zdaniem niektórych ekonomistów poziom inflacji w pierwszym kwartale tego roku może wynieść 4 proc., a być może nawet 4,5 proc. Jeśli tak się stanie, to wzrost cen istotnie przekroczy górną granicę pasma dopuszczalnych odchyleń od celu inflacyjnego NBP. Mimo to Rada Polityki Pieniężnej w ubiegłym tygodniu pozostawiła stopy procentowe na dotychczasowym poziomie. I nie była to niespodzianka. Prezes NBP Adam Glapiński wielokrotnie dawał bowiem do zrozumienia, że do końca swojej kadencji w 2022 r. zamierza utrzymać stopy na rekordowo niskim poziomie.

Podobnie jak NBP postępują zresztą także bankierzy centralni z innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, którzy stojąc przed wyborem między walką z inflacją a pobudzaniem wzrostu gospodarczego, stawiają na wzrost i ułatwianie życia eksporterom.

Niewykluczone zresztą, że wysoką inflację w Polsce, Czechach czy Rumunii ograniczy nie tylko słabsza koniunktura w Europie, lecz także chiński wirus, który już doprowadził m.in. do obniżenia cen paliw. Do spadku tempa wzrostu cen może dojść już w drugim kwartale tego roku.

Mimo to, biorąc pod uwagę rekordowo niskie oprocentowanie większości lokat bankowych, posiadacze oszczędności w Polsce muszą liczyć się z tym, że realne oprocentowanie ich lokat będzie wynosiło –2, –2,5 proc. w skali roku. I chociaż na trzymaniu pieniędzy w bankach realnie traci się już od 2017 r., to jeszcze nigdy nie były to straty tak duże jak w roku 2020. Mimo to z danych NBP wynika, że na złotowych rachunkach bieżących i terminowych gospodarstw domowych pieniędzy wciąż przybywa.

RYZYKOWNE BAŃKI

Tak niska cena pieniądza zwiększa jednocześnie ryzyko powstawania baniek na różnych rynkach. Tworzą się one na amerykańskiej giełdzie, gdzie astronomiczne wyceny spółek technologicznych przywodzą na myśl bańkę technologiczną sprzed 20 lat. Niemal idealne warunki do powstania bardzo groźnej w skutkach bańki spekulacyjnej istnieją też na polskim rynku nieruchomości. Od 2017 r. średnie ceny mieszkań w sześciu głównych aglomeracjach wzrosły o ponad 30 proc.

Analitycy Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych ostrzegli więc, że jeśli do 2021 r. utrzyma się obecne realne tempo wzrostu cen, to będziemy mieć dużą bańkę cenową, której rozbicie zakończy się gwałtownym spadkiem cen mieszkań oraz domów. Ujemne stopy procentowe zachęcają bowiem do zaciągania wieloletnich kredytów, które trzeba będzie jednak spłacać także wtedy, gdy stopy znajdą się na – potencjalnie – dużo wyższych poziomach. Tymczasem stawki najmu powinny rosnąć coraz wolniej. Według danych HRE Investments nad Wisłą już teraz są one relatywnie bardzo wysokie. Taniej niż w Warszawie można wynająć lokum w 18 europejskich stolicach, w tym w Wilnie, Budapeszcie, Lublanie czy Atenach. Wynajem mieszkania poza centrum pochłania już 47 proc. przeciętnego warszawskiego wynagrodzenia. Średnia dla 40 przebadanych krajów wynosi zaś 44 proc. pensji.

Ujemne stopy mogą wpędzić w poważne tarapaty nie tylko zadłużonych posiadaczy nieruchomości, lecz także wiele rządów. Rekordowo tanie pieniądze zachęcają bowiem rządy wielu państw świata do zadłużania się ponad miarę. Nieuchronne podwyżki stóp doprowadzą zaś w końcu jednocześnie do mocnego schłodzenia gospodarek, jak i do wyższych kosztów obsługi zadłużenia. Połączenie obu tych czynników może być zaś receptą na nowy światowy krach.

Trochę powietrza z bańki na rynku nieruchomości chce spuścić rząd. Jak podał czwartkowy dziennik „Parkiet", przy okazji prac rządu nad nową koncepcją programu Mieszkanie+ pojawiły się głosy dotyczące możliwego schłodzenia rynku, np. poprzez zaostrzenie warunków udzielania kredytów hipotecznych. I choć brakuje szczegółów, to sam pomysł oficjalnego ostrzeżenia Polaków przed potencjalną bańką wydaje się godny uwagi. W przeciwnym razie, gdy w końcu stopy procentowe mocno wzrosną, na ulicach Warszawy będą protestować nie tylko „frankowicze", lecz także ci, którzy stracili dużą część majątku życia na irracjonalnym przekonaniu, że nieruchomości już zawsze będą drożeć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Koniec euroszantażu

Miniony tydzień miał historyczne znaczenie – oto dowiedziono, że można wyjść z Unii Europejskiej i „wyjść z tego cało". A kto wie – bo to pokaże dopiero czas – może nawet na tym skorzystać?

Wbrew tysiącom (setkom tysięcy?) euroanaliz – euroekonomistów, europrawników i europolitologów, wbrew milionom (setkom milionów?) artykułów euroentuzjastów, wbrew miliardom postów i tweetów zwolenników pozostania Wielkiej Brytanii w UE – ta jednak ją opuściła. Wbrew tysiącom analiz, milionom artykułów i miliardom tweetów i postów, w których wzywano Brytyjczyków do opamiętania się i pozostania – a jakże! – dla własnego dobra – w UE. Przestrzegano, że z londyńskiego City piorunem wyparują wszystkie pieniądze, a samo City popadnie w ruinę, podobnie jak cała gospodarka Zjednoczonego Królestwa. Bez mała, że krowy przestaną dawać mleko, a nad Wielką Brytanią przestanie wschodzić słońce i zapadnie wieczna noc.

Czyli Wielka Brytania zrobiła coś, a właściwie trzeba napisać, biorąc pod uwagę liczbę opinii, że tego się zrobić po prostu nie da – dokonała czegoś, co – jak powtarzano do znudzenia – jest niemożliwe. A w każdym razie tak bardzo nieopłacalne, że niemożliwe, by taką decyzję podjąć, a tym bardziej potem wprowadzić ją w życie. Wielka Brytania – po 47 latach przynależności do wspólnoty europejskiej (jej nazwa i charakter się zmieniały) – wyszła więc z UE, minął tydzień i… I nic z owych zapowiadanych, straszliwych rzeczy się nie wydarzyło. W Wielkiej Brytanii nie nastał koniec świata – nad Londynem świeci słońce, gospodarka się kręci, krowy dają mleko, City jak działało, tak działa. A to oznacza… No właśnie – to oznacza, że brukselski euroszantaż przestał działać. Nie da się dalej milionów obywateli państw należących do UE straszyć opowieściami, że nie ma sposobu, aby ich kraje wydostały się z tej międzynarodowej organizacji, a jeśliby nawet był, to przecież nie warto z niego korzystać, bo „nie ma dla nich życia poza UE" (zresztą wcześniej dowiodła już tego Grenlandia, która opuściła wspólnotę w 1985 r.).

I nie piszę tego wszystkiego, by wyrazić swą radość z dokonania brexitu, bo przecież polska gospodarka i – szerzej – Polska na nim nie zyska, a ucierpieć mogą też Polacy mieszkający na Wyspach. Ale przecież nie dobrem Polski i Polaków mają obowiązek kierować się Brytyjczycy.

Nie piszę też tego po to, by zachęcać Polaków do opuszczenia UE. Przeciwnie – uważam, że przynależność do Unii, a jeszcze bardziej do NATO, chroni nas przed przeróżnymi geostrategicznymi zagrożeniami. Ale dostrzegam też koszty tej przynależności – zarówno finansowe, jak i pozafinansowe – i uważam, że trzeba o nich wciąż debatować i starać się je zmniejszać z korzyścią dla Polski. Po to, aby któregoś dnia nie być zaskoczonymi, że straty z przynależności do UE zaczęły górować nad korzyściami. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Micha i zabawa, do czasu

Szacuję, że w ciągu 25 lat napisałem ok. 10 tys. artykułów na tematy ekonomiczne, głównie w prasie polskiej, a także w USA, Anglii, Chinach, Rosji i Kazachstanie. Na podstawie analizy danych wielokrotnie przestrzegałem przed następującymi zagrożeniami: wymieraniem narodu polskiego; poważnymi blackoutami, czyli brakami w dostawie energii; problemami z wodą; działaniami ministra Sami Wiecie Którego, którego skok na nasze oszczędności emerytalne podważył na długo zaufanie do rządów; globalną pandemią, która zacznie się w gęsto zaludnionych miastach Azji; i krachem finansowym spowodowanym nadmiernym zadłużeniem i działalnością banksterów.

Przez całe dekady rządzący w znakomitej większości ignorowali te zagrożenia, stosując w praktyce zasadę „micha i rozrywka". To znaczy, jeżeli ludziom zapewni się michę i przyjemne spędzanie czasu wolnego, to można nie zajmować się sprawami ważnymi, bo i tak wygramy wybory. Mijały lata. I gdzie teraz jesteśmy? W…

Przypomnijmy. Naród polski wymiera najszybciej od czasu, gdy mordowali nas Niemcy i Sowieci. „500+" nie działa, bo zamiast proponowanej przeze mnie polityki demograficznej mamy politykę prorodzinną, która wygrywa wybory, ale nie poprawia demografii. Narastają problemy z brakiem wody i grożą nam poważne braki prądu, szczególnie gdy będzie lato i mało wody, na co się zanosi w tym roku. Polacy nie chcą uczestniczyć w PPK, mimo klauzuli opt-out i zachęt finansowych, bo przekonali się w 2011 r., że jak uzbiera się dużo pieniędzy w emerytalnym systemie kontrolowanym przez rząd, to rząd może te pieniądze zabrać i w zamian dać zapisy na serwerach w ZUS.

W przypadku zagrożeń globalnych, o których pisałem, mamy początki światowej pandemii wirusa. Pomyliłem się tylko w temacie kryzysu finansowego, bo masowy druk pieniądza przez banki centralne odłożył kryzys w czasie. Ale, co się odwlecze, to nie uciecze, patologie narastają, a banksterzy niczego się nie nauczyli poza tym, że są bezkarni.

Na szczęście polskie banki są bezpieczne w porównaniu z bankami na tzw. Zachodzie, więc globalny kryzys nie zrobi nam dużej krzywdy. Jednak pilnie potrzebujemy inwestycji związanych z pozostałymi problemami. Potrzebujemy polityki demograficznej, inwestycji w zbiorniki retencyjne i w moce wytwórcze. Chińczycy zbudowali szpital w 10 dni, nie ma powodu, żeby budowa kilku elektrowni atomowych trwała 50 lat.

Wydaje mi się, że przyjemny dla polityków okres „michy i rozrywki" powoli się kończy. W przyszłości, aby wygrywać wybory, trzeba będzie wykazać się myśleniem strategicznym i reagowaniem z wyprzedzeniem na opisane tutaj ryzyko. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. THE ASAHI SHIMBUN/GETTY IMAGES

Handel po amerykańsku

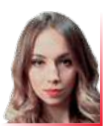

Maria Kądzielska

Jeśli postanowienia nowej umowy handlowej zostaną zrealizowane, to import amerykańskich produktów do Państwa Środka wzrośnie o 40 proc. Prezydent Xi Jinping nie jest zadowolony

Chiński nowy rok Szczura i Żelaza otwiera długo wyczekiwana umowa handlowa między Stanami Zjednoczonymi a Chinami. Daje ona nadzieję na ustabilizowanie sytuacji po dwóch latach pogłębiającej się wojny celnej. Czy jednak tymczasowe porozumienie całkowicie zapobiega możliwości eskalacji pełnowymiarowego konfliktu? Na pewno nie. Tym bardziej że Chińczycy zostali zmuszeni do wytrwania przy stole negocjacyjnym.

SANKCJE CELNE ZOSTAJĄ

Nic nie jest jeszcze przesądzone. Pomimo pozytywnego przejścia procesu negocjacji oba kraje mogą przesunąć pole rywalizacji na poszczególne etapy wdrożenia. Z pewnością utrzymanie tego skromnego porozumienia stanie się wyzwaniem dla obu państw, ponieważ niemal każdy z jego elementów może stać się potencjalnym punktem sporów. Jak wskazują eksperci, nowa umowa bardziej zapobiega eskalacji, niż zmniejsza już istniejące napięcie, ponieważ środki karne, w tym przede wszystkim wysokie cła, pozostają w mocy.

Administracja Donalda Trumpa utrzymała 25 proc. cła na chińskie produkty o łącznej wartości 250 mld dol. oraz kolejne 7,5 proc. cła na produkty o wartości 120 mld dol. Niewątpliwie utrzymanie sankcji celnych na dwie trzecie chińskiego eksportu do Stanów Zjednoczonych jest próbą zachowania kontroli nad Pekinem, gdyby ten nie wypełniał zobowiązań zawartych w umowie.

Obydwie strony zgodziły się także na przeprowadzanie na bieżąco oceny postępu prac, jak również na zorganizowanie szczytu grupy ds. warunków handlu oraz na stworzenie dwustronnego organu ds. rozwiązywania konfliktów. Zawarta umowa na pewno stanie się mocnym punktem w nadchodzącej kampanii wyborczej Donalda Trumpa. Urzędujący prezydent niewątpliwie będzie mógł się pochwalić wielkimi liczbami, wieloma lukratywnymi koncesjami i dobrymi wynikami gospodarczymi.

Natomiast prezydent Xi Jinping jawnie ukazuje swoje niezadowolenie z tej umowy. Najbardziej dobitnym sygnałem jest fakt, że Xi odmówił podpisania tego dokumentu osobiście, ale wysłał do Waszyngtonu wicepremiera Liu He. Zrobił to pomimo tego, że prezydent Trump 13 grudnia publicznie ogłosił, iż obaj przywódcy złożą na porozumieniu własnoręczne podpisy. Tymczasem chińskie media rządowe

eprasa.pl 0a6efddd4a

wprost piszą o „narodowym upokorzeniu". Podkreślają to, że umowa nie tylko nie zdejmuje sankcji z chińskich towarów, lecz także zawiera wytyczne dotyczące kupna amerykańskich produktów przez Państwo Środka. Pojawiają się również głosy oskarżające USA o przystawianie pistoletu do głowy Chińczykom, aby zmusić ich do zaakceptowania nierównego traktatu.

Najwyraźniej Pekin został zobligowany do przyjęcia nierównych warunków nowej umowy z powodu przytłaczających obaw związanych z eskalacją wojny handlowej. Należy bowiem pamiętać, że obydwie gospodarki są ze sobą ściśle powiązane. Tempo rozwoju ekonomicznego Chin spadło do najniższego od trzech dekad. Tym samym Xi Jinping zdaje sobie sprawę, że utrzymanie dobrych relacji między oboma państwami musi stać się najważniejszym celem chińskiej dyplomacji.

Analizując treść dokumentu, rzeczywiście można zauważyć, że porozumienie jest umową jednostronną, ponieważ w dużej mierze skupia się na zobowiązaniach Pekinu do wprowadzenia zmian. 86-stronicowy dokument zawiera 105 wzmianek o tym, „co zrobią Chiny" i tylko pięć wzmianek o tym, „do czego Stany Zjednoczone się zobowiązują", oraz 27 wzmianek co „Stany Zjednoczonych gwarantują". Wydaje się zatem, że zapowiedzi Johna Mearsheimera sprzed roku o tym, że USA nie ustąpią pola walki, pozostają w mocy.

CHIAMERYKA

Kluczowym elementem umowy jest chińskie zobowiązanie do zakupu w ciągu dwóch lat amerykańskich towarów i usług za cenę 200 mld dol., w tym za 77,7 mld dol. towarów wyprodukowanych w Stanach Zjednoczonych oraz produktów rolnych za kwotę 32 mld. Takie zakupy zwiększyłyby amerykański eksport do Chin o 40 proc. w porównaniu z rokiem 2019. Pytanie, czy Chiny w tak krótkim czasie mogą sobie pozwolić na podobne zwiększenie importu amerykańskich produktów? Bez wątpienia Pekin będzie musiał zmniejszyć lub całkowicie zerwać kontakty handlowe z innymi partnerami, co może naruszyć przepisy międzynarodowe o konkurencyjności. Światowa Organizacja Handlu już wyraziła swoje zaniepokojenie. Nie ulega również wątpliwości, że dostarczenie takich ilości produktów rolnych i energetycznych będzie stanowiło wyzwanie dla USA.

Umowa nie porusza jednak zagadnienia szybkiego pogorszenia się stosunków amerykańsko-chińskich, wynikających z rosnących rozbieżności w geopolityce i celach strategicznych oraz pogłębiającego się sporu o wartości i ideologię. Widocznie obydwie strony wychodzą z założenia, że interesy handlowe powinny stać na pierwszym miejscu. Jeśli zapisy tej umowy zostaną zrealizowane, to połączą one jeszcze silniej serią zależności obydwie wielkie gospodarki, które już i tak przez wielu ekonomistów są nazywane Chiameryką.

Chińska kultura jest jedną z najbardziej symbolicznych na świecie. Rozpoczyna się pierwszy rok nowej dekady, a Rok Szczura i Żelaza otwiera 12-letni cykl zodiaku w chińskim kalendarzu księżycowym. Czy podpisanie tymczasowej umowy handlowej zapoczątkuje nowy sezonu dobrej woli w relacjach USA–Chiny? Czy odwrotnie, oba mocarstwa wkraczają w nowy etap konkurencji i konfrontacji? Wydaje się, że bardziej prawdopodobne jest to drugie. Z pewnością jednak Wielki Smok na chwilę opuścił głowę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 0a6efddd4a

Unijne nakazy i zakazy

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 0a6efddd4a

Tomasz Cukiernik

Unijne przepisy mają istotny, ale niekoniecznie pozytywny wpływ na rozwój polskich firm

W ramach dostosowania krajowych przepisów do unijnego prawa 1 stycznia miał wejść w życie obowiązek rejestracji przedsiębiorców w elektronicznej bazie danych o odpadach. Za uchybienie tej regulacji lub działanie w inny sposób niezgodny z ustawą grozi areszt albo kara pieniężna w wysokości nawet miliona złotych. Tymczasem właściciele w ostatniej chwili dowiadywali się o nowym obowiązku, nie działała urzędnicza infolinia w tej sprawie, a wyjaśnienia na stronie internetowej bazy są tak skomplikowane (np. odsyłają do kilkudziesięciostronicowej ustawy, która odsyła do kolejnej kilkudziesięciostronicowej ustawy), że przedsiębiorcy (ani nawet księgowi!) nie byli w stanie w miarę szybko rozpoznać, kogo i w jakim zakresie obowiązuje nowa regulacja. Na dodatek w grudniu politycy zaczęli deklarować, że ustawa zostanie jeszcze znowelizowana.

UNIJNE OBOWIĄZKI

W efekcie pod koniec roku zapanował totalny chaos, a przedsiębiorcy nie wiedzieli, co ich czeka. – Samo zapisanie się do kolejnej bazy [za opłatą – przyp. red.], która nie wiadomo do końca, czemu ma służyć, kto będzie ją sprawdzał, jak będę rozliczany z produkowania odpadów, bo sporo z nich to przecież recykling, i z jakimi kosztami w perspektywie się to wiąże – na to nie umie nikt odpowiedzieć. Same urzędy marszałkowskie mają różne interpretacje tych samych przepisów – mówi Tomasz Grzegorz Stala, właściciel wydawnictwa 3DOM z Częstochowy. – Polecam wszystkim przedsiębiorcom natomiast, żeby nie kupowali już baterii i żarówek na fakturę, bo to może spowodować dla nich duże konsekwencje w ich utylizacji. Moim zdaniem wylano dziecko z kąpielą – ocenia przedsiębiorca.

Ostatecznie na początku stycznia z uwagi na ryzyko chaosu pełne wejście w życie BDO przesunięto o pół roku.

W związku z gospodarką odpadami kolejnym obowiązkiem przedsiębiorców będzie konieczność ponoszenia większości kosztów zagospodarowania odpadów powstałych z plastikowych butelek. W tym celu w Ministerstwie Klimatu trwają prace nad wprowadzeniem systemu kaucji, m.in. na plastikowe butelki po napojach. To oczywiście również po to, by wdrożyć nowe wymogi unijnej dyrektywy o odpadach. Jednak ponieważ już tegorocznym celom recyklingu Unii Europejskiej Polska nie jest w stanie sprostać (od 2020 r. kraje Unii Europejskiej zobowiązane są do recyklingu 50 proc. odpadów komunalnych), i tak grożą nam drakońskie kary finansowe idące w setki milionów złotych rocznie.

Pakiet mobilności będzie głęboką ingerencją w rynek transportowy i uderzeniem w konkurencyjność m.in. polskich firm

Wszystko wskazuje na to, że już w 2021 r. na terenie Unii Europejskiej zacznie obowiązywać tzw. pakiet mobilności 1. Dotyczy on odpoczynku kierowców, delegowania i kabotażu. To głęboka ingerencja unijnych prawodawców w rynek transportowy i uderzenie w konkurencyjność m.in. polskich firm. O transportach – na rzecz urzędników – przestają decydować właściciele firm. W efekcie przewozy podrożeją, a rynek ten przestanie być optymalnie wydajny i efektywny. Na dodatek regulacje będą miały negatywny wpływ na środowisko, bo wymuszą pokonywanie przez ciężarówki niepotrzebnych tras czy jazdę bez towaru, generując większą emisję spalin. Adam Dorywalski, stały przedstawiciel Transport i Logistyka Polska przy UE, uważa, że „pakiet mobilności w takim kształcie jest nadal niekorzystny dla branży transportowej, ponieważ stwarza on liczne bariery administracyjne, a także na wiele lat zwiększa przewagę konkurencyjną przewoźników z nieunijnych państw, których nie obejmą nowe unijne regulacje". Na niewiele zdał się polski lobbing w tej sprawie. – Deklarowana przez komisarz Violetę Bulc ochrona praw socjalnych kierowców została zastąpiona ochroną zachodnich rynków przed konkurencją z peryferyjnych państw Unii – komentuje Maciej Wroński, prezes TLP.

Polscy przedsiębiorcy protestują także przeciwko przygotowywanemu rozporządzeniu ePrivacy, czyli nowym unijnym obowiązkom dla firm związanym z bezpieczeństwem danych klientów. W październiku 2019 r. kilka organizacji pracodawców zaapelowało, by Polska sprzeciwiła się przyjęciu

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję wokół publikacji
Obszar Zachodni Zrzeszenia WiN 1945
pod redakcją
Kazimierza Krajewskiego

19 LUTEGO (środa) godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

W dyskusji udział wezmą:

dr Kazimierz Krajewski
– redaktor tomu
Instytut Pamięci Narodowej

dr Andrzej Chmielarz
Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej

Prowadzenie:
dr Tomasz Łabuszewski
Instytut Pamięci Narodowej

Organizatorzy:
Patroni medialni:

eprasa.pl 0a6efddd4a

przez Radę UE projektu rozporządzenia ePrivacy w obecnym kształcie, argumentując m.in., że rozporządzenie „może uniemożliwić przedsiębiorstwom oferowanie konsumentom atrakcyjnych rozwiązań" i „stoi w sprzeczności z celem firm, jakim jest zwiększenie bezpieczeństwa cybernetycznego produktów i usług". „Uznanie projektu rozporządzenia ePrivacy, w obecnym kształcie wypracowanym przez Radę UE, za punkt wyjścia do rozmów trójstronnych będzie miało jednoznacznie negatywny wpływ na działalność przedsiębiorców przetwarzających dane osobowe i nieosobowe w swej codziennej działalności" – czytamy w stanowisku organizacji pracodawców, gdzie przedstawiono ryzyko związane z tą unijną regulacją. Nad regulacjami ePrivacy jeszcze trwają prace.

UNIJNE ZAKAZY

1 stycznia 2020 r. weszła w życie unijna dyrektywa, która wprowadziła czteroletni całkowity zakaz łowienia dorsza we wschodnim Bałtyku. Uderza to przede wszystkim we właścicieli polskich kutrów wędkarskich, którzy przeprowadzili w tej sprawie protesty w Kołobrzegu, Darłowie, Łebie, Ustce i we Władysławowie (ponieważ pozostali rybacy mają dostawać rekompensaty). Sprawa dotyczy ok. 100 firm i 150 łodzi. Ich właściciele muszą zamykać działalność gospodarczą i szukać nowej pracy. – Zakaz został wprowadzony przez instytucje unijne, ale aprobatę zakazu wydał nasz rząd. Zobowiązał się też, że będzie łagodził skutki społeczno-gospodarcze, a tego nie robi – mówi Aleksander Cichosz, armator kutrów „Nautic 1" i „Nautic 2" z Władysławowa. – Gdyby przerwano połowy paszowe, to wtedy miałyby te ryby co jeść i mogłyby rosnąć. A wędkarstwo rekreacyjne ma marginalny wpływ na populację dorsza. To jest ok. 1–2 proc. całości ryb, które może wyłowić Polska – podkreśla przedsiębiorca. Z kolei Krzysztof Plewka, przedstawiciel Stowarzyszenia Armatorów Jachtów Komercyjno-Sportowych, w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim" stwierdził, że zmniejszająca się populacja dorsza wynika m.in. z błędnych działań Komisji Europejskiej, która w zbyt małym stopniu obniżała limity połowowe.

Jak czytamy na stronie na temat Władysławowa: „Wędkarstwo morskie w Polsce do tej pory było prężnie rozwijającą się branżą. Wielu armatorów brało kredyty lub inwestowało dorobek życia w zakup i niezbędne przeróbki kutrów wędkarskich. Często jednostka wędkarska to typowy rodzinny interes". – 1 stycznia 2020 r. zostajemy wyrzuceni na bruk – mówi Klaudia Busz, armator jednostki „Haller" z Władysławowa. – W tym momencie my, nasze dzieci, rodziny, jesteśmy skazani na cierpienie. Nie mamy z czego opłacić domu, nie mamy za co kupić jedzenia, opału na zimę, nie mówiąc już o ratach i kredytach, które wzięliśmy na kupno statków, ich remont itp. – dodaje.

Przyjęta w 2014 r. unijna dyrektywa tytoniowa wprowadziła m.in. zakaz sprzedaży w całej Unii Europejskiej papierosów mentolowych od 20 maja 2020 r. W rezultacie palacze przerzucą się na zwykłe papierosy, niektórzy być może zrezygnują z palenia, a inni skorzystają z szarej strefy i przemytu ze wschodu. Polska sporo na tym straci, bo jest głównym w Europie producentem papierosów mentolowych, a ten rodzaj papierosów stanowi niemal jedną trzecią rynku sprzedaży papierosów. Jednak unijny Trybunał Sprawiedliwości w 2016 r. odrzucił skargę naszego kraju w tej sprawie. Polska strona argumentowała wtedy słusznie, że zakaz nie tylko nie poprawi funkcjonowania rynku wewnętrznego, lecz także nawet stworzy dodatkowe bariery. Polski rząd twierdził ponadto, że koszty wprowadzenia zakazu będą wyższe niż korzyści z niego płynące.

UE coraz głębiej ingeruje w nasze życie i zabiera nam coraz więcej wolności, niejednokrotnie nie pytając nas o zdanie

Kilka lat temu Unia Europejska zakazała tradycyjnych żarówek i termometrów rtęciowych, a w 2021 r. wejdzie w życie zakaz jednorazowych produktów plastikowych, takich jak sztućce, naczynia, słomki czy patyczki higieniczne. Komisji Europejskiej nie spodobało się też zwolnienie podatkowe dla importowanego alkoholu, który wykorzystywany jest do produkcji leków, i nakazała Polsce dostosowanie przepisów do unijnych regulacji. Jednym słowem, Unia Europejska chce, żeby leki w Polsce były droższe, tak samo jak wywołuje znaczne wzrosty cen energii elektrycznej i ciepła poprzez swoją walkę z życiodajnym dwutlenkiem węgla.

NIE DO ZAAKCEPTOWANIA

Przytoczone przypadki to tylko kilka bieżących przykładów unijnych regulacji, z którymi Polacy muszą się zmagać. A często nie mają one deklarowanego przez eurokratów wpływu na zdrowie, bezpieczeństwo czy środowisko naturalne. Niejednokrotnie skutek jest nawet przeciwny do zamierzonego. Na przykład wdrożenie unijnych regulacji związanych z gospodarką odpadami nie wyeliminowało niekorzystnego zjawiska dzikich wysypisk śmieci, jak zapewniali niektórzy politycy PO, a zakaz sprzedaży papierosów mentolowych spowoduje, że ludzie będą palić więcej papierosów niewiadomego pochodzenia, co z pewnością nie polepszy ich stanu zdrowia.

Dostęp do wspólnego unijnego rynku to zdecydowany atut członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Jednak kolejne wspólnotowe regulacje, które uderzają w kieszeń przeciętnego Kowalskiego czy w finanse i możliwości rozwoju polskich firm, są absolutnie nie do zaakceptowania zarówno z punktu widzenia idei wolnego rynku, jak i polityki „doganiania przez Polskę Zachodu". Co więcej, niestety dochodzi jeszcze problem nieudolnego „podkręcania" unijnych regulacji przez polskich prawodawców. Tak było na przykład w przypadku niektórych przepisów związanych z gospodarką odpadami komunalnymi, których nie wymagała Bruksela, a które spowodowały w ostatnim czasie drastyczny wzrost opłat za odbiór śmieci. Ostatecznie politycy nigdy nie poczuwają się do odpowiedzialności, a wszystko zawsze spada na barki konsumentów.

Unia Europejska coraz głębiej ingeruje w nasze życie i zabiera nam coraz więcej wolności, niejednokrotnie nie pytając nas o zdanie albo go w ogóle nie słuchając. Nikt nie liczy się z naszym głosem, a wszelkie unijne regulacje, również te niekorzystne dla Polski, muszą być wdrażane. Czy więc można powiedzieć, że sami rządzimy we własnym kraju? Czy to jednak Bruksela ma decydujący wpływ na nasze prawo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI JABRA EVOLVE 75E

Niezła redukcja szumów, bardzo dobra bateria, łatwe wywoływanie asystentów Siri/Google Now oraz zestaw mikrofonów, które doskonale zbierają nasz głos, eliminując jednocześnie gwar otoczenia – to największe zalety biznesowych słuchawek duńskiej firmy Jabra.

Bezprzewodowe słuchawki zostały zaprojektowane z myślą o pracownikach zatłoczonych „ołpen spejsów", którzy mimo wszechobecnego hałasu próbują skoncentrować się na pracy. Duński producent chwali się więc takimi certyfikatami jak Unified Communication, Skype For Business, Cisco, Avaya, Adobe Connect etc.

Model Evolve 75e – w którym dokanałowe słuchawki połączone są ze spoczywającym na szyi pałąkiem – został wyposażony w technologię aktywnego usuwania szumów, która nieźle radzi sobie z tłumieniem gwarnego otoczenia. Podczas rozmów telefonicznych dźwięk jest czysty i wyraźny. Testowany zestaw można komfortowo nosić przez kilka godzin bez przerwy. Z powodzeniem może być więc wykorzystywany przez menedżerów odbywających kilka telekonferencji dziennie czy też pracowników call center wykonujących telefon za telefonem. W korpo przyda się także specjalna dioda „busylight", która informuje współpracowników, że właśnie prowadzimy rozmowę telefoniczną. Dzięki trzem wbudowanym mikrofonom nasi rozmówcy słyszą wyraźnie nas, a nie nasze hałaśliwe otoczenie.

Zestaw można jednocześnie połączyć z komputerem PC lub Mac (za pomocą adaptera USB) oraz ze smartfonem (poprzez Bluetooth 4.2). Zasięg bezprzewodowy wynosi ok. 30 m od adaptera i 10 m w przypadku łączności Bluetooth. Umieszczone na pałąku przyciski umożliwiają szybkie wywoływanie asystentów Siri/Google, a także łatwe odbieranie/kończenie połączeń czy też kontrolę głośności odtwarzanych utworów. Z mobilnych słuchawek możemy bowiem korzystać nie tylko w biurze, lecz także po pracy. Jakość odtwarzanego dźwięku jest więcej niż przyzwoita, choć trzeba to jasno napisać: nie są to słuchawki dla audiofilów. Chociaż dźwięk jest klarowny i pełen detali, to zarówno basy, jak i dźwięki wysokich tonów nie zawsze brzmią tak, jak powinny. Nie słuchałbym więc na nich muzyki klasycznej. Pop, dance czy rock brzmią jednak na tyle dobrze, że model ten z powodzeniem nadaje się jako towarzysz ćwiczeń na siłowni czy zimowych biegów po lesie (podczas prowadzenia rozmów telefonicznych na dworze docenimy filtr szumu wiatru stosowany w systemie mikrofonu).

Dużym plusem Evolve 75e jest za to bateria, która na jednym ładowaniu pozwala na 13–15 godzin rozmów i słuchania muzyki. Do pełnego

naładowania baterii wystarczają dwie godziny. Zaletą jest również futerał, który ułatwia dbanie o tak drogie słuchawki.

Wady? Wzornictwo jest typowo biznesowe, a co za tym idzie – niektórym może się wydać nieco nudne. Adapter USB wymaga przestarzałego portu USB, więc dla posiadaczy najnowszych komputerów, w których często są już wyłącznie porty USB typu C, będzie kompletnie bezużyteczny. Szkoda też, że port ładowania nie jest w żaden sposób zabezpieczony.

Mimo drobnych minusów Jabra Evolve 75e to bardzo dobry biznesowy zestaw słuchawkowy. A dzięki temu, że od jego premiery minął już ponad rok, jego cena spadła wreszcie z niemal 1,3 tys. zł do 750 zł. A to już bardzo dobra oferta jak za słuchawki tej klasy. ©℗ ***Jacek Przybylski***

SKŁADANY ROWER ELEKTRYCZNY

Kolejny ultralekki rower elektryczny, który pojawi się na rynku, nosi nazwę SDREAM Ur. Zalety? Jest w dużej części składany, co pozwala także przemieszczać się z nim, bez większych problemów, w środkach komunikacji miejskiej. W dodatku jazda nim ma być bardziej komfortowa niż znanymi już e-bikami, a to dzięki innowacyjnemu gumowemu systemowi tłumienia drgań; nowy model ma neutralizować aż 95 proc. z nich. Jego wytrzymałość z kolei ma być, jak twierdzi konstruktor, trzy razy większa niż w przypadku tradycyjnego zawieszenia. SDREAM Ur jest wykonany z odpornego na rdzę stopu magnezu. Dzięki temu SDREAM Ur jest o 30 proc. lżejszy od rowerów wykonanych ze stopów aluminium i znacznie bardziej wytrzymały od tych, do których produkcji użyto włókna węglowego. Ma wytrzymać ciężar rowerzysty nawet do 100 kg. Zasilany zaawansowanym bezszczotkowym silnikiem prądu stałego, SDREAM Ur może jechać do 32 km/h., a wsparty pedałowaniem może osiągnąć prędkość 40 km/h. Akumulator litowo-jonowy ukryty w słupku siedziska ładuje się w 4,5 godziny i można przejechać na nim (bez konieczności doładowywania) do 80 km, a to dzięki wykorzystaniu zaawansowanego czujnika momentu obrotowego, który precyzyjnie wyczuwa wysiłek włożony w pedałowanie i oferuje optymalne wsparcie elektryczne. Zamawiać można go na portalu Indiegogo w cenie ok. 4 tys. zł. Dostawa w lutym.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

APARAT RETRO

Oglądali państwo film „Osierocony Brooklyn" albo inne dziejące się we wczesnych latach powojennych, na których fotoreporterzy posługują się archaicznymi wobec dzisiejszej techniki fotopstrykami? Też możecie mieć taki. Jollylook Auto – The Modern Vintage Instant Film Camera łączy klasyczne wzornictwo z przyjaznymi dla środowiska materiałami, ręcznym mechanizmem wywoływania, automatyczną migawką i lampą błyskową. W przeciwieństwie do większości aparatów błyskawicznych Jollylook Auto ma precyzyjną ręczną kontrolę ostrości dla uzyskania lepszych rezultatów na wszystkich odległościach. Używając minikliszy Instax, można otrzymać 10 natychmiastowych kolorowych lub monochromatycznych zdjęć analogowych. Obudowa Jollylook Auto jest wykonana z łatwo poddającego się recyklingowi, biodegradowalnego, laminowanego materiału z włókna drzewnego. Jollylook można zamawiać na portalu Kickstarter w cenie ok. 380 zł. Dostawa w listopadzie. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 0a6efddd4a

Podniebne zabawki

Joanna Bojańczyk

To najwyższy symbol statusu finansowego. Prywatny samolot mają oligarchowie i szefowie międzynarodowych korporacji. Dla celebrytów wynajęta maszyna jest rodzajem prestiżowego gadżetu, który można pokazać na Instagramie

Wszystko albo nic. Tego zdania jest rodzina panująca w Arabii Saudyjskiej. Parę lat temu książę Al-Walid bin Talal wznosił się w niebo w skromnym boeingu 747. Na pokładzie: tron dla księcia, 14 obitych skórą foteli w sali jadalnej... Ale to było za mało. Na wysokości jego wysokości miał okazać się dopiero airbus A380, wyposażony w łaźnię turecką, windy i garaż dla rolls-royce'a. Niestety, ambicje poniosły księcia, człowiek odpowiedzialny za projekt dopuścił się nadużyć i został zatrzymany, a sprawa rozwiała się po piaskach pustyni.

Przeciętny człowiek zastanawia się, jaki ślad węglowy zostawiają jego plastikowa torebka i udko kurczaka zjedzone na obiad. Rosyjscy oligarchowie, gwiazdy hollywoodzkie, szefowie międzynarodowych korporacji nie interesują się takimi rzeczami. Nie dla nich zdejmowanie butów na kontroli bezpieczeństwa, spóźnione loty, kolana pod brodą w ciasnym samolocie. I towarzystwo plebsu na dodatek. Oni wsiadają do prywatnego odrzutowca i lecą na kolację do znajomych na drugiej półkuli, na shopping do Nowego Jorku, na weekend na Sardynię. Zamiast rozmoczonej bułki w plastiku dostają posiłek przyrządzony przez prywatnego kucharza, ostrygi i szampana.

ODPORNE NA KRYZYS

Biznes prywatnych odrzutowców nie zna kryzysu. Na świecie zarejestrowanych jest obecnie 21 tys. maszyn. Jeden tylko lot z Wielkiej Brytanii do Stanów Zjednoczonych zostawia w atmosferze tyle dwutlenku węgla co 450 tys. samochodów.

Skąd wziąć samolot? Nic prostszego, przy pewnym pułapie dochodów ma się rozumieć. W londyńskiej dzielnicy Mayfair znajduje się sklep, w którym można kupić samolot. Jak sukienkę, tylko parę zer więcej. Od 10 do 100 mln euro, zależnie od klasy i wielkości. Sklep (beżowe kanapy ze skóry, bar z szampanem) prowadzi Amerykanin z New Jersey, Steve Varsano. Od dzieciństwa chciał latać. Jednak matka, która wychowywała samotnie czworo dzieci, nie mogła opłacić synowi kursów pilotażu. Zapłacił je więc nastolatek, pracując jako kucharz, kelner, nurek.

W końcu dopiął swego – odbył studia aeronautyczne na Florydzie, potem na Harvardzie.

Przez dwa lata od otwarcia sklepu pojawiło się już w nim 1,1 tys. klientów. Kupiono 500 samolotów razem za 5 mld dol. Nic dziwnego, target jest. W roku 2019 na świecie było 2153 miliarderów i 18 mln milionerów. Aż dziwi, że przy tej obfitości światowa flota prywatnych samolotów liczy „zaledwie" 21 tys., z czego najbardziej luksusowych jest 7 tys. Ale czasem nawet one mogą zrobić korek. Na spotkaniu Google Camp w Palermo, na którym omawiano przyszłość planety, na płycie lotniska parkowało 114 odrzutowców. Emisja CO_2 – 784 tony. Na każdym przelocie pasażerowie prywatnego samolotu zużywają 40 razy więcej tego gazu niż pasażer linii publicznych. Ciekawe, jak się do tego mają przemowy z troską o ziemię.

Gdy ktoś lata mniej niż 400 godzin rocznie, bardziej opłaca się samolot wynająć. Bo do ceny samolotu trzeba doliczyć koszty utrzymania – ok. 2 mln. Godzina lotu kosztuje 6,9 tys. euro.

Klienci mają różne życzenia: chcą mieć na pokładzie dyskotekę, siedzenia,

eprasa.pl 0a6efddd4a

które można skierować w stronę Mekki, kolumny z fałszywego marmuru, białe kanapy. Jednak samolot to nie jacht – każdy kilogram to jeden litr zużycia paliwa więcej. Wanna zatem niepolecana, co do obrazów Picassa – firma ubezpieczeniowa odmawia ich ubezpieczenia.

Najwięcej klientów jest z najwyższej półki biznesu. To oczywiste – tym, czego im najbardziej brakuje, jest czas. Szef sieci supermarketów, odbywając zebrania z załogami sklepów, przemieszcza się z kraju do kraju, z miasta do miasta, amerykański piosenkarz chce po koncercie zasnąć w swoim łóżku w domu. Jeśli założyć, że samolot będzie używany 30 razy w roku, ile czasu jego właściciel oszczędzi w stosunku do liniowego lotu? Odpowiedź wydaje się przekonująca: miesiąc. Z tego wynika, że samolot może być także maszyną do zarabiania pieniędzy. Z tego punktu widzenia najbardziej opłacalny jest Gulfstream G650ER. Kosztuje 65 mln euro i może bez międzylądowania polecieć z Nowego Jorku do Dubaju z szybkością 1133 km/h. A dodatkowo kabina niskociśnieniowa zapewnia komfort snu podobny do tego, jaki ma się w domu. Nie odczuwa się żadnego jet lagu.

Najbardziej sprzedającym się „modelem" jest Gulfstream G550. Nawet jeśli Dassault Falcon X ma lepsze od niego parametry, bo nie potrzebuje dużej powierzchni do lądowania. Amerykanie posiadają połowę światowej floty prywatnych odrzutowców. Resztę dzielą między siebie Rosjanie, Chińczycy, kraje Ameryki Południowej i Afryki. Ci właśnie lubują się w najbardziej luksusowych maszynach. Jest pewna liczba 30-latków, menedżerów sektora IT, głównie z Doliny Krzemowej. Ci chcą mieć, podobnie jak Elon Musk i Jeff Bezos, gulfstreama G650ER.

A celebryci? Cristiano Ronaldo ma „tylko" gulfstreama G200. Ośmiu pasażerów zaledwie… Podobnie Levis Hamilton, mistrz Formuły 1. Według Panama Papers Hamilton zapomniał zadeklarować fiskusowi swego bombardiera challenger 605 o wartości 19 mln euro. Potem go sprzedał. Donald Trump robił kampanię na pokładzie swego boeinga 757. Bill Gates jest właścicielem bombardiera BD-700. Michael Schumacher ma dassault, a Steven Spielberg boeinga 737. Rosyjski oligarcha Roman Abramowicz za 245 mln euro kupił „Bandit" boeinga 737.

Raperzy w swoich piosenkach walczą z systemem, ale w życiu lubią poszaleć.

Wnętrze samolotu Gulfstream G650ER. Na zdjęciu po lewej: ten sam odrzutowiec podczas lotu FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

33-letni kanadyjski raper Drake, skądinąd właściciel plantacji marihuany, zafundował sobie boeinga 767 za 185 mln dol. A ponieważ szczytem elegancji w tym kręgu jest napisać na kadłubie własne nazwisko, zatem samolot został ozdobiony napisem: „Air Drake" i nie jest to bynajmniej nazwa nowej linii lotniczej.

PROMOCJA KREMU

Dla celebrytów samolot jest rodzajem prestiżowego gadżetu, przy którym wypada się sfotografować, żeby zamieścić fotkę na Instagramie. Tylko że zwykle te samoloty są wypożyczone. Raperzy mają wprawdzie na szyi grube złote łańcuchy, ale samolot to jednak większa sprawa. Wolą wyleasingować. Wynajętymi samolotami podróżują Kim Kardashian z rodziną, Madonna, Céline Dion. Nawet John Travolta, zapalony pilot, ambasador Bombardiera, wynajmuje chalengera 601. Modelka Kylie Jenner, najmłodsza z klanu amerykańskich celebrytów Kardashianów, ma zaledwie 22 lata, ale promując swoją linię kremów Kylie Skin latem 2019 r., wynajęła samolot, pomalowała go w barwy swojej marki i w towarzystwie grona przyjaciółek udała się celebrować wydarzenie na Karaibach.

Jeffreyowi Epsteinowi samoloty służyły w celach znacznie bardziej dyskretnych. Amerykański milioner oskarżony o pedofilię (w listopadzie popełnił samobójstwo w nowojorskim więzieniu) swoim prywatnym samolotem, który znajomi nazwali „Lolita Express", dowoził na prywatną karaibską wyspę coraz to nowe transporty nastolatek.

Jak podaje portal InnPoland.pl, w prywatnych rękach Polaków jest już kilkaset samolotów. Ceny używanych, tańszych, ale w doskonałym stanie zbliżają się do poziomu droższych samochodów. Według portalu do osób fizycznych należało 256 samolotów różnego typu.

Firma Zygmunta Solorza-Żaka Jet Story oferuje loty prywatnymi odrzutowcami oraz ich sprzedaż. Flota liczy 11 maszyn, wśród nich bombardiera global express, jednego z najbardziej luksusowych i najszybszych samolotów biznesowych świata. Za lot z Warszawy do Gdańska i z powrotem trzeba zapłacić 6 tys. euro. Ale sam właściciel często korzysta ze śmigłowca.

Zbigniew Niemczycki, pasjonat lotnictwa i licencjonowany pilot zawodowy samolotów, może wybierać pomiędzy messerschmittem 109 G6, migiem-15 czy jakiem-18. Najchętniej lata jednak w tej chwili śmigłowcami, ulubiony to bell 407.

Rodzina Kulczyków ma gulfstreama G550 za ponad 50 mln euro.

Andrzej Wiśniowski, nowosądecki biznesmen, właściciel firmy produkującej m.in. bramy garażowe, w 2015 r. kupił odrzutowiec learjet 75 kanadyjskiej firmy Bombardier (cena 14 mln dol.). Na pokład zabiera dziewięciu pasażerów. Biznesmen ma też helikopter Augusta Westland, model GrandNew, który w podstawowej wersji kosztuje 6 mln euro.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Strategie na leczenie raka

FOT. ADOBE STOCK

Katarzyna Pinkosz

Czy 2020 – rok pierwszej Narodowej Strategii Onkologicznej – okaże się przełomem w leczeniu nowotworów? Na pewno polska onkologia czeka na taką zmianę

Zachorowania na nowotwory w Polsce rosną i będą rosnąć z uwagi na to, że jako społeczeństwo starzejemy się i żyjemy coraz dłużej. Jednak dzięki nowoczesnemu leczeniu coraz częściej można wyleczyć raka lub żyć z nim coraz dłużej, tak jak z chorobą przewlekłą. Niedawno prof. Cezary Szczylik, jeden z najwybitniejszych onkologów, w poruszającym wywiadzie określił, że onkologia w Polsce jest na granicy wytrzymałości; przyjmowanie przez lekarza 50–70 pacjentów dziennie, przy możliwości poświęcenia każdemu z nich kilku minut, przyrównał do sytuacji jak w krajach Trzeciego Świata. W ostatnim czasie pojawiły się jednak realne próby naprawy sytuacji w polskiej onkologii. Czy przyniosą mierzalne efekty? I jakie są dziś strategie leczenia raka?

1. STRATEGIA NA UNIKANIE

W 2020 r. na nowotwór zachoruje w Polsce 160 tys. osób. Gdyby wyeliminować największe kancerogeny, można uniknąć nawet 70 proc. tych zachorowań, czyli w prosty sposób uratować ponad 110 tys. osób. Kancerogen numer jeden to papierosy. Przyczyniają się do powstania 14 nowotworów, m.in. płuca, piersi, krtani, przełyku, żołądka, jelita grubego, nerki, trzustki. W Polsce pali papierosy nadal 24 proc. mężczyzn i 18 proc. kobiet. Drugi problem to otyłość – znany czynnik kancerogenny raka piersi. W przypadku nowotworów jelit, nerek, jajnika i wątroby ryzyko zachorowania osoby otyłej jest nawet większe niż palacza papierosów. Znanymi kancerogenami są też: alkohol, czerwone mięso (zwłaszcza smażone, grillowane i wysoko przetworzone), promieniowanie UV, smog, brak ruchu. U mężczyzn siedzenie więcej niż dziewięć godzin dziennie może zwiększyć ryzyko zachorowania na raka jelita grubego o ponad 60 proc. Z kolei kobiety prowadzące siedzący tryb życia mają większe ryzyko zachorowania na nowotwory jajnika i piersi.

Czy świadomość zmienia zachowania? Bardzo powoli. Każdy wie, że palenie powoduje raka. W Polsce liczba palących co prawda spada, jednak daleko nam do Kanady czy Szwecji, gdzie pali 13–14 proc. osób, a obydwa kraje postawiły sobie ambitny cel, żeby do 2025 r. „uwolnić się od nałogu palenia", co oznacza, że palić będzie tam mniej niż 5 proc. osób.

2. STRATEGIA NA WCZESNE WYKRYCIE

Niektóre nowotwory rozwijają się skrycie lub gwałtownie, jednak w wielu przypadkach można je wykryć wcześnie, pod warunkiem wykonywania badań. Raz w roku warto zrobić morfologię i USG jamy brzusznej, a po 50.–55. roku życia obowiązkowo kolonoskopię. Nieprzyjemna? Znacznie mniej niż późniejsze leczenie. Kobietom poleca się nie rzadziej niż raz na trzy lata cytologię, po 50. roku mammografię, a już wcześniej systematyczne wykonywanie samobadania piersi i USG. Mężczyznom – zwracanie uwagi, czy nie dzieje się nic niepokojącego z jądrami, a po

eprasa.pl 0a6efddd4a

40.–45. roku życia raz w roku pójście do urologa.

Mimo świadomości sensu wykonywania badań przesiewowych zgłaszalność jest niska, szczególnie na kolonoskopię (poniżej 20 proc.). Jednym z efektów jest to, że 60 proc. pacjentów trafia do leczenia w trzecim i czwartym stopniu zaawansowania raka jelita grubego, kiedy szanse na wyleczenie są bardzo małe.

3. STRATEGIA NA NIELEKCEWAŻENIE

Nie warto lekceważyć nietypowych objawów. Przedłużający się ponad dwa tygodnie kaszel, ciągła chrypka, bóle brzucha, powiększone węzły chłonne, duszność, silne bóle głowy, zwłaszcza poranne, powiązane z wymiotami, zmiany na skórze o nieregularnym kształcie – mogą to być objawy różnych problemów, a także nowotworu. Zamiast się nad tym zastanawiać, trzeba iść do lekarza. Również wtedy, jeśli pojawiają się osłabienie, męczliwość, nieuzasadniony spadek wagi ciała.

4. STRATEGIA NA LEPSZĄ ORGANIZACJĘ

Już od roku w województwach dolnośląskim i świętokrzyskim trwa pilotaż Krajowej Sieci Onkologicznej, a niedawno dołączyły do niego pomorskie i podlaskie. Zmiana dotyczy organizacji leczenia chorych na pięć nowotworów: piersi, płuca, jelita grubego, jajnika i prostaty.

Dla pacjenta największą zmianą jest to, że nie musi on już sam szukać onkologa, szpitala czy ośrodka, gdzie wykona badania przy podejrzeniu nowotworu. Wystarczy, że zadzwoni na infolinię szpitala będącego w sieci. – Każdy pacjent ma również swojego koordynatora leczenia, który pomaga mu zapisać się na wizyty. Funkcjonują konsylia lekarskie, czyli o sposobie leczenia chorego decyduje wielodyscyplinarny zespół – wylicza plusy pilotażu prof. Adam Maciejczyk, prezes Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Pierwsze efekty zmian były widoczne niemal od razu: skrócił się czas oczekiwania na pierwszą wizytę u onkologa, a także na opisanie badań radiologicznych, histopatologicznych. – Badania patomorfologiczne są wykonywane w pełniejszy sposób, dzięki temu często możemy stosować nowoczesne leki, co nie było możliwe przy przewlekłości procesu diagnostycznego. My z kolei mamy informację, w jaki sposób poszczególne ośrodki diagnozują i leczą, widzimy, czy przestrzegają zaleceń. Naszym celem jest to, żeby pacjent miał zapewnione takie same standardy leczenia, niezależnie od ośrodka, w którym się znajduje – dodaje prof. Maciejczyk.

Sieć ma też wyeliminować patologiczną sytuację, kiedy np. operacji nowotworu podejmowały się szpitale, które wykonywały tylko kilka takich zabiegów w roku. Brak doświadczenia przekłada się na gorsze wyniki leczenia. Według zapowiedzi w 2020 r. Krajowa Sieć Onkologiczna ma objąć całą Polskę. – Nie znam lepszego pomysłu na poprawę sytuacji pacjentów onkologicznych – mówi prof. Maciejczyk.

Do pełni sukcesu brakuje na razie odpowiedniego finansowania. Szpitale, które weszły do sieci, dostały co prawda w ramach kontraktu z NFZ więcej pieniędzy, nie pokrywa to jednak poniesionych kosztów: za dobrą jakość badań, zabiegów, opieki przed- i pooperacyjnej, opiekę rehabilitanta, psychologa trzeba zapłacić. – W naszym szpitalu świetnie działa Breast Cancer Unit [ośrodek kompleksowego leczenia raka piersi – przyp. red.], leczymy zgodnie z zaleceniami światowymi i mamy bardzo dobre wyniki. Jednak procedury onkologiczne są niedoszacowane, przez co szpitalowi rosną długi za to, że dobrze leczy. Czekamy na zmianę wycen – mówi prof. Maciejczyk. Według zapowiedzi Ministerstwa Zdrowia mają się zmienić jeszcze w pierwszym półroczu.

5. STRATEGIA NA WYLECZENIE LUB DŁUŻSZE ŻYCIE

W ostatnich latach pojawiło się wiele nowych leków, które spowodowały wręcz rewolucję: dzięki nim są coraz większe szanse na wyleczenie raka lub życie z nim przez wiele lat. Nadzieją onkologii są zwłaszcza leki ukierunkowane molekularnie, na konkretną zmianę, która spowodowała nowotwór, oraz leki poprawiające działanie układu odpornościowego. Jeszcze więcej nowych leków znajduje się obecnie w badaniach klinicznych.

Warunkiem korzystania z tego postępu jest oczywiście możliwość stosowania nowych terapii, często bardzo drogich. To w Polsce powoli się poprawia, choć w niektórych nowotworach daleko nam jeszcze do możliwości, które są w innych krajach, i do stosowania zaleceń towarzystw onkologicznych – zarówno amerykańskich, jak i europejskich oraz polskich. Często terapia jest refundowana w ramach tzw. programu lekowego tylko dla części pacjentów.

6. STRATEGIA NA CANCER PLAN

Kilka dni temu Rada Ministrów przyjęła Narodową Strategię Onkologiczną na lata 2020–2030, zwaną polskim „cancer planem". Wyznaczono pięć obszarów, w których konieczna jest poprawa: profilaktyka, kształcenie kadr medycznych (niedobór lekarzy to jedna z największych bolączek polskiej onkologii), wcześniejsze wykrywanie nowotworów, dostęp do nowoczesnych opcji terapii, poprawa organizacji leczenia. Zaplanowano m.in. wprowadzenie do szkół lekcji o zdrowiu, kampanie edukacyjne, podatek cukrowy, refundację szczepionek przeciw HPV, czyli wirusowi, który odpowiada za większość przypadków raka szyjki macicy, a także nowotworów jamy ustnej i gardła (dla dziewczynek od 2021 r., dla chłopców od 2026 r.). W ramach walki z nałogiem palenia papierosów mają się pojawić m.in. zakaz ich reklamy w miejscach sprzedaży i wprowadzenie jednolitych opakowań, zorganizowanie do końca 2023 r. w każdym województwie poradni pomocy palącym. Namawianiem do profilaktyki i badań przesiewowych mają się zająć lekarze rodzinni i medycyny pracy, którzy w zamian otrzymywaliby wyższe wynagrodzenie. Strategia zakłada też poprawę dostępu do nowoczesnego leczenia (cel to refundowanie ok. 90 proc. leków onkologicznych dostępnych w Europie – obecnie jest to ok. 70 proc.). Więcej pacjentów ma również korzystać z najnowocześniejszych terapii w ramach prowadzonych w Polsce badań klinicznych.

Dzięki nowoczesnemu leczeniu coraz częściej można wyleczyć raka lub żyć z nim coraz dłużej, tak jak z chorobą przewlekłą

Polskiej onkologii wszystkie te zmiany są potrzebne – czas pokaże, czy okażą się wystarczające i czy nie zabraknie na nie pieniędzy. Dlatego pierwsze trzy strategie warto zacząć już realizować na własną rękę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

Z prof. Rafałem Stecem, onkologiem
rozmawia
Katarzyna Pinkosz

Leczenie pierwszej linii czeka na poprawki

KATARZYNA PINKOSZ: Rak jelita grubego to w Polsce drugi u mężczyzn, a trzeci u kobiet nowotworowy zabójca. W ubiegłym roku weszła do refundacji nowa opcja w trzeciej i czwartej linii leczenia zaawansowanego raka jelita grubego. Czy dziś chorzy mają już optymalne możliwości terapii?

PROF. RAFAŁ STEC: Można powiedzieć, że jeśli chodzi o zaawansowanego raka jelita grubego, to w Polsce mamy dziś bardzo podobne możliwości leczenia jak w całej Europie. Jednak nadal brakuje nam kilku terapii – lub są one niedoskonałe – w pierwszej linii leczenia.

A to właśnie dobre leczenie na początku jest najważniejsze?

Tak, choroba nie jest jeszcze oporna na leczenie, a chorych jest najwięcej, dlatego tak ważne, by terapia pierwszej linii była dobrze dobrana. Każde leczenie onkologiczne powinno być oparte na tzw. onkologii precyzyjnej, czyli na dobraniu odpowiedniego leku, w zależności od profilu genetycznego, molekularnego nowotworu.

Każdy pacjent powinien mieć wykonane badanie molekularne zaraz po stwierdzeniu nowotworu?

Tak, musimy sprawdzić, czy chory ma mutacje w trzech genach: BRAF, KRAS, NRAS. Jeżeli tak, to nie możemy stosować terapii „celowanych", takich jak panitumumab czy cetuksymab, ponieważ byłyby nieskuteczne. Leki te nie działają u chorych, u których wykryjemy którąś z tych mutacji, warunkujących pierwotną oporność. Nie byłoby efektu, a chory byłby narażony na niepotrzebną toksyczność leczenia. Dla chorych z mutacją w genie BRAF z uwagi na złe rokowanie powinniśmy połączyć chemioterapię trójlekową z bewacyzumabem. Takie leczenie nie jest niestety jeszcze w Polsce dostępne. Mutacja w genie BRAF to bardzo niekorzystny czynnik rokowniczy, chorzy żyją bardzo krótko, dlatego tak ważne jest, żeby można było u nich zastosować najlepsze leki w pierwszej linii. Terapia jest rekomendowana przez ESMO, czyli Europejskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej.

To w pierwszej linii jedyna terapia, której brakuje?

Tak, jednak w przypadku dwóch innych opcji leczenie pierwszej linii należałoby udoskonalić. Można to zrobić w bardzo prosty sposób, w dodatku bez ponoszenia przez płatnika dodatkowych kosztów. Chodzi o chorych, którzy nie mają wymienionych mutacji genetycznych. Mogą oni w pierwszej linii leczenia dostać leczenie ukierunkowane molekularnie, anty-EGFR. Stosuje się je w połączeniu z chemioterapią. Obecnie mamy dostępne dwa leki anty-EGFR, dwa przeciwciała monoklonalne: panitumumab lub cetuksymab. Powinny być stosowane w połączeniu z chemioterapią. Niestety, zapisy programów lekowych są takie, że pierwszy z tych leków, panitumumab, możemy połączyć tylko z chemioterapią FOLFOX. Z kolei drugi, czyli cetuksymab, możemy podać tylko z chemioterapią FOLFIRI. Te zapisy programów lekowych należałoby zmienić, powinna być

eprasa.pl 0a6efddd4a

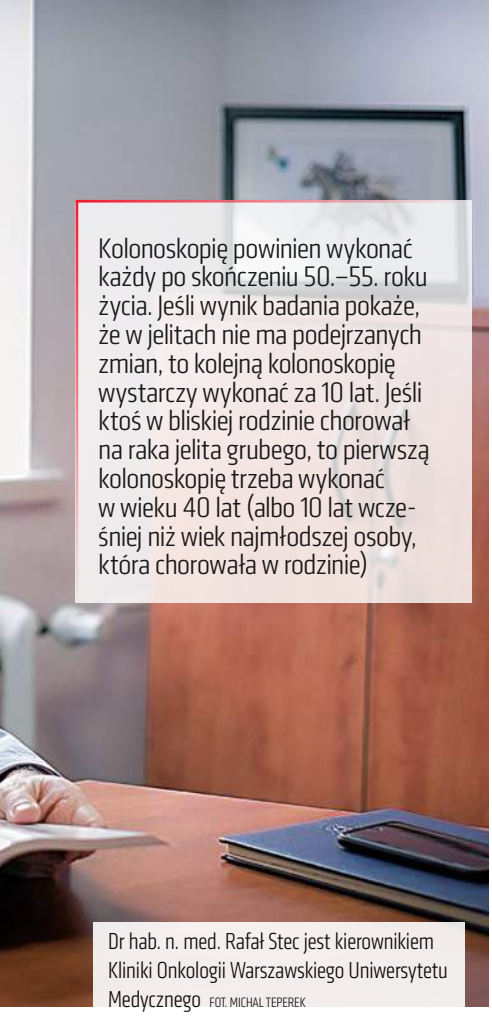

Kolonoskopię powinien wykonać każdy po skończeniu 50.–55. roku życia. Jeśli wynik badania pokaże, że w jelitach nie ma podejrzanych zmian, to kolejną kolonoskopię wystarczy wykonać za 10 lat. Jeśli ktoś w bliskiej rodzinie chorował na raka jelita grubego, to pierwszą kolonoskopię trzeba wykonać w wieku 40 lat (albo 10 lat wcześniej niż wiek najmłodszej osoby, która chorowała w rodzinie)

Dr hab. n. med. Rafał Stec jest kierownikiem Kliniki Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego FOT. MICHAŁ TEPEREK

możliwość stosowania każdego z leków z każdym rodzajem chemioterapii. Obydwa schematy chemioterapii różnią się rodzajem toksyczności, czyli działań niepożądanych. Często pacjent ma choroby współistniejące i nie toleruje jednego ze schematów chemioterapii; powinna być więc możliwość zamiany jej na drugą.

Czemu sa takie ograniczenia? Przecież chemioterapia nie jest chyba aż tak drogim leczeniem? A jednocześnie pacjenci chyba najbardziej obawiają się jej działań niepożądanych?

Takie są ograniczenia programów lekowych. Obydwa schematy chemioterapii są znane i stosowane w Polsce od wielu lat. Nam zależałoby na tym, żeby lekarz miał możliwość wyboru i dostosowania chemioterapii do pacjenta.

Problem właśnie z działaniami niepożądanymi. W przypadku stosowania chemioterapii FOLFOX częstym działaniem niepożądanym jest neuropatia, czyli uszkodzenie nerwów obwodowych, co powoduje zaburzenia czucia, ból, osłabienie mięśni aż do ich porażenia. Ten schemat chemioterapii ma w składzie oksaliplatynę, która jest bardziej neurotoksyczna. Neuropatia bywa tak duża, że trzeba wycofać się z leczenia. Z kolei chemioterapia schematem FOLFIRI częściej powoduje biegunki.

Dla chorego zupełnie niezrozumiałe są takie ograniczenia, zwłaszcza jeśli nie są one spowodowane kosztami.

Niestety, programy lekowe zawierają różne kryteria, których celem jest ograniczenie liczby pacjentów. Czyli o leczeniu nie decyduje tylko lekarz, lecz także kryteria wyszczególnione w programie. Nam łatwiej byłoby leczyć pacjentów, gdybyśmy mogli leczyć zgodnie z CHPL, czyli charakterystyką produktu leczniczego. To najważniejszy dokument dla lekarzy praktyków, zatwierdzony przez Europejską Agencję Leków, który nam pokazuje, jakie są wskazania rejestracyjne, dawkowanie, działania niepożądane.

Jeśli pacjent ma silną neuropatię, to musi mieć odstawione leczenie, bo nie można zamienić jednej chemioterapii na inną?

Od niedawna możemy zrobić tzw. wakacje od chemioterapii albo wakacje od oksaliplatyny, czyli możemy na pewien czas odstawić albo całą chemioterapię, albo samą oksaliplatynę.

A czy są różnice pomiędzy lekami celowanymi?

Panitumumab i cetuksymab mają podobną skuteczność, obydwa są podawane we wlewie dożylnym, jednak nieco różnią się budową cząsteczki, a więc również działaniami niepożądanymi. Panitumumab jest formą humanizowanego ludzkiego przeciwciała, a cetuksymab to tzw. przeciwciało chimeryczne, ma domieszkę mysią. Powoduje to, że częściej w czasie jego podawania mogą się pojawić działania niepożądane, czasem nawet ciężkie. Dlatego często konieczne jest wcześniejsze podanie leków osłonowych, np. sterydów chroniących przed wystąpieniem ciężkich działań niepożądanych.

Skoro te leki mają tak podobne działania, obydwa można łączyć z chemioterapią, to czemu nie pozostawia się wyboru lekarzowi? Skąd aż taka biurokracja?

Moim zdaniem w ogóle powinno się dążyć do zlikwidowania programów lekowych, szczególnie w tak częstych nowotworach jak rak jelita grubego czy rak płuca, gdzie schematów leczenia jest bardzo wiele. Bardzo łatwo popełnić błąd nie merytoryczny, lecz tzw. techniczny, związany z wymogami programu. Lekarz może zapomnieć wykonania jednego badania, przykładowo jakiegoś enzymu. Nie ma to znaczenia dla skuteczności terapii, ale z tego powodu może zostać zakwestionowane finansowanie programu lekowego. Zniesienie programów lekowych, a przynajmniej ich uproszczenie, jak choćby możliwość wyboru chemioterapii, zmniejszyłoby biurokrację i ułatwiłoby pracę lekarzom. Jednocześnie nie spowodowałoby to dodatkowych kosztów dla płatnika.

Niedawno jednak wydarzyła się jedna ważna zmiana: jest możliwość stosowania chemioterapii, w domu przy użyciu infuzorów. Pacjent przychodzi do szpitala tylko raz na dwa tygodnie na podanie leku anty-EGFR we wlewie dożylnym, a potem podajemy mu chemioterapię do przyjmowania w domu. Warunkiem jest oczywiście dobra tolerancja leczenia. To ułatwienie dla pacjenta, a też korzyść i oszczędności dla systemu ochrony zdrowia, bo pacjent jest rzadziej w szpitalu.

Mówimy o nowych lekach, które pojawiły się w ostatnich latach. Jak są one skuteczne? Faktycznie wydłużyły życie?

One wręcz zmieniły obraz leczenia zaawansowanego raka jelita grubego. Wystarczy porównać długość przeżycia: w 2000 r. średnie przeżycie chorego z przerzutowym rakiem jelita grubego wynosiło ok. 12 miesięcy. Obecnie to jest cztery razy więcej! To ogromna zmiana. Dzięki coraz lepszym sposobom leczenia – a także dzięki współpracy z chirurgami – możemy znacznie wydłużyć życie chorego. Rak jelita grubego powoli staje się chorobą przewlekłą, z którą można żyć. Dlatego tak ważny jest dobry dostęp do nowych terapii.

Jednak wyleczenie raka jelita grubego jest możliwe tylko wtedy, gdy będzie on wcześnie wykryty. Czy tu też widać zmianę?

Umieralność z powodu raka jelita grubego na pewno się zmniejszyła. Zachorowalność niestety rośnie. Niestety, wciąż zbyt mało osób zgłasza się na badania przesiewowe w kierunku raka jelita grubego. W Polsce jest to ok. 16 proc., podczas gdy w USA – ok. 40 proc., a w Belgii nawet 60 proc. Kolonoskopia umożliwia wyleczenie: jeśli w trakcie badania wykryje się polip, czyli stan przednowotworowy, to można go od razu usunąć, czyli zapobiec nowotworowi. Dlatego warto zgłaszać się na badania przesiewowe i wykonywać kolonoskopię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0a6efddd4a

FOT. ADOBE STOCK

Z dr. n. med. Norbertem Szalusiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Terapie zintegrowane w leczeniu nowotworów

KATARZYNA PINKOSZ: W wielu krajach, np. w Japonii, Niemczech czy USA, w leczeniu nowotworów wykorzystywane są tzw. metody komplementarne. Czy istnieją badania kliniczne, które uzasadniałyby ich stosowanie?

DR N. MED. NORBERT SZALUŚ: Chodzi o metody wspierające leczenie onkologiczne. Są badania kliniczne, nie ma jedynie badań klinicznych trzeciej fazy. Wyniki na temat efektywności metod komplementarnych wspierających leczenie onkologiczne są publikowane w indeksowanych periodykach medycznych i prezentowane na kongresach. W USA prężnie działa Society for Integrative Oncology, które prowadzi badania dotyczące opisywanych metod. Towarzystwo organizuje coroczne konferencje. Podobnie jest w Japonii i Niemczech. Dla przykładu: w „Science Translational Medicine" opublikowano badanie randomizowane na grupie 27 pacjentek z rakiem jajnika, którym podawano dożylną witaminę C i u których stosowano chemioterapię (karboplatyna + paklitaksel). U chorych otrzymujących witaminę C zaobserwowano tendencje do dłuższego czasu całkowitego przeżycia oraz znamienną redukcję objawów ubocznych w porównaniu z grupą jej nieotrzymującą. Grupa może niewielka, ale któż z chorych nie chciałby mieć takich efektów?

Jak to się stało, że zajął się pan tą częścią medycyny? Wielu onkologów jest sceptycznych co do stosowania takich metod leczenia.

W Wojskowej Akademii Medycznej mieliśmy wybitnych profesorów zajmujących się fitoterapią. Nie zapominajmy, że Polska miała na tym polu długie tradycje. Fitoterapia zniknęła z zajęć obowiązkowych na medycynie, a za moich czasów mieliśmy ją połączoną z farmakologią przez trzy semestry, była zakończona dość trudnym egzaminem. W Niemczech fitoterapia jest mocno zakorzeniona, podobnie w Japonii, Korei, Austrii czy Szwajcarii.

Doktoryzował się pan z onkologii?

Moja praca doktorska dotyczyła diagnostyki pojedynczych guzków płuca za pomocą metody radioizotopowej ukierunkowanej na jeden z receptorów.

Skąd pomysł, by poszukiwać terapii, które nie są do końca oficjalnie uznawane przez medycynę klasyczną?

Żeby dać pacjentom coś więcej. Często widziałem, że nie są oni w stanie ukończyć leczenia z powodu skutków ubocznych. To eliminowało ich z życia zawodowego i rodzinnego. W poszukiwaniu metod wspomagających 15 lat temu trafiłem m.in. na japoński wyciąg z grzybni shiitake, jego działanie w połączeniu z chemioterapią i immunoterapią jest badane obecnie przez wiele prestiżowych ośrodków na świecie. Zacząłem też poszukiwać innych substancji, które mogłyby okazać się równie pomocne w terapiach wspomagających.

eprasa.pl 0a6efddd4a

Większość osób stosujących leczenie onkologiczne szuka uzupełniających sposobów leczenia. Jakiej pomocy szukają u pana?

Zwykle przychodzą osoby, które obawiają się skutków ubocznych leczenia. Rzadziej przychodzą ci, którzy nie wyobrażają sobie chemioterapii lub są po wielu cyklach leczenia i nie mają już sił. Namawiam ich do kontynuacji leczenia, ale staram się zminimalizować jego skutki uboczne. Są też chorzy, u których prowadzę terapię ograniczającą prawdopodobieństwo nawrotu i wznowy choroby. W Niemczech jest laboratorium zajmujące się m.in. oceną z płynnej biopsji tzw. nowotworowych komórek macierzystych (komórki inicjujące proces nowotworowy), z których często powstają nawroty i wznowy. Wśród moich pacjentów są też osoby, u których leczenie onkologiczne nie przyniosło efektu i nie ma dla nich już alternatywy w ramach klasycznego leczenia.

To osoby, które słyszą, że nie ma im już nic do zaproponowania poza terapią paliatywną?

Tak, choć osoba w stanie paliatywnym osobie w stanie paliatywnym nierówna. Mogą to być osoby w dobrym stanie klinicznym, ale z mnogimi przerzutami lub chorzy odesłani do hospicjum. W tym drugim przypadku często szczerze mówię, że nie jestem w stanie pomóc. Zwykle to rozumieją, ale chcą, by jakość ich życia do końca była jak najlepsza. Nie wyrwę ani jednego dnia Panu Bogu, ale każdy chory ma jakiś cel. Przykład: młoda kobieta, 28 lat, bardzo agresywny nowotwór. Miała 2,5-roczną córeczkę i cel: dożyć do jej trzecich urodzin. I tak się stało. Na początku udało się zmniejszyć bóle kostne, które wcześniej nie reagowały na żadne, nawet najsilniejsze leki. Już to pozwoliło jej prawie normalnie funkcjonować. W przypadku pacjenta, który nie ma już żadnych szans, powinniśmy zapewnić choremu godne życie do końca. I godne odejście.

Czasem mówi się, że jest to sprzedawanie ludziom nadziei – i to za duże pieniądze...

Nie sprzedaję nadziei. Analizując wyniki badań, mówię, jakie jest prawdopodobieństwo pomocy. Jeśli uda nam się nawet na kilka miesięcy spowolnić postęp choroby, to jest to nasz wspólny sukces. Nie obiecuję osobie z rozsianą chorobą nowotworową, że ją wyleczę – to byłoby skrajnie nieetyczne! Mogę jedynie powiedzieć, że powalczymy. Często rozpisuję tanie terapie. Istnieją niedrogie leki, które przynoszą dobre efekty. Jestem przeciwny temu, by pacjent oddawał wszystko za szansę wyleczenia.

Nie przeszkadza panu jako lekarzowi, że metody, które pan stosuje, nie przeszły trzech faz badań klinicznych?

Przeszkadza, chciałbym, aby takie badania były. Tylko że preparaty z substancji naturalnych, np. witamina C czy resweratrol, nie mogą być opatentowane i dlatego mogą być wytworzone przez prawie każde laboratorium. Medycyna japońska, australijska czy turecka są otwarte na metody komplementarne, daje to większe szanse pacjentowi na skuteczniejszy wynik leczenia i poprawę QoL (Quality of Life) – jakości życia pacjenta. Mam nadzieję, że ośrodki w Polsce podejmą próby wykazania skuteczności działania substancji naturalnych w leczeniu nowotworowym.

Jak do tej pory żadna z tych metod nie została jednak zarejestrowana przez agencje rejestrujące leki w USA czy Europie.

Nie ma patentów, nie ma zatem siły sprawczej, która byłaby zainteresowana szerszym zastosowaniem danej substancji. Nie oznacza to jednak, że one nie działają i są złe. Pojawiają się prace naukowe, prezentowane także na kongresach naukowych. Na przykład w Japonii jest zarejestrowany wyciąg z grzybów shiitake w leczeniu nowotworów jelita grubego i żołądka w połączeniu z chemioterapią. Pacjenci stosujący taką terapię mają dłuższy czas do progresji choroby oraz czas przeżycia, lepiej również tolerują leczenie onkologiczne. Reasumując, codzienna jakość życia jest znacznie lepsza. Czemu z tego nie skorzystać?

Czy namawia pan pacjentów, żeby mówili onkologom o uzupełniających metodach, które mogą być stosowane?

To ich indywidualny wybór. Nie powinno jednak być tak, że chorzy boją się mówić o stosowanych metodach uzupełniających, pomimo wielu korzyści płynących z takiego leczenia. A jednak często się tego obawiają.

Jakie terapie pan stosuje? Głównym celem jest poprawa funkcjonowania m.in. układu odpornościowego?

Zwykle chodzi o utrzymanie pacjenta w jak najlepszym stanie klinicznym, żeby mógł w optymalnym czasie i często z lepszym rezultatem ukończyć terapię onkologiczną. Kolejny ważny efekt to leczenie nowotworowych komórek macierzystych, co może zapobiec wznowie choroby. Od kilku lat stosuję takie leczenie. Obiecujący jest jeden z antybiotyków, a także np. kurkumina. Są też metody wspomagające układ odpornościowy, tj. preparaty roślinne, hipertermia całego ciała, probiotyki.

Nie chodzi jednak o to, żeby pacjent sam sobie robił taką kurację.

Nie rekomenduję tego, choćby ze względu na możliwe interakcje między lekami.

Zdarza się, że onkolodzy przysyłają do mnie pacjentów, by zmniejszyć skutki uboczne stosowania chemioterapii lub przygotować pacjenta do operacji chirurgicznej

Czy współpracuje pan z onkologami?

Jeśli przychodzi do mnie pacjent, który nie leczy się onkologicznie – a pamiętam pacjentkę, która raka piersi leczyła homeopatią! – odsyłam go do onkologa. Zdarza się, że onkolodzy przysyłają do mnie pacjentów, by zmniejszyć skutki uboczne stosowania chemioterapii czy przygotować pacjenta do operacji chirurgicznej. Większość onkologów jednak jest nastawiona sceptycznie. Mimo to ok. 80 proc. pacjentów stosuje dodatkowe metody. WHO zaleca łączenie klasycznych terapii z medycyną integracyjną. Moim marzeniem jest, aby taka rzeczywistość zaistniała w Polsce. Nagrodą niech będzie uśmiech i zdrowie naszych pacjentów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr n. med. Norbert Szaluś – Immunomedica, specjalista medycyny nuklearnej, autor i współautor licznych publikacji naukowych z zakresu diagnostyki i terapii chorób onkologicznych w czasopismach zagranicznych oraz krajowych, a także na kongresach medycznych.

eprasa.pl 0a6efddd4a

RYCERZE I WARCHOŁY

Václav Vratislav – czeski galernik

JACEK KOMUDA

Václav z Mitrovic, zwany Turczkiem, to jeden z najciekawszych czeskich pamiętnikarzy. Nie tylko zwiedził pod koniec XVI w. Turcję, ale przyszło mu poznać jej mroczną stronę; znalazł się najpierw w więzieniu, a potem zesłano go na galery. A wszystko to w gorzkiej dla Czecha służbie u cesarza-alchemika Rudolfa II. Urodzony w 1576 r., w wieku lat 15 został paziem u cesarskiego posła Fryderyka Krekvica, który wyruszył do Konstantynopola, wioząc bogate dary dla sułtana. Traf chciał, że w trakcie jego pobytu poselstwo zostało uwięzione i zesłane na galery; wspomnienia Václava Vratislava są zatem rzadkim przykładem opisu losu, który czekał chrześcijańskich niewolników przykutych do wioseł, pochodzącego z własnych doświadczeń.

Jak do tego doszło? Winić należy po pierwsze Krekvica, który zajmował się szpiegowaniem Wielkiej Porty i zaszyfrowane meldunki wysyłał do cesarza, nie zachowując przy tym ostrożności. Drugim winnym był ochmistrz Ladislaus Moerthen, który – jak podaje pamiętnikarz – „dopuścił się gwałtu na pewnym pacholęciu", a następnie, obawiając się kary, uciekł poza bramy poselskich kwater i „poturczył się", czyli przyjął islam. Jako wierny sługa sułtana przeprowadził rewizję w domu, gdzie przebywało poselstwo, po czym odnalazł tajne raporty i przekazał je Sinanowi Paszy, wielkiemu wezyrowi i wrogowi chrześcijaństwa. Ten zaś – mając dowody w ręku – kazał wtrącić do więzienia służbę i pomocników Krekvica, jego samego zaś okuł w kajdany i zamęczył w obozie wojskowym w 1593 r.

W ten sposób młody Vratislav podzielił los towarzyszy i kiedy okazało się, że żaden z nich nie jest chętny, aby się zbisurmanić, trafił na galery, gdzie spędził pół roku. Jak pisze, dowódcą jego statku był Achmet Reis, Włoch z urodzenia, który przyjął islam. „Galera była dość duża – wspomina – po pięciu skazańców na jednej bance, czyli ławie, którzy jedno wiosło pospołu ciągnęli. Uwierzyć trudno, jaką niedolą jest wiosłowanie na galerach […]. Każdego więźnia przykuwają za jedną nogę do łańcucha na dole, pod ławą, aby swobodnie na nią wejść i wiosłem ciągnąć mógł. A kiedy wiosłem się robi, ze spiekoty inaczej nie można, jeno gołym być, bez odzienia, niczego na ciele prócz gaci czy galotów płóciennych nie mając". W dodatku po wypłynięciu z Konstantynopola Turcy zakuwali ręce skazańców w żelazne okowy, aby nie mogli się bronić ani wzniecić buntu.

FOT. WIKIPEDIA

Pamiętnik Václava Vratislawa zawiera wiele szczegółów odnośnie do życia na galerze. Opisuje okrucieństwo nadzorców, zwanych comito. Jeśli dostrzegł, że któryś z galerników próbował sobie folgować, to bił korbaczem albo mokrym powrozem. Co więcej, jeśli bitemu zdarzyło się krzyczeć lub jęczeć, to jeszcze bardziej złościło to Turka. „Jednemu z naszej kompanii, rakuskiemu rycerzowi, raz się przytrafiło, że gdy po obnażonych plecach korbaczem czy kańczugiem dostał, po dwakroć czy trzykroć: Olaboga, nie bij! – wykrzyknął. Turek niemieckiego nie znając, podejrzewał, że mu ubliża, i nieszczęsnego starca okropnie zbił i stłukł". Dodatkowego cierpienia przysparzały tureckie pacholęta, które chodziły od jednej ławy do drugiej, aby bić i naśmiewać się z więźniów. Wyżywienie było nędzne – galernicy dostawali dziennie tylko wodę i dwie pecynki chleba albo placek.

Jak zatem ratowali się od śmierci? Dostawali zapomogi od chrześcijan mieszkających w Turcji: „Łyk wina, niekiedy trochę kaszy czy polewki uprosisz, a jeśli pieniądze masz, to kupić możesz". Vratislav opisuje wołoski ser powstający w ten sposób, że do worka sporządzonego ze skóry kozła, obróconej futrem do środka, upychano twaróg i zostawiano, aż się zepsuł. „Pośród moich towarzyszy było kilku rakuskich wykwintnisiów, co od urodzenia żadnego sera nie jadali. […] Kiedy oni niebożątka na galerę się dostali […], ujrzawszy, z jakim apetytem jedliśmy z sera polewkę, uprosili nas, abyśmy im tej strawy spróbować dali. I gdy to się stało, nie jeno polewkę byliby chętnie zjedli, ale i ten włochaty worek z serem".

„Przygody Václava Vratislava z Mitrovic…" to jeden z najbardziej fascynujących pamiętników opisujących dawną Turcję. Przetłumaczony przez Danutę Reychmanową jest dostępny po polsku. Dla nas najważniejsze, że autor przeżył, wydostał się z niewoli, w której nauczył się tureckiego; dopiero jednak pod koniec życia otrzymał nagrodę za więzienie – w 1629 r. nadano mu tytuł hrabiowski. Zmarł w 1655 r., dochowując się sześciu synów i córki; pochowany jest w czeskim Starym Kninie. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

IZABELA KAPIASOVÁ POLECA CZESKĄ PRZEKĄSKĘ

Smażený sýr, czyli smażony ser, zjemy w Czechach niemal wszędzie – od najtańszych knajp do renomowanych restauracji. Przepis jest banalnie prosty, a kawałek smażonego sera to nie tylko fajna przekąska, np. do piwa, ale w zestawie z frytkami to popularny w Czechach i na Słowacji zestaw obiadowy. Ja polecam zwłaszcza jako sycącą przekąskę podczas wieczoru w gronie przyjaciół. A może także na walentynki? Wtedy możemy przygotować kawałki sera w kształcie... serc. Jeśli chodzi o rodzaje sera, to powinny to być edam, ementaler lub gouda.

Składniki (dla dwóch osób):

- 200 gr sera żółtego w kawałku
- 2 jajka
- 50 gr mąki pszennej
- 50 gr bułki tartej
- olej do smażenia

Przygotowanie:

Ser kroimy na grube prostokątne plastry (min. 1,5 cm) lub w wybrany wzór. Każdy plaster musimy bardzo dokładnie pokryć panierką, by nie rozpłynął się podczas smażenia. W tym celu najpierw obtaczamy go w mące, następnie w roztrzepanym jajku, potem w bułce tartej i ponownie w jajku oraz w bułce tartej. Ser najlepiej smażyć w głębokim tłuszczu – przed wrzuceniem porcji sera na patelnię olej trzeba dobrze rozgrzać. Smażymy ok. 2–3 minut.

Po usmażeniu odsączamy olej za pomocą papierowego ręcznika i podajemy na gorąco. ©℗

oprac. raw

Izabela Kapiasová jest aktorką, pochodzi z Czech.

FOT. AGATA DYKA/EAST NEWS

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Kto chętny?

Na stronie internetowej pałacu Buckingham 29 stycznia ukazało się ogłoszenie o poszukiwaniu nowego kucharza do obsługi rodziny królewskiej. Specjalność: kuchnia francuska. Jak widać, odwieczna rywalizacja między dwoma krajami nie obejmuje kuchni. Tu wyspiarze skłonni są oddać laur sąsiadom z drugiej strony kanału La Manche. Też trudno się dziwić.

FOT. ADOBE STOCK

Dopóki kuchnia brytyjska nie przyswoiła dań z krajów podbitych w epoce kolonialnej, dopóty mogła pochwalić się głównie plackiem z cynaderkami i smażoną rybą. No, można jeszcze dodać do tego christmas pudding, rzeczywiście godzien uwagi, a nawet popisowy produkt cukierniczy Brytyjczyków. Na jego tle przed świętami sfotografowali się Jej Królewska Wysokość, książę Karol, William oraz – mieszający składniki drewnianą łyżką – mały George, trzeci w kolejce do tronu.

Eksperci wołowiny po burgundzku i tarty tatin zostali uprzedzeni, że stanowisko królewskiego kucharza to poważna sprawa. „Dołączając do ekipy, musicie mieć świadomość, że wszystko, co będziecie robić, musi mieć najwyższe standardy" – ostrzega ogłoszenie. Kucharz powinien być ambitny i wykwalifikowany, przygotowany do pracy nawet w niedzielę, jeśli okoliczności będą tego wymagać. Będzie musiał planować i wykonywać menu na „szeroki wachlarz okazji". Uwzględniając, ma się rozumieć, nieco specyficzne potrzeby chlebodawców: kuchnia bez owoców morza, krwistych befsztyków, składniki dobrane tak, by uniknąć zatrucia. Na śniadanie królowa Elżbieta pije herbatę Darjeeling, je grzanki i płatki Kellogg's.

Szczęśliwy wybranek otrzyma wikt i opierunek w pałacu. Nie tylko to. Oferowane są także pobyty w licznych rezydencjach królewskich w kraju i za granicą. „Czy będziesz w pałacu Buckingham, czy też w innych miejscach, będziesz musiał sprostać wyzwaniu, przed którym stajesz" – dodaje ogłoszenie. Pensja wynosi ponad 22 tys. funtów rocznie, czyli mniej więcej 26 tys. euro. I jeszcze wisienka na torcie: 33 dni wolne od pracy plus świadczenie na fundusz emerytalny w wysokości 15 proc. pensji.

Trzeba się spieszyć: oferta wygasa 12 lutego 2020 r., o godz. 23.55. ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

FORD GT 2020: POTĘŻNIEJSZY, GŁOŚNIEJSZY, ŁADNIEJSZY

Liquid Carbon Edition. Tak nazywa się najnowsza specjalna edycja flagowego sportowego modelu Forda. Samochód w wersji na rok 2020 ma o 13 koników więcej niż edycja na 2019 r. Tym samym moc podwójnie turbodoładowanego 3,5-litrowego silnika V6 wzrosła do 660 KM. Auto stało się też oczywiście głośniejsze. Do tego wersja na 2020 r. ma lepsze chłodzenie, poprawiony przepływ powietrza i lepiej działające zawieszenie w trybie rajdowym. W standardzie do modelu GT montowany jest tytanowy układ wydechowy. A wygląd? Wykończenie z włókna węglowego grozi nagłym opadem szczęki. Z karbonu wykonane są bowiem nie tylko felgi czy dodatki, lecz także całe poszycie nadwozia.

Dla tych, którzy uważają, że auto całe z karbonu to jednak przesada, Ford przygotował inną edycję: supersportowe GT może być pomalowane w pojedyncze lub podwójne pasy w kontrastowych kolorach. Projektanci pomyśleli nawet o dodaniu detali, które naśladują malowanie aut zwycięzców wyścigów Le Mans GT40 1968–1969. Ford pozwala również spersonalizować kabinę: do wyboru jest pięć różnych opcji.

Fani tego pięknego modelu powinni się spieszyć z zamówieniami. To bowiem ostatnia edycja GT, którego dostawy będą trwać do 2022 r., kiedy ostatecznie ma się zakończyć produkcja najsłynniejszego sportowego Forda. Za Liquid Carbon Edition trzeba będzie zapłacić ok. 750 tys. dol. (ok. 3 mln zł), czyli jakieś 250 tys. dol. więcej niż za standardowego Forda GT. Koszty transportu przez ocean i dodatkowych kosztów to przy tym pestka.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TRÓJZĄB NEPTUNA W KRÓLEWSKIEJ WERSJI

Włoski producent samochodów zaprezentował nową wersję SUV-a. Specjalna edycja Levante Royale ma przyciągać bogatszych klientów oryginalnymi kolorami nadwozia. Auto wyróżnia także wyjątkowo luksusowe wnętrze z ekskluzywną skórzaną tapicerką i obowiązkową plakietą „One of 100", dzięki której zamożni klienci tej mocno przereklamowanej włoskiej marki wreszcie będą mogli wreszcie poczuć się wyjątkowo. Pod maską limitowanej edycji Maserati mają znaleźć się silniki V6 w wersji wysokoprężnej (o mocy 271 KM) lub benzynowej (o mocy 345 KM lub 424 KM). ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Środki do pielęgnacji brody

Żeby się nie okazało, że to przeze mnie. Ja wiem, że to nieładnie i nieskromnie przypisywać samemu sobie różne zasługi, szczególnie te najgorsze, ale czasy są takie, że te najgorsze są w cenie. Ja, proszę państwa, przybliżam tutaj życie różnych celebrytów z powabami i pewnymi takimi chropowatościami. Popularyzuję. Jakkolwiek by celebryctwo oceniać, wiążą się z nim sława, zainteresowanie mediów, a czasem pieniądzory. Zauważam niestety, że od czasu mojego propagatorstwa coraz to nowe środowiska chcą posmakować bycia celebrytą. Ale żeby sędziowie? Otóż zastępca rzecznika dyscyplinarnego sędziów sądów powszechnych Przemysław Radzik, wypowiadając się o sędzim Pawle Juszczyszynie, napisał, że ówże „występuje jako celebryta". I to miało zaboleć, bo „celebryta" użyty tu został jako „pusty, próżny, egotyczny". W zasadzie czarniawy charakter.

Najbardziej popularna definicja celebryty brzmi: „Celebryta to ktoś znany z tego, że jest znany". Czy pasuje to do sędziego? Sędzia raczej powinien się kojarzyć z kimś poważnym, ale z tą powagą różnie bywa. Wredna prasa opisuje, że a to jakiś sędzia bombnie ze sklepu kiełbasę, a to z roztargnienia się mu przyczepi do ręki 50 cudzych złotych, a to usiądzie na schodach pijaniutki i takie tam inne barwne obrazki. No różnie, jak to w życiu, ale żeby zaraz celebryta? Czy sędzia mógł tak nazwać sędziego? Ocenę zostawiam państwu.

Otóż sędzia Paweł Juszczyszyn miał wydać wyrok w sprawie cywilnej w listopadzie. Zamiast jednak wyrok wydać, postanowił dowiedzieć się, czy inny sędzia to został wybrany tak czy siak. Ludzie na wyrok czekali, czekają i jeszcze sobie poczekają. Ale czy to takie ważne?

W tym czasie sędzia postanowił pojechać do Warszawy i tam się dowiedzieć, czy sędzia, który wydał wyrok w pierwszej instancji, został wybrany przez starą czy nową KRS. Dostał delegację i służbowy samochód do Warszawy. I jechał pod okiem kamer, które go polubiły już nawet wcześniej. Kiedy dojechał, delegację mu jednak cofnięto i kazano wracać, przy czym pozwolono mu podróżować w drugą stronę służbowym samochodem.

Niczego pan sędzia się nie dowiedział, ale jak wrócił, to ponakładał kary kilkutysięczne i zażądał, że on się chce dowiedzieć. A wszystko to pod okiem kamer, które go polubiły. On cały czas w okularkach, starannie przystrzyżone włoski i broda, elegancko. No ale wtedy sąd dyscyplinarny go zawiesił. On sam uznał, że nie może być zawieszony, bo ten sąd nie jest sądem.

Jak będzie z sędzią Juszczyszynem, to się zobaczy, ale gdyby było tak, że zostałby jednak dostrzeżony jego potencjał, to wahałbym się między reklamą oprawek okularów z hasłem np.: „Spójrzmy na demokrację" albo środkami pielęgnacji brody ze sloganem: „Wygładzimy wichrzycieli". Pomysł można dopracować, ale jest potencjał. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Bojówki ks. Kostki

Dzieci ubrane w moro i kominiarki, z atrapami karabinów i noży, bawiły się w wojnę w lesie w Wielkopolsce. Zimowisko zorganizowało Harcerstwo Rzeczypospolitej Polskiej, którego naczelnikiem jest ksiądz z Krakowa" – zaalarmowała poznańska „Gazeta Wyborcza". Temat jak wymarzony. Kapłan, nastolatki, wojskowość – wszystko w jednym miejscu – z gotowym potencjałem na wielopłaszczyznowy skandal. Wystarczy tylko zebrać zdjęcia, dodać sugestywne opisy i ubogacić głosem eksperta. Niestety, skala oburzenia, która wylała się z tekstu „GW", była tak wielka, że zamiast trwożyć… a zresztą, niech przeżyją to państwo sami: poczują gęsią skórkę i opary prawicowego radykalizmu. Dzień pierwszy: „Nekielka, malownicza wieś w województwie wielkopolskim, w powiecie wrzesińskim, koniec stycznia. W tutejszym schronisku młodzieżowym trwa harcerskie zimowisko. Dwóch chłopców, na oko szesnasto-, siedemnastolatków, finguje zadawanie w kręgosłup ciosów atrapą noża […], część to w zasadzie jeszcze dzieci – ubrane w moro i kominiarki trzymają w rękach atrapy karabinów, pistoletów i noży. Jedno dziecko pozuje z siekierą. Bawią się w wojnę" – wprowadzała w ponurą atmosferę dziennikarka.

Później jest już tylko gorzej. Na obozie młodzież uczestniczy w zajęciach z działań antyterrorystycznych, szkoleniach z postaw strzeleckich, taktyki wojskowej i medycyny pola walki. Wieczorami chłopcy sprzątają obozowisko, czyszczą mundury, śpiewają oraz – o tempora! o mores! – uczestniczą we Mszy Świętej. „Dla wielu harcerzy nie ma to nic wspólnego ze skautingiem. Na forach społecznościowych grupa uznawana jest jako »bojówkarska« i skrajnie prawicowa" – objaśnia „GW". Aby poczucie strachu i dezaprobaty wzmocnić, konieczny jest jednak komentarz autorytetu. „To, co robi ks. Kostka, jest szalenie niebezpieczne i niepokojące. Zamiast uczyć dzieci kompetencji koncyliacyjnych – czyli pokojowego rozładowania napięcia, łagodzenia konfliktów – eskaluje negatywne nastawienie" – tłumaczy socjolog prof. Hanna Mamzer. „Uczestnicy gier taktycznych w Nekielce to dzieci, nieukształtowane ani psychologicznie, ani fizycznie. Ich zachowanie przypomina mi dziecięce bojówki z Somalii, które uchodzą za najbardziej okrutne na świecie. Te dzieci nie mają żadnych skrupułów przed zabijaniem" – dodaje.

Ach te biedne dzieci, które nie cofną się przed zabijaniem. I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie ich rodzice, którzy w oświadczeniu napisali: „Wielu z uczestników na co dzień reprezentuje szkoły, do których uczęszcza, na zawodach strzeleckich i sportowo-obronnych z bardzo dobrymi wynikami. Wszyscy wspaniale spędzili czas, podnosząc swoją kondycję fizyczną oraz budując dobre relacje w grupie. […] Z takich młodych ludzi jesteśmy dumni". Chyba bardziej wierzę im. A państwo? ©℗

eprasa.pl 0a6efddd4a

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„1917”

Wielki Józef Mackiewicz napisał kiedyś: „Mnie się zdaje, że jest trochę przesady w cierpieniach narodów. Osobiście mam takie wrażenie, że cierpią zawsze tylko ludzie”.

Dokładnie tę prawdę ukazuje film Sama Mendesa „1917”. Na europejskim froncie zachodnim biją się Brytyjczycy z Niemcami, ale faktycznie walczą o swoje życie konkretni ludzie – żołnierze, którzy kochają, kierują się zasadami przyjaźni, tęsknią za bliskimi, starają się przetrwać, bo chcą żyć. Dopiero później ich wojna ma wimiar narodowy, a nawet patriotyczny.

Nasze opowieści o bohaterstwie, a nawet o bohaterach zazwyczaj przybierają kształt narodowych dramatów

Piękno tego filmu – arcydzieła pod względem zdjęć, perspektywy, pracy kamery, plastyczności obrazu i gry aktorskiej – polega właśnie na wydobyciu ludzkiego wymiaru wielkiej wojny. Blake otrzymuje nakaz dotarcia z rozkazem do 2. Batalionu, który ma uratować Brytyjczyków przed pułapką cofających się Niemców, ale poza tym w batalionie tym służy jego brat. I właśnie przyjście z pomocą bratu staje się jego celem! Pomaga mu w tym Schofield, który ostatecznie zmuszony jest kontynuować w pojedynkę misję zleconą Blake’owi.

Schofield jest niejako przyjacielem Blake’a z obowiązku wynikającego z rozkazu. Jest jak Szymon zmuszony do pomocy Chrystusowi w dźwiganiu krzyża, by zrozumieć ostatecznie sens postawienia w sytuacji, która doprowadzi go do wiary w Pana Jezusa. Schofield staje się konsekwentnym wykonawcą rozkazu i woli umierającego przyjaciela. Jest wierny przyjaźni i pragnie wrócić cały do żony i dziecka. Jest jak samotny wędrowiec na ziemskim łez padole – co w przepiękny sposób wyraża pieśń żołnierza 2. Batalionu, której się Schofield przysłuchuje.

Nasze opowieści o bohaterstwie, a nawet o bohaterach zazwyczaj przybierają kształt narodowych dramatów. Z jednej strony beatyfikujemy naszych bohaterów na tyle, że stają się oni niedoścignionymi wzorami, z którymi nikt z nas równać się nie może, z drugiej zaś ich losy obowiązkowo są częścią zmagań całego narodu.

„1917” to genialny przykład ukazania indywidualnego wymiaru heroizmu bez patetycznego i patriotycznego nadęcia, gdzie każdy wybór obarczony jest losami ojczyzny, wiarą i poświęceniem aż do rezygnacji ze szczęścia osobistego i gotowości oddania życia. Jednak na wojnie w zasadzie każdy chce przeżyć i ten wymiar indywidualnej walki o każdy dzień życia jest szczególnie fascynujący.

„1917” jest kolejnym filmem w ostatnim czasie (po „Dunkierce”), który każe nam dostrzec całą nędzę naszego filmu historycznego. Skoro jednak „Legiony” wspierali Opatrzność i św. Józef Ulubieniec – jak deklarowali ich twórcy – to piłsudczycy stali się osobistymi żołnierzami Pana Boga, biali Rosjanie bolszewikami, a świat wyłącznie spiskował przeciw polskiej sprawie. Gdzie w tym wszystkim jest żołnierz broczący krwią pod Kostiuchnówką, którego marzeniem jest żyć, stworzyć rodzinę i kochać? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 0a6efddd4a

Płatność

fot. Jerzy Gumowski

Powtórka z roz(g)rywki: PiS chce znowu dokopać sam sobie, w radykalny sposób zmniejszając poparcie społeczne, które ma. Gdyby partia *„Kaczora”* nie chciała tego — nie zezwoliłaby ministrowi Tadeuszowi Kościńskiemu (temu od finansów) ciągle paplać o zaprowadzeniu *„obiegu bezgotówkowego”*, czyli o całkowitej eliminacji banknotów i monet. Nawet nie samo wdrożenie tej kretyńskiej idei, lecz etap dużo wcześniejszy, jej praktyczne szykowanie, techniczne przygotowywanie płatnościowej rewolucji — spowoduje, że część elektoratu pisowskiego pokaże PiS–owi zgięty łokieć, a *„Prezesowi”* powie: *„ — Panu już dziękujemy!”*. I partia się nie podniesie, będzie musiała zamknąć sklepik, ergo *„wyprowadzić sztandar”*.

Ta partia budziła furię Salonu ilekroć wolą urn obejmowała władzę. Gdy samodzierżawnie panował nad Wisłą premier Tusk, bezwzględna *„zasada wodzostwa”* (*„Führerprinzip”*) nie stresowała elit wspierających Platformę Obywatelską, lecz gdy identycznym (jeśli chodzi o wszechmoc) *„wire–pullerem”* (władcą marionetek) został Kaczyński, stała się, wedle mediów *„głównego ścieku”*, hańbą niszczącą demokrację i struktury państwa. Aby ten miażdżący sąd zyskał właściwe nagłośnienie, do kamer/mikrofonów delegowano celebrytów jako autorytety. Komediantów w pierwszym szeregu. Daniel Olbrychski, udzielając wywiadu **„Vivie”**, żąda eliminacji PiS–u metodą eksterminacji: *„ — Podstawowa rzecz dzisiaj to wbić w ziemię tę kretyńską, szkodliwą, zdradziecką, samolubną partię!”* (2019). Joanna Szczepkowska, również przed wyborami parlamentarnymi roku 2019, deklaruje w **„Rzepie”**: *„Będę głosowała na tych, którzy chcą się rozliczyć z panującym bezprawiem. Chodzi o to, żeby nie żyć pod butem!”*. Wtóruje salonowe literackie środowisko, zwłaszcza *„pisarki”*. Olga Tokarczuk wyklina życie pod pisowskim butem, nie wspominając przy tym jak bardzo dotacje finansowe (na tłumaczenia) ze strony pisowskiego Ministerstwa Kultury pomogły jej zdobyć Nobla. Ogarnięta waginalnym szałem bojowym Manuela Gretkowska używa wobec pisowskiej tyranii terminu *„Chujnia Niepospolita”*, parafrazującego określenie *„Polska Rzeczpospolita”*. Maria Nurowska nakłuwa kontrpisowsko laleczki voodoo (sic!), wzywa wojsko, by zbrojnie obaliło PiS, i sugeruje chorobę psychiczną prezydenta Dudy, a równocześnie (wywiad dla **„SUPEREXPRESSU”**) oznajmia: *„ — Cokolwiek można o mnie powiedzieć, lecz nie jestem idiotką”* (2019).

Jakby mało było PiS–owi tego zmasowanego srania mu na głowę przez *„nieidiotów”* — partia *„Prezesa”* co pewien czas robi sama pod siebie, zasmradzając tymi błędami swój publiczny wizerunek. Trwa to od początku jej rządów, przy czym część tych błędów lub skłonności (exemplum kombinowanie *„obrotu bezgotówkowego”*, którym rozpocząłem felieton) budzi gniew nawet jej sympatyków i aktywistów. Weźmy choćby lewicowanie, zarzucane jej nie bez podstaw. PiS z natury rzeczy łączy w swym jestestwie prawicowość i lewicowość, niby **„Faust”** Goethego łączący racjonalny klasycyzm Antyku/Renesansu/Empire'u (czyli oświeceniowy Neoklasycyzm) i wrogi mu gorączkowy Preromantyzm typu *„Sturm und Drang”*. Lewicowe manewry gospodarcze, lewicowe *„państwo opiekuńcze”*, lewicowanie w sprawie *„życia poczętego”* (poseł Konfederacji, Dobromir Sośnierz: *„ — Wskutek gospodarczego i światopoglądowego skrętu na lewo PiS stał się bardzo mocno socjalistyczny, a więc szkodliwy”*, 2019), czy też kult śp. brata *„Prezesa”*, prezydenta Lecha Kaczyńskiego, któremu prawica ciągle zarzucała *„lewicowe odchylenie”* wyniesione po „kądzieli”. Czepiali się zwłaszcza endecy (Tomasz Sommer: *„Dwa główne PiS–owskie tabu to uległość wobec Żydów oraz kult L. Kaczyńskiego, lewicowca”*, 2019), chociaż nie tylko. Socjolog Karolina Wigura (szefowa działu politycznego w **„Kulturze Liberalnej”**) o pomniku Lecha Kaczyńskiego na warszawskim Placu Piłsudskiego: *„ — Plac Piłsudskiego jest efektem prywatyzacji przestrzeni publicznej dla przeżywania osobistego smutku”* (2019). Nawet wewnątrz PiS–u sarkano, że wawelski grobowiec nie zaspokoił uczuć *„Naczelnika”*, i że ten rozpędza się w *„osobistym smutku”* coraz bardziej, lekceważąc drobne przeszkody po drodze, jak choćby sądowe unieważnienie katowickiego Placu Marii i Lecha Kaczyńskich (bo ci nie mieli ze Śląskiem nic wspólnego). Społeczeństwo odbierało źle (czyli antypisowsko) żarciki o planach zdjęcia figury księcia Józefa ze statuy konia przed Pałacem Prezydenckim i posadzenia na tym końskim grzbiecie figury Lecha Kaczyńskiego.

Wytykanie przez opozycję PiS–owi *„zawłaszczania Placu Piłsudskiego”*, czyli promowania *„brata”* kosztem Marszałka, bo *„religia smoleńska”* pierwszego tam deifikuje rzekomo, a drugiego marginalizuje — znajdowało społeczny odzew wskutek rozmaitych kontrPiłsudskich inicjatyw lokalnych PiS–u, wkurzających piłsudczyków jak cholera. Szczególny hałas wybuchł dwa lata temu w Żyrardowie. Józef Piłsudski jest od roku 1925 Honorowym Obywatelem Żyrardowa, więc żyrardowscy aktywiści chcieli na 100. rocznicę odzyskania niepodległości wznieść mu pomnik, lecz inicjatywę tę o mało co nie uwaliło głosowanie w Radzie Miasta, bo radni ze strony PiS–u zagłosowali przeciwko niej (!). Rezultatem był *„gniew ludu”*, filipiki medialne na temat *„hipokryzji pisowców”*, listy protestacyjne karcące PiS. Takie awantury (samozawinione!) źle służą partii *„Prezesa”*.

Mniej błędów!

Źle jej też służą błędy popełniane przez dygnitarzy *„Dobrej Zmiany”* — zwłaszcza przez ministrów. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Piotr Gliński, niepotrzebnie przez bite dwa lata tolerował kreaturę Salonu na tronie Państwowego Instytutu Sztuki Filmowej, co doczekało się takiego komentarza ze strony Marcina Wolskiego: *„W efekcie resort, za pośrednictwem własnej agencji, przez dwa lata wspierał front walki ze sobą, konserwując patologiczne układy”* (2017). Z kolei marszałek Sejmu, Marek Kuchciński, przyzwoity człowiek, stał się łupem platformerskich łowców głów jako mały krętacz, bo uprawiał familijny proceder samolotowy, który dostojnicy PO przez lata uprawiali dużo bezczelniej (szerzej oraz intensywniej). Marian Banaś (szef NIK–u) oberwał ciężko wskutek wieloletniego aktywnego zwalczania esbecji i postesbecji — salonowcy wystawili mu za to rachunek, PiS zupełnie się w tej sprawie pogubiło, a ludzie pamiętają tylko żarcik o przedświątecznym rysowaniu na drzwiach inicjałów biblijnych K+M+B (Kamienica Mariana Banasia).

Do tych błędów „rozgrywkowych” Zjednoczonej Prawicy dochodzą też błędy „kodeksowe”, jak choćby osławiona nowelizacja nowelizacji ustawy o IPN, która globalnie Polskę zgnoiła, czy sprawa *„artykułu zniesławieniowego”* (art. 212) w Kodeksie Karnym — Łukasz Warzecha: *„PiS, gdy był jeszcze opozycją, grzmiał jaki to szkodliwy przepis i jak koniecznie trzeba go usunąć. Gdy tylko zaczął rządzić, natychmiast o 212 zapomniał”* (2019). Podobnie zapominał o zdrowym rozsądku grając międzynarodowo, czego przykładem warszawski Szczyt Bliskowschodni (2019), który miał być antyirański, lecz był antypolski (za sprawą wojujących Żydów i ich jankeskich popleczników).

Sezon 2 arcypopularnego serialu **„Deadwood”** to przegadana, zanudzająca pustą paplaniną na śmierć *„opera mydlana”* w błocie deadwoodzkiej main–street. Druga kolejna tura rządów PiS może być właśnie taka, jeżeli partia nie ustrzeże się starych błędów i będzie popełniała nowe. Płatność za nie może się okazać nie tyle *„bezgotówkowa”*, ile bezwyjściowa. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 0a6efddd4a

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

AUTOBIOGRAFIA „RYSZARD SZURKOWSKI - WYŚCIG"

~~337 ZŁ~~ > **136,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 201 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0a6efddd4a